

Czy w polityce **KŁAMSTWO** ma krótkie nogi





MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

Republika Korei – Gość Honorowy

15–18 MAJA 2025

Pałac Kultury i Nauki oraz Muzeum Sztuki Nowoczesnej

Stoisko Muzeum Niepodległości nr 157

**czwartek: 10.00 – 18.00, piątek – sobota: 10.00 – 19.00,
niedziela: 10.00 – 17.00**

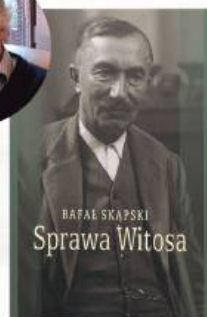
15 maja, godz. 13.00

Spotkanie z Marzeną Jaworską dotyczące książki:
*Pamięć w kolorze sepii. Kolekcja fotografii z okresu
powstania styczniowego w zbiorach Muzeum
Niepodległości w Warszawie, Muzeum Niepodległości,
Warszawa 2024.*



16 maja, godz. 13.00

Spotkanie z dr. Krzysztofem Bąkałą dotyczące książki:
*Bo Ci wstydu nie zrobiłem... Działalność kulturalno-
oświatowa i życie religijne polskich jeńców wojennych
osadzonych w obozach specjalnych NKWD wrzesień 1939
– maj 1940, Muzeum Niepodległości, Warszawa 2024.*



17 maja, godz. 12.30

Spotkanie z Rafałem Skąpskim dotyczące książki:
*Sprawa Witosa. Kraków 1944, Muzeum
Niepodległości, Warszawa 2024.*

35 lat MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI

Mazowsze.
serce Polski
Muzeum Niepodległości jest jednostką organizacyjną
Samorządu Województwa Mazowieckiego

Nawrocki nie wie, co to prawda



Jerzy Domański
MÓJ PRZEGLĄD

Minęła 80. rocznica zakończenia najstraszniejszej z wojen. Dla Polski szczególnie tragicznej. Tym smutniej, że właśnie w Polsce nie było większych uroczystości. Wszystko odbywało się po cichu i niestety przy starej, rodem z IPN, narracji o przejściu z jednego zniewolenia do drugiego, równie groźnego.

Przepadła ostatnia szansa, by przy okrągłej rocznicy oddać wreszcie cześć także tym, którzy ruszając z Oki, doszli do Berlina. Sprawiedliwości potomnych nie doczekali się bohaterowie w polskich mundurach, bo walczyli u boku Armii Czerwonej. Jakim trzeba być nikczemnikiem, by bez refleksji przejść nad grobami setek tysięcy ludzi wielu narodowości, których historia rzuciła w tę stronę świata. Dla wielu z nich Polska była tylko częścią na mapie po drodze do Berlina.

Tym, którzy tam dotarli, a zwłaszcza tym, których – często bezimienne – groby rozsiane są po całej Polsce, winni jesteśmy wieczną pamięć. Kto nie szanuje tej ofiary, sam nie może liczyć na szacunek. Chylę więc głowę przed nimi. Stańcie do apelu ci, którzy wyzwoliliście Polskę spod okupacji niemieckiej. Okupacji, która gdyby trwała dłużej, doprowadziłaby do całkowitej zagłady naszego narodu. Któż by wtedy opluwał tych, którzy pogonili prawdziwych okupantów? Tych, którzy zapłacili za naszą wolność własnym

życiem. Pamiętajmy, że ludzie, którzy głoszą na kłamców wciskających im historyczne brednie, nie są ich ofiarami. Są ich współnikami. Chcecie uczciwych ocen PRL? Musicie pogonić fałszerzy i oszustów. Tchórzy z tzw. lewicy, bojących się też dania świadectwa prawdzie.

Czy jednak może być uczciwie, gdy na czele IPN, instytucji nastawionej przez prawicę na jazdę po fałszywym torze, stoi ktoś taki jak Karol Nawrocki, notoryczny kłamca i bezwzględny oszust. Kłamiący niemal w każdej sprawie. Ponury karierowicz. Relikt prawicowego oglądu świata.

Gdy Nawrocki mówi o historii Polski – kłamie zawsze. Ma to we krwi. Widać przecież, jak kłamie, tłumacząc się z wyłudzenia mieszkania od schorowanego staruszka. Może myśli, podobnie jak jego protektor prezes Kaczyński, że ten udany skok na mienie emeryta może być przepustką do prezydentury. Ciekawi mnie, ilu ludzi w Polsce zagłosuje na kogoś zachowującego się tak obrzydliwie? Wiem, że dla fanatycznych wyznawców PiS żadne złodziejstwo i przestępstwo nie będzie przeszkodą. Ale ten lodowiec powoli topnieje. Wyznawców takich polityków jak Nawrocki będzie ubywało. Musi ubywać. Bo wynalazek Kaczyńskiego tak się już zakiwał, że o te kłamstwa się przewróci. Może to właśnie Nawrocki będzie symbolem politycznego kłamcy o krótkich nogach.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KOŚCIÓŁ

- 8 Leon XIV – papież dwóch światów**
Kim jest następca Franciszka

KRAJ

- 11 Kłamstwo ma krótkie nogi.**
Czy na pewno?
Wybory pełne kłamstw
- 15 Kończy się obecny kształt lewicy**
– rozmowa z Robertem Kwiatkowskim
- 18 Biedni czy bogaci?**
PKB rośnie, a co z portfelami?
- 22 Dowódca pilnie poszukiwany**
Czas uzdrowić Służbę Więzienną
- 24 Szkoła demokracji**
Tam obowiązują porządki Czarna
- 50 Stopy, najlepsze przyjaciółki Gosi**
Inne malarstwo

OPINIE

- 26 Anatol Lieven**
Ukrainy i Europy nie stać
na odrzucenie planu Trumpa
- 28 Tomasz Matczak**
Zmarszczki

HISTORIA

- 30 Katolicy we władzach PRL**
Monolit nie całkiem betonowy

ZAGRANICA

- 36 Ryga się nie buntuje**
Korespondencja z Łotwy
- 40 Szwedzka Dolina Krzemowa**
Rodzi się nowa potęga
- 44 No Woman's Land**
Ukryty świat afgańskich kobiet

KULTURA

- 46 Trąba powietrzna**
Opowiadania Tomasza Jastruna
- 49 Culturalia**
- 66 Krzysztof Piętko. Strefa pracy**

ZDROWIE

- 54 Liczy się każda minuta**
– rozmowa z dr n. med. Iwoną Malecką

OBSERWACJE

- 56 Na dnie świata**
Życie w oceanach
- 59 Perła renesansu trzeczcy w szwach**
Florencja – reżim szybkiego zwiedzania

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Nawrocki nie wie, co to prawda
- 21 Jan Widacki**
Wybory
- 29 Andrzej Romanowski**
Dr Duda i kandydaci
- 35 Andrzej Szahaj**
Darwinizm społeczny
- 39 Roman Kurkiewicz**
Święto, stypa czy nieporozumienie?
- 43 Tomasz Jastrun**
Planeta drapieżców
- 53 Wojciech Kuczek**
To idzie starość



8
KOŚCIÓŁ

LEON XIV – PAPIEŻ DWÓCH ŚWIATÓW

Kim jest następca Franciszka

44
ZAGRANICA

NO WOMAN'S LAND

Ukryty świat
afgańskich kobiet



56
OBSERWACJE

NA DNIE ŚWIATA

Życie w oceanach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK



✉ Nigdy nie mówię „Ziemie Odzyskane”

Prof. Andrzej Romanowski w swoim felietonie napisał, że „Ziemie Zachodnie i Północne to łup wojenny, zdobyty 80 lat temu na państwie niemieckim przez Armię Czerwoną”. Zdania tego nie można pozostawić bez komentarza. Pierwszym biskupem misyjnym z siedzibą w Poznaniu był Jordan, który prawdopodobnie nie był Niemcem. Bolesław Krzywousty toczył z cesarzem Henrykiem V walki, m.in. pod Wrocławiem. Psie Pole nie jest więc kompletnie zmyślane.

Aleksander Dziurzyński



Opisując dzieje zachodnich i północnych ziem polskich, Andrzej Romanowski rysuje tylko ich granice polityczne, ignorując skład etniczny, zwłaszcza ludność polską (mówiącą po polsku – śląsku i mazursku). Henryk Prawy zyskał miano „niemieckiego minnesingera”, a przecież ten wybitny książę, syn Judyty Mazowieckiej, dążył do zjednoczenia Polski pod swoim berłem.

Jeszcze w XVII w. wrocławscy luteranie radzili ironicznie Aniołowi Ślżakowi, w zemście za jego konwersję, aby „pisał dla dziewczek polskich komentarz do Apokalipsy Świętego Jana”, a w XVIII w. Eichendorff poznał język polski ze słuchu tak dobrze, że zdał z niego maturę we wrocławskim gimnazjum św. Elżbiety. Co rzec o Wojciechu Kętrzyńskim? Co o publicystyce plebiscytowej Żeromskiego i Wańkowicza? Co o (powstałym przed decyzją Stalina) Uniwersytecie Ziemi Zachodnich? Określenie „łup wojenny” bardziej by pasowało do Prus, które zdobyły Śląsk orężem i utworzyły Provinz Schlesien dopiero po kongresie wiedeńskim.

Andrzej Lam

f To było nasze zwycięstwo

Prawda – jak słusznie piszecie – przegrywa z polityką, ale nic nie zmienia faktu, że przesunięcie Polski na linię Odry i Nysy Łużyckiej (można powiedzieć pod Berlin), to wielki cywilizacyjny skok naszej ojczyzny. I nic nie zmienia faktu, że od 1945 r. mamy szeroki dostęp do Bałtyku, a rzesze turystów, wypoczywają i regenerują siły w Międzyzdrojach, Kołobrzegu, Ustce czy Sopocie. Zastugi Wojska Polskiego w walce o przynależność ziem północnych i zachodnich do RP są nieocenione, za to nie bardzo rozumiem, co wnosi al. Żołnierzy Wyklętych w Lęborku?

Damian Paweł Strączyński



f Jak politycy wkręcili media w swoje wojny

Cale tabuny media-workerów w Polsce były na żołądź USAID. Realizowali płynące zza oceanu obśtalunki propagandowe, drapując jednocześnie na sobie szaty, „obiektywnych dziennikarzy”. Rozdarli buzie i przyznali się do inkasowania jurgielu dopiero wtedy, gdy zostali od niego odcięci i widmo konieczności wzięcia się za jakąś uczciwą robotę zajrzało im w oczy. W tej sytuacji medium otwarcie przyznające się, że jest związane z określoną opcją i ją wspiera, musi budzić niepokój, a nawet zgrozę demoliberalnego mainstreamu.

Roland Wagner

f Pierwsza tura jak plebiscyt

Brawa dla pani Senyszyn. To jedyna prawdziwie lewicowa osoba występująca przeciw zbrojeniom, na które Polski nie stać. I optująca za pogonieniem rozpasanego złodziejskiego i zbrodniczego pedofilskiego kleru. Biejał to już kompletny liberalny żart, przystawka Tuska i PO.

Kamil Garbowicz



ZDJĘCIE TYGODNIA



27-letni ojciec Robert Prevost podczas spotkania z papieżem Janem Pawłem II. 1982 r.

Na koniec marca GUS szacował liczbę Polaków na **37,5 mln osób**. Od grudnia ubyłoby już 52 tys. osób, a w ciągu roku 158 tys. I co z tym zrobimy?

Do matur przystąpiło **275 tys. uczniów**.

Karol Nawrocki używa władzy, którą ma jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej, do masowego zatrudniania skompromitowanych polityków PiS, którzy potracili posady. Szczególnie oburzające jest zatrudnienie Wojciecha Kaczmarczyka, byłego prezesa Narodowego Instytutu Wolności, i Piotra Mazurka, który rozdał miliony złotych powiązanym z nim organizacjom. Po wygranych przez Nawrockiego wyborach prezydenckich mają się przenieść do pałacu.

Co trzeci Polak (32,6%) uciekłby ze swojego miejsca zamieszkania, gdyby wybuchła wojna (sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej”).

15 mln podatników przekazało w 2024 r. organizacjom pożytku publicznego **1,9 mld zł w ramach odpisu 1,5%**.

Krajowy Zespół Nieruchomości powołany przez PiS w 2017 r. i całkowicie skompromitowany stał się łupem kadrowym Polski 2050. Prezesem został szef koła tej partii w Nowym Sączu. A do Rady Nadzorczej KZN weszli wiceprzewodniczący Polski 2050 w regionie pomorskim i wspólnik z kancelarii posta tej partii. Z kolei rzeczniczka prasowa jest działaczką tej partii.

Rada Polityki Pieniężnej podjęła decyzję o **obniżce stopy referencyjnej NBP o 0,5 pkt. proc.** – z 5,75% do 5,25%. Ostatnia obniżka za prezesury Adama Glapińskiego była

przed wyborami w październiku 2023 r.

W ramach edukacji domowej uczy się w tym roku **62 917 uczniów**. W ciągu pięciu lat ich liczba wielokrotnie wzrosła – z ok. 14 tys. w roku szkolnym 2019/20.

Sędzia Anna Korwin-Piotrowska, prezes Sądu Okręgowego w Opolu, została nową **prezes Stowarzyszenia Sędziów Themis**.

Cudzoziemcy kupują w Polsce coraz więcej mieszkań. W ubiegłym roku doszło do ponad 17 tys. transakcji. Najwięcej lokali nabyli w Warszawie (3535), Krakowie (1523) i we Wrocławiu (1491). Przodują Ukraińcy, dużo mieszkań kupili również Białorusini, Rosjanie, Hindusi, Brytyjczycy i Wietnamczycy.

Słowacki parlament przyjął ustawę nakazującą organizacjom pozarządowym (NGO) ujawnienie źródeł finansowania i tożsamości każdej osoby przekazującej darowiznę przekraczającą 5 tys. euro rocznie.

Na 2,5 roku więzienia został skazany wieloletni poseł PiS Grzegorz J., był prezes klubu piłkarskiego ROW Rybnik. Ukarano go za przyjmowanie łapówek i załatwianie posad w Jastrzębskiej Spółce Węglowej.

850 tys. osób zmarło w USA w latach 1999-2020 z powodu przedawkowania narkotyków.

Państwowa Komisja Wyborcza zdecydowała o pomniejszeniu subwencji z budżetu państwa Prawu i Sprawiedliwości o ok. 11 mln zł. Na biednego nie trafiło, bo partii zostanie jeszcze 15 mln zł subwencji. A nie powinno zostać nic, bo długa jest lista zarzutów w sprawie wyborów w 2023 r.

PRZEBŁYSKI

Rzepecki z flagą Konfederacji

Łukasz Adrian Rzepecki tytułowany jest ministrem, choć jest tylko, lub aż, biorąc pod uwagę skromniutką inteligencję i toporność, doradcą prezydenta Dudy. Jednym z wielu doradców, który jeśli się czymś wyróżnia, to fanatycznym oddaniem pryncypałowi. I gorliwym wykonywaniem poleceń wiceprezydenta Marcina Mastalerka, u którego był kiedyś dyrektorem biura.

Rzepecki jest tak napalony na karierę, że do PiS wstąpił już jako 18-latek. Gdy Kaczyński wykluczył go z partii, poszedł do swojego serialowego imiennika Adriana.

Fucha w pałacu się kończy, więc Mastalerek wystąpił swojego Rzepeckiego do Konfederacji. Chytruski chcą wrócić do Sejmu jako reprezentanci tej partii. A Duda popiera równocześnie i Nawrockiego, i Mentzena. Też szuka dla siebie przestrzeni na wygodniejsze życie, bo Trump jakoś nie znajduje czasu dla swojego największego przyjaciela. A Rzepecki? Czy jakaś partia potrzebuje modelowego cymbała?



Hadaj, spiker Stanowskiego

Kibice Legii rzadko, jeśli w ogóle, oglądają telewizyjne debaty kandydatów na fotel prezydenta. Może gdyby wiedzieli, że w sztabie Stanowskiego jest wieloletni (prawie 20 lat) spiker tego klubu Wojciech Hadaj, toby obejrzeni debatę w Polsacie. A że nie oglądali, to niczego nie stracili. Hadaj



zatrzymał się na etapie krzyków stadionowych i prostej jak deska komunikacji z kibolami. Wypisz wymaluj – drugi Stanowski. Myśli błąkają się u nich niezbyt nachalnie. W zupełnym przeciwieństwie do ambicji. Te mają ogromne. I ego wielkie jak Żyła na Legii. Dlaczego więc Stanowski wystartował w wyborach prezydenckich? For money, drodzy państwo, for money.

Pod parasolem diecezji

Jak opornie idzie odsuwanie pedofilów w sutannach od kontaktów z dziećmi, można zobaczyć na przykładzie ks. Damiana K. Dwukrotnie skazanego za molestowanie ministrantów, gdy był wikariuszem parafii w Gliwicach i Tarnowskich Górach. Dostał za to dwa lata i trzy miesiące. Obniżone później przez Sąd Okręgowy w Gliwicach do półtora roku. Do więzienia jednak nie trafił... ze względu na stan zdrowia. Nie było to chyba nic poważnego, bo cały czas rezydował w Zabrze w parafii św. Wojciecha. Odprawiał tam msze, udzielał komunii i błogosławił wiernych. Gdy zrobił się szum, ks. Damian K. zniknął. Kuria diecezjalna w Gliwicach, która o wszystkim wiedziała, udaje głupa: nic nie wiemy, o niczym nie słyszeliśmy.



PYTANIE TYGODNIA | Co to jest patriotyzm europejski?

MAREK BOROWSKI,

były marszałek Sejmu, senator RP

Patriotyzm europejski to poczucie przynależności i solidarności wobec całej Europy i jej wartości. Obejmuje szacunek dla różnorodności kulturowej, wspólnej historii i wspólnych celów, takich jak pokój, wolność, demokracja i rozwój. To także dbałość o wspólne dobro kontynentu i zrozumienie, że współpraca między narodami przynosi korzyści wszystkim. W ten sposób patriotyzm europejski łączy lojalność wobec własnego kraju z odpowiedzialnością za przyszłość całego kontynentu. Patriotyzm europejski to także przeświadczenie, że im silniejsza będzie cała Europa, tym silniejsza będzie również Polska. Te dwa patriotyzmy nie są sprzeczne, przeciwnie – uzupełniają się.

PROF. STEFAN NIESIOŁOWSKI,

polityk

Moim zdaniem jest to umacnianie pozycji Polski w Unii Europejskiej. To znaczy popieranie rozwiązań nie tylko działających na korzyść Polski, ale również samej Unii. Takimi działaniami są m.in. walka z nacjonalizmem czy walka z Putinem. To drugie nie jest wcale takie oczywiste. Okazuje się, że Putin ma potężny obóz zwolenników w różnych miejscach. Dodalbym jeszcze przeciwstawianie się polityce Donalda Trumpa, którego działania są przekreśleniem ostatnich 100 lat polityki amerykańskiej. Krótko mówiąc, patriotyzmem europejskim nazywam

działania, które służą Polsce i jej orientacji w Unii Europejskiej. Działania, które służą równocześnie naszej demokracji, wolności i niepodległości.

DR MATEUSZ ZAREMBA,

politolog, USWPS

To pytanie o to, czy czujemy się bardziej Polakami czy Europejczykami. Europejczykami na pewno się czujemy, jeżeli jesteśmy np. w Australii albo w Ameryce Południowej. Takie silne poczucie tożsamości pojawia się w momencie dzielenia świata na „my” i „oni”. Mówimy sobie, że „w Europie robi się to inaczej”. Patriotyzm odwołuje się do tożsamości, więc pojawia się przede wszystkim w sytuacjach, kiedy jesteśmy daleko od domu. Należy jednak zapytać, jak ten europejski patriotyzm wywołać, kiedy jesteśmy we własnym kraju. To może być odwoływanie się do wspólnych wartości, których tłem są m.in. wspólne wydarzenia historyczne czy porozumienie w sprawie wspólnych interesów. Ten patriotyzm pojawia się też w sytuacji zagrożenia ze strony innego kontynentu. Dziś część osób powie, że trzeba chronić interesy Europy przed polityką Donalda Trumpa. Obecnie największym wyzwaniem Unii Europejskiej jest fakt, że Polacy nadal bardziej czują się Polakami niż Europejczykami. Jednak to się zmienia, co było widać tuż po wejściu naszego kraju do UE, kiedy przeżywalismy pierwsze zachłyśnięcie się członkostwem.

Leon XIV

– papież dwóch światów

Wybór Roberta Francisa Prevosta to sygnał, że Kościół szuka pojednania

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Robert Francis Prevost został 267. papieżem, przyjmując imię Leona XIV. Jedno z najkrótszych w historii i najbardziej medialnych konklawe wybrało augustianina urodzonego w Stanach Zjednoczonych, a jednocześnie będącego misjonarzem w Peru – człowieka obu Ameryk. To papież dwóch światów. Teolog, kanonista, matematyk i poliglota.

„Niech pokój będzie z wami wszystkimi!” – pierwsze słowa Leona XIV przejdą do historii, niosąc nadzieję w czasach, w których toczy się, jak mówił Franciszek, „trzecia wojna światowa w kawałkach”.

Ciężar decyzji

Sprawdziło się powiedzenie: „Kto wchodzi na konklawe papieżem, wychodzi kardynałem”. Żaden kandydat typowany w „papieskim toto-lotku” nie został następcą Franciszka. Wprawdzie dziennik „La Repubblica” po tym, jak po raz drugi czarny dym uniósł się z komina zamontowanego na dachu kaplicy Sykstyńskiej, napisał: „Parolin idzie w dół, a Prevost w górę”. Jednak niemal niemożliwe było przewidzenie, że to właśnie na Amerykanina padnie wybór dwóch trzecich Kolegium Kardynalskiego. Kuluary tego konklawe poznamy zapewne dopiero za jakiś czas.

– To była decyzja o ogromnym ciężarze – zarówno kościelnym, jak i geopolitycznym. Ponad stu kardynałów z całego świata zdołało osiągnąć porozumienie w ciągu zaledwie

24 godzin. To nie tylko znak zdumiewającej sprawności wyborczej, ale przede wszystkim sygnał: Kościół, który przez ostatnią dekadę żył w stanie wewnętrznej wojny domowej, szuka pojednania. Wybrano osobę o głębokiej religijności, a zarazem augustianina, a więc człowieka wielkiej kultury – skomentował watykanista Marco Politi.

Drugiego dnia konklawe, po zaskakująco krótkim głosowaniu – w czwartej turze – 133 kardynałów zgromadzonych w kaplicy Sykstyńskiej wybrało 267. następcę św. Piotra. O godzinie 18.07 z komina uniósł się biały dym. Kilka minut później

w bazylice św. Piotra rozbrzmiały dzwony, a dziesiątki tysięcy wiernych na placu wybuchło owacją. Dokładnie o 19.13 świat usłyszał: „Habemus Papam!”. Nowym papieżem został amerykański kardynał Robert Francis Prevost – dotychczasowy prefekt Dykasterii ds. Biskupów.

Najbardziej medialnemu konklawe w historii towarzyszyły wiralowe memy z parą mew doglądających pisklaka na dachu kaplicy Sykstyńskiej, tuż obok komina pokazywanego przez stacje telewizyjne z całego świata.

Nowy Ojciec Święty, którego złoży błogosławieństw przedstawił



kardynał protodiakon Dominique Mamberti, udzielił błogosławieństwa miastu i światu (Urbi et Orbi) oraz odpustu pełnego wszystkim wierzącym – nie tylko tym, którzy przebywali na placu św. Piotra, ale również tym, którzy śledzili transmisję w telewizji i mediach społecznościowych. To znak naszych czasów.

Następca Franciszka – w przeciwieństwie do swojego poprzednika – przywdział papieskie szaty liturgiczne, a więc mucet (mozzettę), czyli karmazynową pelerynę, oraz pektorał, ozdobny krzyż noszony na piersi. To z kolei sygnał, że za jego pontyfikatu Kościół może powrócić do niektórych aspektów swojej tradycji.

Nowy most

Matematyk i filozof z wykształcenia, teolog, ekspert prawa kanonicznego, mówiący w sześciu językach, czytający po łacinie i niemiecku Prevost uosabia zdolności duszpasterskie połączone z umiejętnością analitycznego myślenia. Nowy papież, urodzony w Chicago w 1955 r., w rodzinie o francusko-włosko-hispańskich korzeniach, ma biografię, w której augustiańska duchowość splata się z doświadczeniem misyjnym i zdolnościami zarządczymi zdobytymi w Kurii Rzymskiej. Jest pierwszym papieżem pochodzącym ze Stanów Zjednoczonych, ale ma również obywatelstwo peruwiańskie – jest zatem, jak się podkreśla, papieżem reprezentującym jednocześnie dwie Ameryki: Północną i Południową, łączącym Zachód i Globalne Południe. Nowy most między Ameryką a resztą świata. Jego postać spaja doświadczenie amerykańskie z głęboką znajomością Kościoła Ameryki Łacińskiej, kontynuując pod tym względem dziedzictwo Jorge Maria Bergolgia.

Duchowni z parafii w Peru, w której Robert Prevost był misjonarzem, uczcili mszą jego wybór na papieża.

Leon XIV – bo takie przyjął imię Robert Prevost – to człowiek wychowany we wspomnianym Chicago, mieście wielokulturowym, głęboko zakorzenionym w amerykańskich realiach. Doskonale wyczuwa więc puls współczesnego społeczeństwa. Przez ponad dekadę był przełożonym generalnym Zakonu Świętego Augustyna oraz misjonarzem w Peru, gdzie pełnił funkcje duszpasterskie, akademickie i administracyjne. W latach 2015-2023 był biskupem peruwiańskiej diecezji Chiclayo. Po powrocie do Rzymu stanął na czele Dykasterii ds. Biskupów i przewodniczył Papieskiej Komisji ds. Ameryki Łacińskiej. Uczestniczył także w procesach mediacyjnych – m.in. w sporze między episkopatami Niemiec, który podąża drogą synodalną, a środowiskami tradycjonalistycznymi.

Franciszek mianował Roberta Prevosta kardynałem w 2023 r. i awansował do rangi arcybiskupa *ad personam* krótko przed swoją śmiercią.

– Franciszek był innowatorem radykalnym, który nie bał się szokować i zrywać z konwencjami. Prevost reprezentuje inną linię: to człowiek dialogu, uważny słuchacz, reformator z większym wyczuciem tempa i dyplomatycznej subtelności – twierdzi watykanista Marco Politi.

Choć papież trudno klasyfikować według kategorii politycznych, Robert Prevost uważany jest za „umiarkowanego reformatora”. Kolegium



Kardynalskie wybrało zatem kontynuację linii Franciszka – choć w nieco wolniejszym tempie i z większą gotowością do kompromisów.

Włoski tygodnik „Internazionale” przypomniał, że po śmierci Bergolgia Prevost oświadczył, że w Kościele jest jeszcze „wiele do zrobienia”. – Nie możemy się zatrzymać, nie możemy się cofnąć. Musimy zobaczyć, czego Duch Święty chce dla Kościoła dziś i jutro, ponieważ dzisiejszy świat, w którym żyje Kościół, nie jest taki sam jak 10 czy 20 lat temu – powiedział w kwietniu. – Przesłanie jest zawsze to samo (...), ale sposób dotarcia do dzisiejszych ludzi – młodych, ubogich, polityków – już inny.

Spadkobierca Leona XIII

Nowy papież Leon XIV zaskoczył wyborem swojego imienia. Zarówno sztuczna inteligencja, jak i watykańscy typowali Jana XXIV, Franciszka II lub ewentualnie Benedykta XVII. Jak się okazało – wszyscy się mylili. Wybierając papieskie imię, Prevost nawiązuje do Leona XIII – papieża rządzącego przez 25 lat (1878–1903), autora 86 encyklik i twórcy katolickiej nauki społecznej.

Prevost odpowiada J.D. Vance'owi

3 lutego br. ówczesny kardynał Robert Prevost opublikował na platformie X post krytykujący wypowiedzi J.D. Vance'a na temat rodzaju miłości chrześcijańskiej, sprzeciwiając się koncepcji „klasyfikowania miłości”. „JD Vance się myli – Jezus nie prosił nas, byśmy układali ranking osób, które kochamy najbardziej”, napisał Prevost, odnosząc się do wypowiedzi wiceprezydenta, który stwierdził: „Najbardziej kocham swoją rodzinę i ojczyznę”.

► Pontyfikat Leona XIII okazał się punktem zwrotnym w historii Kościoła. Gioacchino Vincenzo Pecci był pierwszym papieżem po utracie władzy świeckiej w wyniku zjednoczenia Włoch – pierwszym od wieków, który nie sprawował władzy doczesnej (świeckiej i politycznej), odkąd Królestwo Włoch zaanektowało Państwo Kościelne. W związku z tym umacniał duchową rolę papieża i dążył do zwiększenia wpływu katolicyzmu na świecie.

Nazwano go „rzecznikiem pracownikom”, ponieważ jego encyklika *Rerum Novarum* z 1891 r. radykalnie zmieniła nauczanie społeczne Kościoła. W tym dokumencie papież bronił praw robotniczych, opowiadał się za sprawiedliwymi płacami, godnymi warunkami pracy i potrzebą tworzenia związków zawodowych. Jednocześnie potępił zarówno socjalizm, jak i nieokiełznany kapitalizm, kładąc tym samym fundamenty pod współczesną katolicką naukę społeczną. Przygotował Kościół do zmierzenia się z wyzwaniami nowoczesności.

Wybór imienia stanowi w pewnym sensie program nowego papieża. Można przypuszczać, że Leon XIV, choć w jakiejś mierze zwraca się ku tradycji, podąży drogą reform Franciszka. Będzie jego kontynuatorem pod względem wrażliwości na sprawy społeczne i temat migracji, a jednocześnie poprowadzi Łódź Piotrową przez wzburzone morze XXI w.

Papież pokoju

Jak podkreśla większość zagranicznych mediów, Leon XIV to nie tylko pierwszy papież pochodzący ze Stanów Zjednoczonych, ale również pierwszy, który zwracając się złoży

błogosławieństw do wiernych zgromadzonych na placu św. Piotra i całego świata, odczytał swoje przemówienie z kartki. Świadczy to o jego starannym przygotowaniu i przemysłanej treści wystąpienia.

„Niech pokój będzie z wami wszystkimi. Najdrożsi bracia i siostry, to jest pierwsze pozdrowienie Chrystusa zmartwychwstałego, Dobrego Pasterza, który oddał życie za trzódkę Boga. Ja też chciałbym, aby to pozdrowienie pokoju trafiło do naszych serc, by dotarło do waszych rodzin, do wszystkich osób, gdziekolwiek są, do wszystkich narodów, na całą Ziemię.

Niech pokój będzie z wami. To jest pokój Chrystusa zmartwychwstałego, pokój bezbronny i taki, który rozbraja, pokorny i wytrwały. Pochodzi od Boga, który kocha nas wszystkich, bezwarunkowo. Wciąż słyszymy w naszych uszach słaby, ale zawsze odważny głos papieża Franciszka, który błogosławił Rzym. Papież, który błogosławił Rzym, udzielał swojego błogosławieństwa całemu światu tego poranka w dniu Zmartwychwstania Pańskiego”, mówił Leon XIV do zgromadzonych na placu św. Piotra i przed odbiorcami na całym świecie.

Jak podkreśliło wielu komentatorów – Prebost został wybrany przede wszystkim po to, by z siłą swojego pochodzenia kontynuować bezkompromisową postawę Franciszka wobec wojen. Jest pierwszym papieżem urodzonym po II wojnie światowej, a jego wybór nastąpił 8 maja 2025 r. – w 80. rocznicę zwycięstwa aliantów nad faszyzmem, kiedy Niemcy podpisały akt bezwarunkowej kapitulacji. Stało się to zaledwie dzień przed rosyjską paradą zwycięstwa 9 maja w Moskwie,

z udziałem Władimira Putina i Xi Jinpinga. Może dlatego w kaplicy Sykstyńskiej tak się pośpieszono...

– Nie można pominąć wymiaru geopolitycznego tego wyboru – skomentował Marco Politi. – W czasie, gdy Stany Zjednoczone przeżywają epokę silnych liderów przekonanych, że świat da się uporządkować kijem, papieżem zostaje Amerykanin, który z balkonu bazyliki św. Piotra mówi o pokoju – nie o pokoju zdobywanym siłą, lecz o pokoju rozbrajającym, pokojowym w samej swojej istocie. To coś niespotykanego. Kościół przez wieki unikał wyboru papieża z wielkich mocarstw, właśnie po to, by uniknąć ich dominacji. A dziś pojawia się ktoś z samego serca supermocarstwa, kto uosabia właśnie ducha prostoty, dialogu i pojednania. W jego postaci kryje się potencjał ogromnych przemian.

Wybór Prebosta nastąpił szybko – zaledwie w ciągu doby i po czterech głosowaniach, podobnie jak w przypadku Benedykta XVI i Jana Pawła I – ale w warunkach bardzo złożonej sytuacji międzynarodowej. W trakcie jubileuszu i w kontekście wspomnianej „wojny światowej w kawalkach”, o której mówił Franciszek. W momencie toczących się krwawych konfliktów w Ukrainie, na Bliskim Wschodzie oraz narastającego napięcia między Indiami a Pakistanem.

Nowy papież przejmując Kościół prowadzący dialog z tymi kryzysami, wezwany do pogodzenia tradycji i otwartości, dyplomacji i ewangelizacji, a także borykający się z problemami finansowymi.

Czy Leon XIV sprostą tym zadaniom? Zobaczmy. Dopiero zaczynamy poznawać nowego papieża.

Agnieszka Zakrzewicz

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU 2025

Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

● 97,50 zł – III kwartał ● 195 zł – II półrocze

Zamówienia są przyjmowane do 25 maja 2025 r. we wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: sklep.poczta-polska.pl



KŁAMSTWO MA KRÓTKIE NOGI. CZY NA PEWNO?

Magdalena Bieja:

Nawrocki musi odpowiedzieć przed sądem.

Sławomir Mentzen:

Nawrocki zrobił rzecz całkowicie obrzydliwą.

Robert Walenciak

To znane i popularne w Polsce powiedzenie o kłamstwie. Ale czy prawdziwe? Na pewno sprawdza się w życiu codziennym. W życiu publicznym jest jednak inaczej. Tu wszystko jest bardziej rozciągliwe. Mistrz kłamstwa Joseph Goebbels miał w tej sprawie jasno określoną opinię. Mówił: im większe kłamstwo, tym łatwiej ludzi w nie uwierzą. A także, że „kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą”. Możemy tylko lamentować, że te cyniczne stwierdzenia wciąż są aktualne.

Mamy oto medialny show związany z wyborami prezydenckimi i z Karolem Nawrockim. Z 28-metrową kawalerką, którą – jak ujawniły media – przejął od Jerzego Ż., schorowanego starszego mężczyzny, dzisiaj 80-latką. Z jednej strony mamy biednego, niepełnosprawnego człowieka, który nie radzi sobie z niczym, z drugiej – Karola Nawrockiego, który daje mu w 2011 r. pieniądze na wykup kawalerki od miasta za 10% wartości, czyli za 12 603 zł, a w roku 2017 ją od niego przejmując.

Historia III RP zna sprawę gangów, które przejmowały od starych i schorowanych ludzi mieszkania, obiecując opiekę, więc skojarzenia budzą dreszcz zgrozy. Co zobaczyliśmy, gdy ta sprawa przeniknęła do opinii publicznej? Jak zachował się Nawrocki? Każdego dnia prezentował inną wersję. Podkreślał zawsze, że starszym panem się opiekował.



Nawrocki ma talent do kłopotliwych sytuacji. Jeszcze zanim został kandydatem PiS na prezydenta, w mediach krążyły jego zdjęcia z Wielkim Bu, przestępcą z Gdańska, łączonym z gangiem sutenerów.

Fakty temu przeczą. Oto wpisy, które Jerzy Ż. zamieszczał w sieci. W 2019 r. pisał: „Od czterech lat leżę w domu, nie mogę chodzić o mojej sile, czekam na zabiegi stawów biodrowych i kolan. Nie jest lekko. Pozdrawiam Jerzy”. Z kolei 22 marca 2020 r. pan Jerzy poinformował o swoich problemach finansowych: „Ja otrzymuję z MOPR 600 zł, jestem niepełnosprawny, nie chodzę bez kul, nie starcza mi na jedzenie, i tyle”.

Dla portalu Onet wypowiedziała się też opiekunka z Miejskiego

Ośrodka Pomocy Rodzinie, Anna Kanigowska, która od wiosny 2022 r. do wiosny 2023 r. opiekowała się Jerzym Ż., codziennie go odwiedzając i widząc, w jakiej żył nędzy. Jak mówiła, „praktycznie nic nie miał”, „bez przydziału z MOPR” i bez robionych przez nią zakupów nie miałby jedzenia. „Byłam u pana Jerzego codziennie, także w święta. I nigdy Nawrockiego nie spotkałam. Jego żony i dorosłego syna również”, wspominała. „Nawrocki nie zrobił dla pana Jerzego nic poza przejęciem jego ▶

► mieszkania. On chciał tylko przeprowadzić tę transakcję, a potem po prostu wszystko miał gdzieś. A dziś bezczelnie kłamie. Dla mnie to jest zwyczajne oszustwo: »złapałem słupa, mam mieszkanie i do widzenia«.

O braku pomocy świadczy jeszcze jedno – Nawrocki przyznał, że ostatni raz u Jerzego Ż. był w grudniu 2024 r. Nie zastał go i nie wiedział, gdzie jest. Okazało się, że Jerzy Ż. od kwietnia 2024 r. przebywa w publicznym domu pomocy społecznej, a koszt jego pobytu pokrywa miasto.

Jak więc ocenić słowa Nawrockiego, że pomagał choremu, że gdyby nie on, Jerzy Ż. byłby bezdomny? Przecież jest bezdomny, swojego mieszkania nie ma, żyje na koszt państwa, w DPS.

Wątpliwości jest coraz więcej, zwłaszcza że tłumaczenia Nawrockiego nie trzymają się kupy. A z kolejnymi ich wersjami kontrastują dokumenty – pokazują, że Nawrocki nie był w relacjach z Jerzym Ż. spontaniczny, lecz nadzwyczaj skrupulatny. Zabezpieczył swoje prawa do mieszkania testamentem sporządzonym przez Jerzego Ż. w 2011r., a także przedwstępną umową sprzedaży, sporządzoną w roku 2012, oraz pełnomocnictwem, które od niego

otrzymał. W związku z tym, w 2017 r. Nawrocki, jako pełnomocnik Jerzego Ż., sprzedał mieszkanie Nawrockiemu, czyli sobie.

A pieniądze? 120 tys. zł, które po dał w akcie notarialnym? Otóż sam przyznał, że nie dał ich Jerzemu Ż., bo mogłoby to starszemu człowiekowi zaszkodzić. I przekazywał mu je w mniejszych kwotach. Kiedy? Ile? Tego nie wiemy.

Sprawa ma ciąg dalszy.

„Wybory na prezydenta RP to wyścig dla przyzwoitych i uczciwych. Opcje są dwie: albo Pan Nawrocki przekonuje nas, że wie, co to chrześcijańskie zachowanie w praktyce, albo wycofuje się z wyborów”, napisał na platformie X marszałek Sejmu Szymon Hołownia, kontrkandydat Nawrockiego.

Wicemarszałkini Senatu Magdalena Biejat, która też kandyduje, już złożyła do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Dotyczy ono art. 304 Kodeksu karnego, czyli wyzyskania kontrahenta i żądania od niego niewspółmiernych świadczeń. „Wykorzystanie pana Jerzego – starszego człowieka z niepełnosprawnością – przez Karola Nawrockiego było

po prostu bezduszne. Dla kogoś, kto dopuszcza się takich działań, nie ma miejsca ani w polityce, ani tym bardziej w Pałacu Prezydenckim. Nawrocki musi odpowiedzieć przed sądem za to, co zrobił”, napisała Biejat na portalu X. Lewica zapowiada też projekt ustawy, która chroniłaby seniorów przed takimi właśnie przypadkami.

Z kolei premier Donald Tusk zobowiązał rząd do przygotowania rozwiązań, które chroniłyby seniorów przed wyludzeniem mieszkań. Na temat zaistniałej sytuacji pojawiło się także tysiące wpisów oburzonych ludzi.

Nawrocki, trzeba to przyznać, ma talent do kłopotliwych sytuacji. Jeszcze zanim Kaczyński wybrał go jako kandydata PiS na prezydenta, w mediach krążyły jego zdjęcia z Wielkim Bu, przestępcą z Gdańska, skazanym za porwania, łączonym z gangiem sutenerów. Wiele mówiono o kontaktach Nawrockiego ze światem przestępczym Trójmiasta. Potem o książce poświęconej Nikodemowi Skotarczakowi, którą napisał jako Tadeusz Batyr.

Wszystko to jednak przebiła sprawa Jerzego Ż. Problem seniorów, ludzi, którzy nie dają sobie

Czy powiedzenie, że kłamstwo ma krótkie nogi, w polityce nie obowiązuje?

PROF. ROBERT ALBERSKI,

kierownik Zakładu Systemów Politycznych i Administracyjnych, UW

Jestem skłonny zgodzić się ze stwierdzeniem, że kłamstwo, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, ma krótkie nogi. Dzięki internetowi, mediom czy elektronicznemu dostępowi do rejestru publicznego bardzo łatwo obecnie każde pojedyncze kłamstwo wykryć. Problem widzę jednak gdzie indziej. Daliśmy się politykom przekonać, że kłamstwo w polityce jest rzeczą normalną. Uważamy je dzisiaj za część polityki, bez której nie da się walczyć czy konkurować na tej arenie. To pewien paradoks, skoro kłamstwo jest dziś tak proste do wykrycia.

Jednak wobec lawiny kłamstwa, które funkcjonuje w życiu publicznym, stajemy się bezradni. Nie radzą sobie z tym ani media, ani organy państwa ścigające różne przekroczenia prawa. Tego jest po prostu zbyt dużo. Absolutnym mistrzem w tym obszarze jest prezydent Donald Trump. Policzone, że w słynnej debacie prezydenckiej z Joem Bidenem Trump kłamał średnio raz na minutę. I chociaż wszyscy powinni być oburzeni, to jednak

nikomu to nie przeszkadzało. Taki brak społecznej reakcji jest właśnie wynikiem wiary w przekonanie, że kłamstwo stało się podstawowym narzędziem polityki.

Kiedyś, powiedzmy jeszcze w latach 90., polityk, który został przyłapany na kłamstwie, musiał jakoś mniej lub bardziej sensownie się wytłumaczyć. Było ono ewidentną wpadką. Dziś polityk złapany na kłamstwie wzrusza ramionami, ponieważ naiwnie jest sądzić, że będzie to miało jakiś wpływ na słupki poparcia. Sposób postrzegania danej afery zależy od tego, w jakiej bańce jesteśmy. Jeśli ktoś znajduje się w bańce pisowskiej, a chodzi o polityka z tego obozu, to zaraz rozwijana jest narracja o spisku i prześladowaniu kandydata. Mowa jest o różnych wrednych działaniach, które podejmuje władza. Ważne jest to, że nikogo nie oburza sam przedmiot afery. Jego bańka nadal będzie na niego głosować, a wyborcy z drugiej strony politycznej barykady i tak by na niego nie głosowali. Strata jest więc niewielka, jeśli w ogóle będzie zauważalna. Ale i tak mówimy głównie o wyborcach z grupy niezdecydowanych.

już rady, i na których żerują różnej maści oszuści i przestępcy, w Polsce nabrzmiewa. A gdy zabiera im się mieszkania i wyrzuca do DPS?

Życie polityczne ma swoją logikę. Zatem po kilku dniach „zakopywania się” Nawrocki oświadczył, że przeznacza mieszkanie Jerzego Ż. na cele charytatywne. W oczywistej nadziei, że to sprawę zakończy. Ale czy tak się stanie? Przecież wciąż nie wyjaśnił, jak nabył tę nieruchomości i ile tak naprawdę zapłacił Jerzemu Ż. A jeśli pragnął bezinteresownie pomagać, to dlaczego chciał za to mieszkanie?

Czy to znaczy, że Nawrocki jest politycznie pogrzebany? Że sprawa mieszkania go pograża? Nic z tych rzeczy. Linia obrony, którą PiS prezentuje, jest twarda, jak z podręcznika rewolucjonisty agitatora. Brzmi tak: ta sprawa to spisek służb specjalnych. Winni są ci, którzy ją ujawnili. Winni są dziennikarze, bo pytają. Dziennikarze, którzy pytają, są na usługach PO. Jarosław Kaczyński mówi więc, że Nawrockiego popiera i w żadnym wypadku tego nie żałuje. „Wymyślacie sobie! Jesteście funkcjonariuszami politycznymi!”, wołał

do dziennikarzy. Andrzej Duda również jest za Nawrockim, bo – jak mówi – „też był brutalnie oczerniany”.

PiS wypuściło filmik, w którym oskarża Tuska i służby specjalne. „Układ Tuska uruchomił »operację Karol«, żeby ratować R. Trzaskowskiego”, czytamy w podpisie. „Przedstawione przez K. Nawrockiego dokumenty rozbijają kłamliwą narrację polityków PO i podległych im mediów. Nie pozwólmy,

Działania PiS zmierzają do tego, by słowo stało przeciw słowu. By była ich prawda i nasza prawda.

by kłamliwy układ domknął władzę nad Polską. Głosujemy na #Nawrocki2025! ????”.

Niczego oczywiście te „dokumenty” nie rozbijają, ale przecież nie o to w tym chodzi... Działania PiS zmierzają do tego, by słowo stało przeciw słowu. By była ich prawda i nasza prawda.

Czy to znaczy, że w polityce można kłamać w zasadzie bezkarnie? W dużym stopniu tak właśnie jest. Dlatego, że w polityce obowiązuje zasada mniejszego zła.

To, jak ona działa, opisał Sławomir Mentzen, kandydat Konfederacji. Jeszcze kilka tygodni temu Mentzen zbliżał się w sondażach do Nawrockiego i wydawało się, że może go przeskoczyć. Potem, po kilku kompromitujących wypowiedziach, zaczął tracić. Dziś w mijankę mało kto wierzy. Ale gdy wybuchła afera z kawalerką, nie wytrzymał i wygarnął Nawrockiemu. Czy dlatego, że odezwąło się w nim poczucie przyzwoitości?

A może zwietrzył krew, pomyślał, że jest szansa, by wyprzedzić kandydata PiS? Uznajmy obie odpowiedzi za prawdziwe.

A oto fragmenty jego postu: „Nawrocki zrobił rzecz całkowicie obrzydliwą. Przejął mieszkanie od starszej i schorowanej osoby, nie płacąc za nie. Do tego skłamał u notariusza, że zapłacił, zmusił też do kłamstwa sprzedającego mieszkanie. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak coś takiego może być akceptowalne dla kogoś z jakąkolwiek wrażliwością społeczną. Tymczasem cały PiS tego ▶

Kiedyś ludzie różnili się między sobą w ocenach czy interpretacjach bieżących zdarzeń. Rozmawiali o wartościach, które różnie traktowali. Dziś różnimy się na poziomie faktów. Jak powiedział po pierwszych wygranych wyborach Donald Trump: „Wy macie swoje fakty, ja mam swoje fakty”. Wychodzi więc na to, że ziemia może być równocześnie płaska i okrągła; zmiany klimatyczne są i ich nie ma itd. Wszystko zależy od tego, w której bańce akurat jesteśmy.

PROF. MICHAŁ WENZEL,
socjolog, Uniwersytet SWPS

Kłamstwo chodzi na dwóch nogach, ale jedna noga nie widzi drugiej. To dość karkołomna i niezręczna metafora, ale ją wyjaśnię. Jeżeli kłamstwo jest jednoznaczne i zostanie ujawnione, wówczas można powiedzieć, że ma krótkie nogi. Jednak żyjemy w społeczeństwie spluralizowanym, co oznacza, że polityka i świat medialny są takie same. Krótko mówiąc, jeśli kłamstwo ujawniają media, którym nie ufamy, to dostrzegamy w tym zamysł manipulacyjny. Nie staramy się zweryfikować sprawy do końca, bo nie wierzymy, że wygląda to tak, jak przedstawiają to media, którym nie ufamy.

Dlatego wyborcy Koalicji Obywatelskiej czy Lewicy uznają, że jeśli Telewizja Republika złapie kogoś na kłamstwie, to jest jakaś manipulacja. To samo dotyczy wyborców PiS, kiedy

o jakimś kłamstwie polityka swojej formacji przeczytają w One-cie czy usłyszą w TVN. Nie traktują tych informacji poważnie, ponieważ uważają, że są one zmanipulowane albo wyrwane z kontekstu. Dziś praktycznie nie ma bezstronnych arbitrów. Kiedyś były newspapers of record, czyli gazety, którym się wierzyło, bo były to media bezstronne. Teraz takich środków przekazu nie ma.

Paradoksalnie, gdyby to Telewizja Republika nagłośniła sprawę mieszkania Nawrockiego, to zwiększyłoby społeczne zaufanie do tej stacji. Podobnie byłoby z TVN, gdyby ta równie pieczołowicie jak ludzi PiS prześwietlała wpadki polityków Koalicji Obywatelskiej czy Lewicy. Taka medialna rzetelność wzmocniłaby również debatę publiczną. Problem ten dotyczy także mediów publicznych, w których od 30 lat kolejne ekipy rządzących mianują swoich prezesów. Zmienia się styl narracji, ale niewygodne fakty, mimo obietnicy czystej wody, trafiają po prostu do innej szklanki niż ta z wieczornymi wiadomościami.

Warto też zauważyć, że politycy dzisiaj nie tyle kłamią, ile „ramują”, czyli prowadzą pewną narrację. Mało jest sytuacji, kiedy jednoznacznie coś zmyślają. Raczej dobierają takie fakty, które będą pasowały do snutej przez nich wizji świata. Wydaje się, że przez lata nauczyli się tego, by unikać sytuacji, w których można złapać ich za rękę na bezczelnym kłamstwie.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

► broni. I to co godzinę w inny sposób, bo wersje obrony zmieniają się cały czas. Ale nie będę udawał, że nic się nie dzieje, nie będę bronił tego, co zrobił Nawrocki. Może u was w PiS, tak jak w PO, toleruje się dowolne świństwa, tylko dlatego, że zrobił je ktoś od was, ale to nie jest normalne. (...) W interesie Polski jest to, żeby nie rządili ludzie nieuczciwi, ludzie bez zasad, zdolni do dowolnej niegodziwości. W interesie prawicy jest to, żeby ludzie skompromitowani tej prawicy nie reprezentowali. Bronienie złodziejstwa jest wbrew interesom Polski, wbrew interesom prawicy, jest wbrew prawdzie i jakimkolwiek zasadom. Może i jest zgodne z interesem PiS, ale oznacza to, że ten interes jest zupełnie sprzeczny z interesem Polski, prawicy, sprzeczny z zasadami. (...) Gdyby zależało wam na Polsce, na tym, żeby nie rządili Tusk z Trzaskowskim, to byście teraz Nawrockiego wycofali. Ale nie zrobicie tego, bo nie zależy wam na Polsce, tylko na partii. To dobro PiS jest dla was najwyższą wartością. Zawsze, gdy interes PiS jest sprzeczny z interesem Polski, wybieraliście interes PiS. (...) Kiedyś wydawało się, że mamy do wyboru mafię lub sektę. Teraz widać, że mamy dwie sekty o mafijskim charakterze. Ale poza nimi też jest życie. PO-PiS nie będzie wieczny, a po nim przyjdzie nowe. I wtedy wszystko się zmieni. I pamiętajcie: ludzie, którzy głoszą na nieudaczników, złodziei, zdrajców i oszustów, nie są ich ofiarami. Są ich współnikami”.

Oto więc prosta konstatacja. Interes partii jest najważniejszy. Ważniejszy niż interes Polski. Dlaczego ludzie tego nie widzą? Bo polska polityka (to zresztą wygląda na światowy trend) nabiera w coraz większym stopniu cech religijnych. Niezależne autorytety, te spoza partii – intelektualiści, niezależne media – są w wielkim stopniu passé. Zostały obrzucone błotem, ich wiarygodność jest podważana. Nasz świat nie ma już bezpieczników. Światło płynie z wnętrza partii. Wyborcy w coraz większym stopniu zaczynają identyfikować się ze swoją partią, jest ona dla nich jak sekta. A w sekcje ważniejsza jest wiara niż prawda.

Z tego punktu widzenia dla ludzi z sekty PiS nie ma znaczenia, czy Nawrocki oszukał Jerzego Ż., czy nie. I czy potem kłamał, tłumacząc się z przejęcia kawalerki. Dla nich ważne jest, czy to PiS zaszkodzi czy nie. W związku z tym całą swoją złość kierują nie przeciwko nieuczciwemu politykowi, tylko przeciw tym, którzy o sprawie mówią. I – co Mentzen celnie im wypomina – choć wołają głośno: „Polska, patriotyzm, interes narodowy” – to wszystko jest dla nich na dalszym miejscu. Bo najważniejsza jest partia. Żeby partyjne było na górze.

To zresztą nic nowego, jeśli chodzi o PiS. Jest to partia zbudowana na mitach. Wielkich mitach – co oczywiste, bo ludziom najłatwiej

uwierzyć w wielkie kłamstwa. Mitem głównym jest kłamstwo smoleńskie – pisaliśmy już o tym wielokrotnie na łamach „Przeglądu”. Emocje, które po katastrofie się narodziły, zbudowały szczególną więź, którą Kaczyński wykorzystał. Podczas kolejnych miesięcznic za każdym razem zapowiadał, że Antoni dochodzi do prawdy. Że już jest blisko. A Antoni Macierewicz i pisowskie gazety opowiadały o zamachu. O różnych bombach wsadzonych przez Rosjan do samolotu. Ludzie w to wierzyli.

Dlaczego więc mieliby nie wierzyć w to, że zły Tusk uknuł spisek przeciwko Nawrockiemu? To prosty mechanizm, dobrze opisany – członkowie sekty, której przywódca ogłosił datę końca świata, gdy ten koniec świata nie nadszedł, sekty nie porzucali. Gdyby porzucili, musieliby pożegnać się z połową swojego życia. PiS w sprawie Nawrockiego jest w podobnej sytuacji. Gdyby się przyznało, że błędem było wysuwanie go do prezydenckiego wyścigu, jego wyborcy, ci z twardego pnia, by tego nie zrozumieli. Łatwiej im uznać, że Nawrocki jest znakomity i tylko źli ludzie mówią o nim złe rzeczy. Albo też przyjąć, że dla dobra sprawy, żeby zatrzymać większe zło, trzeba przykryć oczy na mniejsze zło.

Historia zna wiele przypadków takich zachowań.

To jest ten szantaż „patriotyczny”, który PiS uprawia dziś wobec swoich wyborców i wyborców prawicy – nie mówmy o kawalerce Nawrockiego, bo to woda na młyn naszego wroga, Tuska. Pytanie tylko, czy to jest skuteczne. Czy kłamstwo popłaca?

Odpowiedź wydaje się dość łatwa. Twardego elektoratu to nie ruszy. Ale na pewno na jakąś część wyborców wpłynie. Część zdemobilizuje, część zachęci, by oddać głos na kogoś innego. Poza tym ostatecznie nie wszystko zweryfikują wybory, ich wynik. A to już niedługo...

Czy zatem powiedzenie, że kłamstwo ma krótkie nogi, w polityce nie jest prawdziwe?

Jest prawdziwe, ale trochę inaczej.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Odeszła

KRYSTYNA KLUGE

Legendarna sekretarka „Sztandaru Młodych”.

Dla wielu pokoleń dziennikarzy tej gazety po prostu BABCIA KRYSLA.

Dla tysięcy czytelników była pierwszym kontaktem z redakcją.

Niezwykle profesjonalna, taktowna i uśmiechnięta. Potrafiła załatwiać sprawy niezałatwalne. W pełni identyfikowała się z dziennikiem, a zespół traktował ją jak prawdziwy talizman.

Pożegnamy ją w czwartek 15 maja o godz. 10.45 podczas mszy świętej w kaplicy pw. Miłosierdzia Bożego na cmentarzu na Marysinie Wawerskim, ul. Korkowa 152, po czym nastąpi wyprowadzenie do grobu rodzinnego na miejscowym cmentarzu.

Zostanie w naszej wdzięcznej pamięci.

Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Robert Walenciak, Joanna Wielgat
i kilkudziesięciu byłych sztandarowców

KOŃCZY SIĘ OBECNY KSZTAŁT LEWICY

Ewidentnie na nowe otwarcie na lewicy gra zarówno Joanna Senyszyn, jak i Adrian Zandberg

Rozmawia
Robert Walenciak

Jak ocenia pan kampanię?

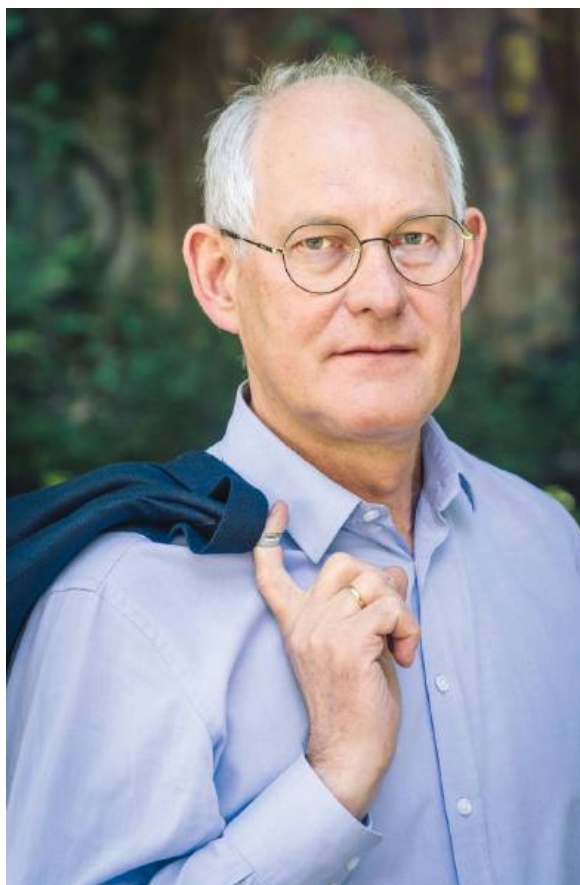
– Na razie jest zaskakująco przewidywalna. Przy wszystkich jej zakrętach i wybojach zmierza w tę samą stronę, do czego przyzwyczailiśmy się przez ostatnie 20 lat. To znaczy, że w drugiej turze spotka się PO-PiS, przedstawiciele obozu postsołidarnościowego. Z jednej strony PiS, z drugiej strony Platforma czy szerzej Koalicja Obywatelska. A wynik jest niepewny. Chociaż sondaże wskazują na większe szanse Trzaskowskiego.

W sondaże pan średnio wierzy.

– Właśnie zakończyła się pierwsza tura powtórzonych wyborów w Rumunii. I okazuje się, że nie doszacowano wyniku kandydata prawicowego. Sondaże podawały, że dostanie trochę ponad 30%, a dostał ponad 40%. To jest przepaść! A przecież sondażownie i metodologie mniej więcej są te same i w Rumunii, i w Polsce.

Na pewno bez poparcia lewicowego elektoratu Trzaskowskiego nie ma szans, by wygrać te wybory.

– Najpierw musimy zdefiniować pojęcie lewicowego elektoratu. Opieram się na badaniach CBOS, który dzieli elektoraty ze względu na autoidentyfikację. Ludzie sami mówią, za kogo się uważają, czy za



ROBERT KWIATKOWSKI

– były prezes Telewizji Polskiej SA, były poseł SLD, członek Rady Mediów Narodowych

lewicę, czy za prawicę, czy centrum. Z tych badań wynika, że Koalicja Obywatelska, zwłaszcza Rafał Trzaskowski, zagospodarowuje zawsze dobrze ponad połowę elektoratu lewicowego. I znaczną część centrum. Kiedy więc mówimy o wyborcach lewicowych, to ich większość

utożsamia się – i robi to od wielu lat – i z Koalicją Obywatelską, i z Trzaskowskim. Wyborcy lewicowi już w tej chwili stanowią chyba największy segment wyborców Trzaskowskiego.

Mamy troje kandydatów lewicowych. Wiemy, że większość elektoratu lewicowego już jest zajęta przez tego największego, czwartego. W takim razie po co ta trójka startuje?

– To już zupełnie inna historia. Tutaj, po pierwsze, w grę wchodzi wieczna tęsknota do rozbicia PO-PiS, by pojawił się ten trzeci. Jeśli jednak miałby się pojawić jakkolwiek trzeci, to w tych wyborach największe na to szanse miał kandydat radykalnie prawicowej, konfederackiej strony. Ale, zwłaszcza po Końskich, wszystko wróciło do normy. Tak na marginesie, widać, po co było zaproszenie do debaty wystosowane przez Trzaskowskiego pod adresem Nawrockiego, prawda?

Żeby było jak zawsze.

– Po drugie, start wspomnianej trójki kandydatów to przygrywka do tego, co

będzie się działo w wyborach parlamentarnych. To batalia o miejsce w koalicji rządowej. Dlatego istotne jest, jaki wynik będzie miała Magdalena Biejał, zwłaszcza w zestawieniu z Szymonem Hołownią. Po trzecie, to jest gra o przyszłość lewicy. Bo ewidentnie na nowe otwarcie na lewicy ▶

► grają zarówno Joanna Senyszyn, jak i Adrian Zandberg. Był jeszcze jeden kandydat lewicowy, Piotr Szumlewicz ze Związku Alternatywy, który też nie krył aspiracji na nowe otwarcie i udział w nim.

To poważna gra?

– Tak. Przecież widać, że formuła Nowej Lewicy, jeśli już się nie wyczerpała, to jest tego bliska. Strategiczne fundamenty Nowej Lewicy, to znaczy połączenie SLD z Wiosną i jedność w ramach klubu parlamentarnego, okazały się niewypałem. Tak zwane połączenie SLD z Wiosną spowodowało wojnę domową wewnątrz SLD i rozwalenie jego struktur.

To było w 2021 r., w poprzedniej kadencji Sejmu.

– A w tej kadencji mieliśmy rozbić klub parlamentarny i wyjście partii Razem. W konsekwencji nastąpiło i jej rozbić, bo część parlamentarzystów i parlamentarzystek Razem pozostała w ramach klubu Lewicy.

Kiedy mówimy o wyborcach lewicowych, to ich większość utożsamia się – i to od wielu lat – i z Koalicją Obywatelską, i z Trzaskowskim.

Ale to już mały klub, liczy 21 posłów.

– Mamy więc ewidentnie kryzys strukturalny, na który nakłada się kryzys polityczno-wizerunkowy, bo poza pewnymi sukcesami o charakterze personalnym coraz trudniej jest politykom Nowej Lewicy odpowiedzieć na pytanie: co załatwili, co z ich sztandarowych postulatów udało się przeforsować? Niewiele. Są oczywiście takie rodzyńki jak renta wdowa czy wolne wigilie, ale to trochę mało, jeśli pamiętamy, że sprawy związane ze związkami partnerskimi, prawami kobiet czy depenalizacją aborcji utknęły w martwym punkcie i nic nie wskazuje na to, żeby mogły ruszyć dalej.

Lewica, mimo że weszła do rządu, z ostatnich wyborów wyszła bardzo osłabiona. Jej klub w obecnej kadencji parlamentarnej jest dwa razy mniejszy niż w poprzedniej. Widać więc wyraźnie, że na lewicy jest kryzys i organizacyjny, i polityczny, i wizerunkowy. Sporo było też różnego

rodzaju wpadek jej polityków, ministrów. To wszystko skłania do przekonania, że lewicę czeka nowe otwarcie, najpóźniej w 2027 r.

Czyli w tej chwili, dla tej trójki to jest gra o złapanie oddechu?

– Dla czwórki.

Ale teraz ograniczyłbym się tylko do tej trójki.

– Nie możemy tego odkładać, ponieważ uważam, że jeśli zwycięży Trzaskowski, to wokół obozu prezydenckiego ma szansę kształtować się jakaś formacja czy jakieś środowisko lewicowe. Przypomnijmy, że bliską współpracowniczką Trzaskowskiego jest m.in. Barbara Nowacka, szefowa Inicjatywy Polskiej, wprawdzie rachitycznej, ale jednak partyjnej struktury o orientacji centrolewicowej. Jak Trzaskowski przegra, to też pojawi się pytanie, jak Platforma Obywatelska na to zareaguje. I jak będzie chciała wykorzystać kryzys lewicy.

Na lewicy są dziś cztery ośrodki: Trzaskowski, Razem, jest dotychczasowa dominująca struktura, czyli Nowa Lewica Włodzimierza Czarzastego, bo Biedroń zniknął. I jest Joanna Senyszyn, która sama mówi o powołaniu, jak to określa, nowej formacji lewicowo-ludowej.

A jak wygląda w tej chwili działalność tej trójki? Czyli Bieją, Zandberga i Senyszyn?

– Na tle mizerii z czasów kandydowania Biedronia i Ogórek wygląda to zdecydowanie lepiej. Właściwie w każdym sondażu Bieją i Zandberg przekraczają z łatwością te 2,22% Biedronia. Każde z osobna. Widać, że podział raczej im służy. Że każdy ma swoje środowisko i lepiej je mobilizuje, idąc osobno. Nie chcę wdawać się w szczegóły, bo w różnych badaniach różnie to wychodzi, ale poparcie dla tej dwójki jest na poziomie od 3% do nawet 6%. W trochę innej lidze gra Joanna Senyszyn, bo ona walczy o uwagę społeczną, o zainteresowanie. I to

też jej się udaje. W mediach społecznościowych i tradycyjnych jest jej pełno, co też dobrze rokuje.

W tej chwili jest to walka o uwagę?

– I tak naprawdę walka o mobilizowanie swoich elektoratów, bo to są trzy różne elektoraty. A przede wszystkim – o pozycję wyjściową do 2027 r. Jeśli przyjąć, że wybory prezydenckie, zwłaszcza ich pierwsza tura, są polskim odpowiednikiem amerykańskich midterms, czyli wyborów połowkowych, podczas których ocenia się, jak sobie radzi prezydent, to obecne polskie wybory są de facto początkiem nowej kampanii. I tu bardzo wiele zależy zarówno od pierwszej, jak i od drugiej tury.

To znaczy, że te wybory będą ważne nie tylko dla kandydata, który je wygra?

– Będzie to też ważne i dla Hołowni, i dla polityków lewicy, bo to będzie ich przygotowało do nowych wyborów.

A jak oni się prezentują?

Czy wykorzystują tę sytuację?

– Uważam, że dobrze sobie dają radę. Przede wszystkim są zauważalni. Widać ich. I myślę nie tylko o bańce lewicowej. Wystarczy przejrzeć media tradycyjne, nawet te prawicowe, żeby zobaczyć, że – czy to w Telewizji Republika, czy w gazetach takich jak „Rzeczpospolita” czy „Dziennik Gazeta Prawna” – nie brakuje ani Zandberga, ani Bieją, a już na pewno nie brakuje Joanny Senyszyn ze znacznikiem SLD i czerwonymi koralami. To jest też ważny element, bo właśnie w ten sposób Joanna Senyszyn buduje rozpoznawalność i zasięgi.

A co zapamięta zwykły wyborca?

Z czego zapamięta chociażby Zandberga?

– Z tego, że jest opozycja wobec rządu. Zandberg to dobrze rozegrał. Postawił na odróżnianie się, co w przypadku małej liczebnie formacji jest absolutnie kluczowe. Razem więc zostaną zauważeni jako alternatywa dla rządowej koalicji. Lewicowa alternatywa. Dziś mamy rządową lewicę i opozycyjną lewicę. A oni ustawili się w ten sposób, że atakują najsilniejszego. To jest abecadło marketingu.

Jeśli Zandbergowi się uda, jeśli przekroczy magiczną barierę 5%, a nawet jeśli to będzie tylko 3%, to znaczy, że szanse Razem na wystawienie własnej, samodzielnej listy i dostanie się do parlamentu w następnej kadencji, stają się realne. Co oczywiście nie wyklucza jakichś porozumień last minute z innymi środowiskami lewicy.

A Bieją? Zapamiętamy ją z tęczyowej chorągiewki, prawda?

– Na pewno media zapamiętają. A zwykli wyborcy? Nie przeceniłbym tego – będzie dobrze się niosło, ale to wciąż podtrzymuje wizerunek Nowej Lewicy jako formacji jednowymiarowej, przede wszystkim zabiegającej o sprawy środowiska LGBT+. Owszem, to jest ważne i potrzebne, ale skutek wyborczy może być taki, jaki był u Biedronia.

Zostaje nam jeszcze Joanna Senyszyn, kojarzona z tradycją SLD, dziś przez partię Czarastego mocno szarganą. Nie ma struktur. Jeżeli Bieją i Zandberg funkcjonowali przez ostatnie miesiące, lata, to ona była wyciszona, wydawało się, że jej nie ma, i nagle wyskoczyła. Nie za późno?

– Jak widać, nie za późno. Udało się jej, zresztą przy pomocy różnych środowisk, także samorządowych, zebrać wymagane 100 tys. podpisów. I jak wiem, chętnych do współpracy i do pomocy jej nie brakuje. A pomaga jej w tym jakaś niebywała wiralowa popularność w mediach

– Marek Migalski, zanim został naukowcem, ukuł takie powiedzenie, że w polityce gdzie dwóch się bije, tam trzeci traci. Że tych dwóch korzysta. I to jest ta sytuacja, w której mamy do czynienia z rywalizacją, z porównywaniem kandydatów. Efekty poznamy 18 maja wieczorem. Natomiast otwarte pozostaje oczywiście pytanie, jak oni tę popularność wykorzystają. I to już jest następny rozdział.

Formuła Nowej Lewicy, jeśli już się nie wyczerpała, to jest tego bliska. Strategiczne fundamenty Nowej Lewicy okazały się niewypałem.

Czytam to jako zapowiedź bitwy o elektorat lewicowy, ten 20-procentowy. I w tej bitwie Trzaskowski też będzie brał udział.

– Elektorat przeszło 20-procentowy. I to jest wreszcie autentyczna oferta, jaką politycy mają dla lewicy. Bo mówimy o nazwiskach, a wiemy, że pod tymi nazwiskami kryją się różne oferty, do różnych środowisk politycznych. I bardzo dobrze! Czas ujednolicania na siłę – co było potwornym błędem Nowej Lewicy i nadal zresztą jest – ukrywania różnorodności, żeby wszystko zdominowała ta niby młoda, niby nowa lewica, lewica kulturowa, kończą się. Właściwie już zbankrutowały, to widzieć po notowaniach i po sytuacji, w jakiej Nowa Lewica się znalazła.

– Ekipę. To chyba nie ulega wątpliwości, przynajmniej dla mnie. Powiedzieliśmy sobie przed chwilą, że szanse każdego z tej trójki kandydatów, także Magdaleny Bieją, na zwycięstwo wyborcze, są żadne. Ich start w wyborach to element sytuacji na lewicy i element rozgrywek wewnątrz koalicji. Jeśli Bieją uzyska dobry wynik, to pozycja lewicy w ramach koalicji się wzmocni. Jak dostanie słaby, to zadrzą fotele

i stanowiska. Bo rekonstrukcja rządu po wyborach prezydenckich jest nieunikniona, niezależnie od ich wyniku i niezależnie od tego, że bez głosów lewicy ta koalicja większości w Sejmie nie ma.

Co będzie się działo na lewicy po tych wyborach? Nowe rozdanie?

– Co to znaczy nowe rozdanie? Tego nie wiemy. Wszystko będzie pochodną wyniku, jaki uzyskają te cztery postacie. Można sobie wyobrazić, że Razem w przypadku dobrego wyniku Zandberga zacznie przyciągać inne środowiska, budować swoje struktury.

Bo struktury Nowej Lewicy więdną.

– Jest pytanie o kondycję Nowej Lewicy i jej struktur. W ostatnich wyborach – odwołajmy się do tych najłatwiejszych dla lewicy – wyborach europejskich – ta partia dostała ledwie 6%. Dramatycznie mało, a w niektórych miejscach, województwach, bastionach lewicy, takich jak województwo śląskie czy kujawsko-pomorskie, gdzie osiągała poparcie kilkunasto-, jeśli nie kilkudziesięcioprocentowe, zeszła poniżej 5%. Pytanie, czy ten zjazd uda się zatrzymać czy nie. Wprawdzie do wyborów parlamentarnych jeszcze chwila, bo jakoś nie bardzo wierzę w wybory przedterminowe, ale czas w polityce, jak wiemy, biegnie szybko.

Lewica, mimo że weszła do rządu, z ostatnich wyborów wyszła bardzo osłabiona. Wyraźnie widać, że na lewicy jest kryzys i organizacyjny, i polityczny, i wizerunkowy.

społecznościowych. Oczywiście to się odbywa na poziomie niższym niż kampanie, które prowadzą Bieją i Zandberg. Ale może przynieść zupełnie nieoczekiwane rezultaty. Tylko to już jest niejako poza radarami ośrodków badań społecznych. Trudno zatem powiedzieć, jak to się skończy.

Czy to mobilizuje wyborców? Taka trójka? Skoro przekraczają poziomy Biedronia i Ogórek...

Ma swoją ofertę Zandberg, ma Joanna Senyszyn. Najtrudniej zgadnąć, jaką ofertę ma Magdalena Bieją. Można powiedzieć, że to jest oferta Nowej Lewicy, czyli lewicy rządowej, prawda? Ale co ta lewica może poza zajmowaniem gabinetów? I popieraniem koalicji?

Na mnie Magdalena Bieją robi dobre wrażenie, tylko zastanawiam się, kogo ona reprezentuje – siebie czy ekipę, która ją wystawiła?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Biedni czy bogaci?

Łączny majątek setki najbogatszych Polaków to 315 mld zł.
438 tys. osób pobiera tzw. groszowe emerytury,
czyli przeciętnie 1200 zł miesięcznie

Grzegorz Rudnik

Łączny majątek setki najbogatszych Polaków to 315 mld zł. W ostatnich latach rośnie on szybciej niż PKB – średnio o 10% rocznie. Z drugiej strony minimalna emerytura wynosi 1878,91 zł. Jednocześnie 438 tys. osób pobiera tzw. groszowe emerytury, czyli przeciętnie 1200 zł miesięcznie. Dwójka rekordzistów otrzymuje „świadczenia” w wysokości... 2 groszy! Pytanie „Jak żyć, panie premierze?” jest w ich sytuacji jak najbardziej zasadne. Nic dziwnego, że wielu rodaków jest przekonanych, że jesteśmy biedni. Istnieje jednak wiele przesłanek świadczących o tym, że nigdy w przeszłości nie byliśmy tak bogaci jak dziś. Czy w tej kwestii prawda leży pośrodku? Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam.

Wielki skok

Mało kto wie, że nasz PKB w latach 1990-2020 zwiększył się o 857% i był to drugi w tym okresie najwyższy wzrost na świecie – zaraz po Chinach! Mogło być jeszcze lepiej, gdyby konsekwentnie realizowano „Strategię dla Polski” autorstwa prof. Grzegorza Kołodki, ministra finansów w latach 1994-1997. Wzrost PKB wyniósł w tych latach: 5,2% w 1994 r., 7,0% w 1995 r., 6,0% w 1996 r. oraz 6,8% w 1997 r. Łącznie – 24,8%. Nikomu nie udało się powtórzyć tego wyniku.

Po przegranych przez SLD wyborach w roku 1997, przejęciu władzy przez AWS i Unię Wolności, ministrem finansów został prof. Leszek Balcerowicz, który tak skutecznie

schłodził gospodarkę, że cztery lata później nasz PKB wzrósł o nikczemne 1,1%, za to bezrobocie zbliżyło się do 16%. Na szczęście żaden późniejszy rząd nie powtórzył tych szaleństw.

W latach 2001-2024 rozwijaliśmy się średnio w tempie 4% PKB rocznie. Rekordowo wysokie bezrobocie – 20,7% osiągnęliśmy w 2003 r., potem zaczął się spadek i w roku 2024 było to 5%. Według Eurostatu w kwietniu br. bezrobocie w Polsce

Setki tysięcy rodaków wyjechało w poszukiwaniu pracy oraz lepszych warunków życia do Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Norwegii czy Islandii. Rocznie przekazują do kraju od 18 do 20 mld zł. Pieniądze te przekładają się na wzrost dochodów gospodarstw domowych, zwiększając ich konsumpcję i poziom życia. W sferze makroekonomicznej transfery te ograniczają deficyt na rachunku bieżącym i znacząco poprawiają bilans płatniczy kraju.

PKB w latach 1990–2020 zwiększyło się o 857% – to drugi w tym okresie najwyższy wzrost na świecie – zaraz po Chinach!

wyniosło 2,7%, co okazało się drugim najniższym wynikiem w UE.

Jakie były przyczyny tak spektakularnych wyników? Przede wszystkim wejście Polski do NATO i Unii Europejskiej – oznaczało stabilność tak polityczną, jak i gospodarczą. Przyjęcie naszego kraju do Unii otworzyło rynki bogatszych od nas państw na towary i usługi „made in Poland”. Przyciągnęło też inwestorów skuszonych niskimi podatkami oraz wykwalifikowaną i zdyscyplinowaną siłą roboczą. Polska stała się poważnym producentem telewizorów, sprzętu AGD i części dla przemysłu motoryzacyjnego. Dziś jesteśmy dla Niemiec większym partnerem handlowym niż Chiny. Polskie firmy transportowe zdominowały rynek unijny. Eksport produktów rolnych rośnie rocznie w tempie ok. 10%, a spółdzielnie mleczarskie, takie jak Mlekovita czy Mlekovita, przetwarzają rocznie więcej mleka niż Grecja i Bułgaria.

Ogromne znaczenie miały transfery gotówki z Unii Europejskiej. W latach 2004-2024 otrzymaliśmy z Brukseli łącznie 245,5 mld euro, co uczyniło nas w tym okresie największym beneficjentem funduszy unijnych.

By właściwie ocenić płynące z tego korzyści, warto wiedzieć, że w tym czasie Polska wpłaciła do wspólnej unijnej kasy 83,7 mld euro – oznacza to, że na czysto „zarobiliśmy” 161,6 mld euro. Dzięki tym środkom znacząco poprawiła się infrastruktura drogowa i kolejowa, zmniejszyły się dysproporcje między poszczególnymi regionami kraju i oczywiście zmniejszył się też dystans do najbardziej rozwiniętych państw Unii. Dziś ani Niemcy, ani Francuzi nie postrzegają Polski jako uboższego krewnego, a w parlamencie brytyjskim padły słowa, że w ciągu dekady, pod względem gospodarczym, możemy dogonić Zjednoczone Królestwo. Jak



jeszcze mamy oznaki rodzimego dobrobytu?

Więcej samochodów, mieszkań i więcej pieniędzy

Statystycznie w Polsce na 1000 mieszkańców przypadają 703 samochody, co jest najlepszym wynikiem w Europie. Pod tym względem wyprzedzamy nawet Niemców. To prawda, dominują – delikatnie mówiąc – starsze modele, których średni wiek przekracza 14 lat. Średnia w Unii to niewiele ponad 12 lat. Nikogo nie dziwi, że przeciętna rodzina dysponuje dwoma samochodami. Właściwie jest to już normą.

Nawet uboższe osoby stać na zakup nowoczesnego telewizora. Obecnie najpopularniejsze są modele o dużych 55- lub 65-calowych ekranach. Mamy powszechny dostęp do internetu, nie tylko w dużych miastach, lecz także na obszarach wiejskich. Konkurencja między operatorami sprawiła, że ceny za te usługi nie są wygórowane.

Pralka automatyczna i lodówka w polskich domach stały się standardem. Najtańszą pralkę można kupić za 794 zł, a w miarę przyzwoitą lodówkę za 800-900 zł. Za 200-300 zł można kupić prosty odkurzacz, który nie tylko posprząta podłogę, ale jeszcze ją wymopuje.

Przeciętnie zarabiającą rodzinę stać na coroczne wczasy za granicą – głównie w Turcji, Egipcie, Maroku,

a ostatnio także w Bułgarii. O tym, że lubimy wypoczywać, najlepiej świadczy obłożenie krajowych ośrodków wypoczynkowych i kurortów... oraz „paragony grozy” w nadmorskich restauracjach.

Mamy do dyspozycji coraz więcej mieszkań, choć do średniej unijnej nieco nam brakuje. Na 1000 Polaków przypadało 426 mieszkań. Średnia unijna to 516 mieszkań. Pocieszający jest fakt, że w naszym kraju buduje się obecnie najwięcej w Europie, rocznie ok. 231 tys. nowych lokali. Choć należy pamiętać, że w latach 1977-1979

oddawano do użytku jeszcze więcej mieszkań – rocznie 275 tys. Edward Gierek okazał się największym deweloperem w historii Polski.

Niestety, zarobki nad Wisłą nie należą do najwyższych. Średnie roczne wynagrodzenie w 2023 r. wyniosło 18 054 euro, co plasowało nas na piątym miejscu od końca wśród krajów UE. To ponaddwukrotnie mniej niż unijna średnia i niemal cztery i pół razy mniej niż w Luksemburgu, który jest liderem rankingu. Nasze średnie zarobki były też niższe niż w Czechach, na Litwie i w Niemczech. Pod tym względem tradycyjnie wyprzedzamy Rumunów i Bułgarów.

Humor poprawić nam może inny wskaźnik, czyli parytet siły nabywczej

(Purchasing Power Parity), który służy do porównywania poziomu cen i siły nabywczej walut w różnych krajach. Określa, ile dóbr i usług można kupić za tę samą kwotę w różnych państwach, eliminując wpływ różnic kursów walutowych i poziomu cen.

Dla nas oznacza to, że realna siła nabywcza pieniądza per capita wynosi ok. 43 500-52 500 dol. rocznie.

Dla porównania – parytet siły nabywczej na jednego Niemca wynosił w 2023 r. ok. 63 100-69 200 dol. Na jednego Szwajcara – ok. 81 700-89 500 dol. Na jednego mieszkańca Norwegii –

Dziś jesteśmy dla Niemiec większym partnerem handlowym niż Chiny.

90 160 dol., a na każdego Luksemburczyka aż 130 373 dol.!

Najgorzej w Europie wypadli Ukraińcy. Ich parytet siły nabywczej to zaledwie 15 885 dol.

Co nam przeszkadza?

Z opublikowanego w październiku 2024 r. raportu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu wynika, że 2,5 mln Polaków żyje w skrajnej biedzie. Dane za 2023 r. wskazywały, że poniżej minimum socjalnego żyło 17 mln z nas! Nic dziwnego, że aż 46% rodaków – czyli ok. 17,3 mln osób – uważało, że żyje w strefie niedostatku, czyli poniżej minimum socjalnego.

► Tak zwani eksperci ekonomiczni prezentowali pogląd, że winna jest inflacja, która w 2023 r. wyniosła 11,4%, co oznaczało, ich zdaniem, że znacząco wzrosły koszty życia, zwłaszcza żywności i energii, natomiast pensje i świadczenia emerytalne nie nadążały za wzrostem cen.

W 2024 r. średnioroczna inflacja spadła do 3,6%, jednak nie zmieniło to przekonania dużej grupy Polaków, że żyje im się biednie.

Poczucie ubóstwa i braku bezpieczeństwa potęgował też fakt, że po pomoc społeczną ustawiały się coraz dłuższe kolejki. Media głównego nurtu omijały ten kłopotliwy dla rządzących temat, lecz ludzie wiedzieli swoje, zwłaszcza że po przegranych

i pielęgniarek, niewystarczające nakłady finansowe na ochronę zdrowia, złą organizację i nieefektywny system zarządzania, brak przejrzystych procedur i fakt, że koszyk świadczeń gwarantowanych nie zawsze jest w pełni realizowany.

Spore oburzenie budzą też informacje o rekordowo wysokich zarobkach niektórych lekarzy i opisywane w mediach szpitalne skandale, często o charakterze obyczajowym.

Wielu pacjentów czuje, że są źle traktowani, zwłaszcza na szpitalnych oddziałach ratunkowych.

Mamy do czynienia z sytuacją, w której urzędujący minister zdrowia jest petentem wobec prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia.

Gdy rządziło PiS, w roku 2021 inflacja w Polsce sięgnęła 5,1%, w 2022 r. wzrosła do 14,4%, by rok później obniżyć się do 11,4%.

wyborach politycy Prawa i Sprawiedliwości ostro go pompowali, mówiąc o „inflacji Tuska”, „drożyznie Tuska” i „biedzie Tuska”.

Skwapliwie zapominali, że gdy rządzili, w roku 2021 inflacja w Polsce sięgnęła 5,1%, w 2022 r. – wzrosła do 14,4%, by rok później obniżyć się do 11,4%.

Nie zmieni tego nawet najlepsza propaganda rządowa: jeśli ktoś egzystuje na granicy minimum socjalnego albo próbuje wyżyć z groszowej emerytury, to przekaz dnia, w którym będzie mowa, że nad Wisłą żyje się coraz lepiej, tylko wyprowadzi go z równowagi. W tym przypadku pomogłaby jedynie znacząca waloryzacja świadczeń.

Poważny wpływ na dojmujące uczucie ubóstwa i biedy ma też stan opieki zdrowotnej w Polsce. Aż 66-79% Polaków negatywnie ocenia w sondażach jej funkcjonowanie. Niezadowolenie spowodowane jest głównie długimi kolejkami do lekarzy specjalistów i na badania. Szacunki mówią, że średni czas oczekiwania na świadczenie zdrowotne to aż 4,2 miesiąca, a na dostęp do lekarzy specjalistów trzeba czekać jeszcze dłużej.

Większość ankietowanych wskazuje na zbyt małą liczbę lekarzy

Roczny budżet resortu zdrowia wynosi obecnie 37,12 mld zł. Podczas gdy nakłady na ochronę zdrowia (w tym środki na Narodowy Fundusz Zdrowia i dotacje) to 222 mld zł. Od razu widać, kto w tym układzie rozdaje karty. I bynajmniej nie jest to lokator gabinetu w pałacu przy ulicy Miodowej 15 w Warszawie.

Polaków coraz bardziej irytuje też prywatna opieka zdrowotna. W przeszłości symbol solidności i statusu. Dziś panują w niej obyczaje przypominające te z publicznych przychodni i szpitali. W prywatnych placówkach także trzeba długo czekać na wizytę u specjalisty. I sownie za nią zapłacić.

Fakty czy emocje?

Czy poczucie biedy i ubóstwa wynika z emocji? Czy też jest efektem chłodnej analizy? Jestem przekonany, że decydują o tym emocje wynikające z codziennych doświadczeń. Ubogich ludzi, egzystujących na granicy minimum socjalnego, znajdziemy w każdym, nawet bardzo zamożnym państwie. Pytanie: ilu ich jest? Jeśli nad Wisłą 17 mln rodaków żyje poniżej minimum socjalnego, to wiadomo, że większość z nas będzie przekonana, iż jako nacja jesteśmy

biedni. Nie mamy też skali porównawczej, bo nie każdy może – i będzie chciał – odwiedzić Ukrainę, Mołdawię albo Rumunię, by dowiedzieć się, jak tam żyje się ludziom. Jak funkcjonuje tamtejsza służba zdrowia i jak ukraińskiej babci udaje się przeżyć miesiąc za emeryturę równą wysokości naszych 550-650 zł. Na tym tle nasza groszowa emerytura – 1200 zł, wydaje się imponująca, że o dodatkowych świadczeniach socjalnych nie wspomnę. Polski emeryt, który otrzymuje świadczenie w kwocie 5-6 tys. zł miesięcznie, może czuć się niemal krezurem.

To, co powinno nas niepokoić w przyszłości, to planowane wydatki na zbrojenia, które mają znacząco wzrosnąć. Politycy już zdecydowali, że setki miliardów pójdą na czołgi, haubice i samoloty wielozadaniowe. Co oznacza, że mniej będzie na szpitale i przychodnie, na szkoły i żłobki w końcu na emerytury i świadczenia socjalne.

Nasz PKB będzie rósł, lecz korzyści z tego dla społeczeństwa mogą okazać się niewielkie, bo nadwyżki pochłonie armia. Nawet jeśli dziś zakup uzbrojenia wydaje się niezbędnym i atrakcyjnym wydatkiem, jutro może się to zmienić.

Politycy doceniają potencjał, jaki tkwi w zarządzaniu strachem. Paradoksalnie konflikt zbrojny w Ukrainie opłaca się wszystkim – z wyjątkiem żołnierzy obu stron, którzy giną na froncie. Przemysł zbrojeniowy rozkwita, politycy mają czym straszyć obywateli i nie obawiają się, że debatę publiczną zdominują dyskusje na inne trudne tematy. A przeciętni mieszkańcy Warszawy, Berlina czy Paryża mogą odetchnąć, bo przecież ktoś nad nimi czuwa i podejmuje decyzje.

Biedę i ubóstwo poczuja, gdy okaże się, że ich świadczenia emerytalne nie starczą do pierwszego kolejnego miesiąca, że wysokość zasiłków spadła i nie stać ich na coroczne wczasy – w przypadku Polski w Chałupach, albo egipskiej Hurghadzie. W przypadku Niemiec – na Ibizie lub Majorce. Wtedy przyjdzie czas na refleksję wynikającą z faktów.

Grzegorz Rudnik

Z Galicji



Jan Widacki

Wybory

Koincydencja to przypadkowa, ale jakże ważna i znamienna. Wybory papieża i wybory prezydenckie w Polsce. Wyniki jednych i drugich są dla nas równie ważne. Wybory papieża, za sprawą kardynałów, mamy już za sobą. Spekulowano, że zostanie nim Włoch, ewentualnie ktoś z Ameryki Łacińskiej, duże szanse dawano też kardynałowi z Filipin. Tymczasem, ku zaskoczeniu wielu, nowym papieżem po raz pierwszy w historii został Amerykanin, kard. Robert Prevost, który przybrał imię Leon XIV. Amerykanin, ale mający także obywatelstwo peruwiańskie, zakonnik augustianin, misjonarz, który w Peru spędził ponad 20 lat. Amerykanin, ale patrzący na współczesny świat i na rolę Kościoła w świecie także z perspektywy Ameryki Łacińskiej. Z perspektywy Kościoła ludzi ubogich, wykluczonych, słabych, pozostawionych samych sobie.

Komentując wybór „papieża Amerykanina”, Trump powiedział, że to dla Ameryki zaszczyt. To prawda – zaszczyt dla Ameryki. Ale Trump zdaje sobie zapewne sprawę, że oto wśród światowych przywódców jest teraz dwóch jakże różnych Amerykanów. Jeden, stojący na czele nuklearnego mocarstwa, którego siła bierze się z najpotężniejszej gospodarki. Szanujący tylko siłę militarną i potęgę pieniądza, poniżający imigrantów, deportujący ich bezlitośnie. Człowiek, który zapowiada aneksję obcych terytoriów, nie wykluczając przy tym użycia siły. Wszczynający wojny celne z wszystkimi dookoła, rzekomo w imię hasła czynienia Ameryki znów wielką. I ten drugi, którego pierwsze słowa skierowane do świata po wyborze na papieża brzmiały: „Niech pokój będzie z wami wszystkimi!”. Który rolę Kościoła we współczesnym świecie postrzega jako służbę ubogim, wykluczonym oraz prześladowanym i każe opiekować się imigrantami, których Trump chce z Ameryki wyrzucić. Ameryka była wielka, gdy dawała światu przykład demokracji, gdy była domem dla setek tysięcy imigrantów z Europy, Azji i Ameryki Łacińskiej. Do wielkiej Ameryki zdecydowanie bliżej papieżowi Prevostowi niż prezydentowi Trumpowi.

Zobaczymy niebawem, czy i jak nowy papież wpłynie na Kościół w Polsce. Czy schizma polskiego Kościoła będzie się pogłębiać, czy może nasi biskupi zrozumieją, że „katolicki” znaczy jednak „powszechny”, a nie „polski”, „polski papież” zaś to jednak wyjątek, a nie norma. Może więc łatwiej będzie polskiemu Kościołowi wrócić do korzeni chrześcijaństwa, dostrzec wykluczonych z różnych powodów, także imigrantów, tych błakających się po granicznym lesie, pushbackowanych, cierpiących nieraz z głodu i pragnienia, i upomnieć się o ich ludzkie prawa? Może napomni z ambon swoich wiernych, tłumacząc

im, jak groźny i jak niechrześcijański jest nacjonalizm. Może zamiast straszyć „genderem”, islamem czy „zarazą LGBT” i wszelkimi „obcymi”, przypomni sobie i swoim wiernym przykazanie miłości bliźniego. Może zrozumie istotę rozdziału sacrum od profanum, różnice między grzechem a przestępstwem, granice między władzą świecką a duchowną. To żadne nowinki, tylko nauczanie Soboru Watykańskiego II, które w polskim Kościele niespecjalnie się przyjęło. Zobaczmy. Naprawdę nie jest dla nas obojętne, kto obejmuje Stolicę Piotrową.

Natomiast wybory prezydenckie są tylko w naszych rękach. Tylko od nas zależy, kto będzie prezydentem Rzeczypospolitej przez najbliższe lata i w jakim kierunku pójdą Polska. Biorąc pod uwagę sytuację geopolityczną, globalną, ten wybór może przesądzić o losach Polski na dziesięciolecie. Rosyjski imperializm, za nic mający prawo międzynarodowe i wynikające z niego zobowiązania,

Niepiękna twarz społeczeństwa odbija się w zwierciadle wyborów.

nieprzewidywalna Ameryka, którą dotąd uznawaliśmy za filar naszego bezpieczeństwa, brak solidarności wewnątrz UE, coraz silniejsze populizmy i nacjonalizmy w Europie tworzą w sumie fatalny konglomerat. Zdobyć władzę przez nacjonalistyczno-populistyczny, antyeuropejski blok byłoby dla Polski katastrofą.

A finał wyborów prezydenckich jest niepewny. Wprawdzie sondaże dla Rafała Trzaskowskiego wyglądają optymistycznie, ale wszystko jeszcze może się zdarzyć. Demokratyczny, proeuropejski elektorat rzeczywiście musi się zmobilizować. A swoją drogą, wynik wyborów po raz kolejny pokaże, jacy naprawdę jesteśmy. Ten obraz będzie prawdziwy. Ale obawiam się, że niepiękny! Już samo to, że taki Grzegorz Braun, prymitywny rasista, nacjonalista, antysemita, homofob i ksenofob, bez trudu zebrał 100 tys. podpisów, a rankingi ujawniają, że chce na niego głosować 2-3% wyborców, musi budzić grozę. Skąd też w społeczeństwie bierze się 25% deklarujących głosowanie na „opiekuna staruszków” Nawrockiego, a kilkanaście procent na Mentzena, który potrafi powiedzieć z sensem trzy zgrabne zdania o liberalizmie, ale na tym jego mądrość się wyczerpuje? Zaczynają się ujawniać czarnosecinne poglądy. Niepiękna twarz społeczeństwa odbija się w zwierciadle wyborów. ■

Dowódca pilnie poszukiwany

Służba Więzienna przypomina rozjeżdżony na krętej drodze autobus bez kierowcy. Aż strach pomyśleć, jak może się zakończyć taka jazda

Andrzej Sikorski

Ostatnie wydarzenia z udziałem funkcjonariuszy Służby Więziennej poruszyły opinię publiczną. Najpierw w podwrocławskich Prusicach Adam S. zastrzelił teściową, 5-letnią córkę i 9-letniego syna, po czym próbował popełnić samobójstwo. Potem doszło do tragedii w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie, gdzie były pacjent Jarosław W. śmiertelnie zaatakował nożem lekarza.

Co wiemy o sprawcach? Adam S. miał 51 lat i służył w jednostce specjalnej, której zadaniem jest tłumienie buntów w zakładach karnych. Mężczyzna pracował w Służbie Więziennej od 17 lat i oficjalnie miał opinię wzorowego funkcjonariusza, choć zdaniem kolegów był nerwowy, nieprzyjemny i przejawiał skłonności do agresji.

35-letni Jarosław W. pracował w SW od 2020 r. Najpierw w Zakładzie Karnym we Wronkach, a przez ostatnie półtora roku w areszcie śledczym w Katowicach w dziale ochrony. Współpracownicy twierdzą, że od początku było z nim coś nie tak. Był apatyczny, zasypiał podczas służby, miał trudności z wykonywaniem prostych poleceń. Kilukrotnie podczas pełnienia warty miał odbezpieczoną broń, co jest niezgodne z obowiązującymi procedurami. Po tych incydentach został odsunięty od służby wartowniczej i przeniesiony na tzw. spacerniak, gdzie również sobie nie radził. Samowolnie opuszczał stanowisko, pozostawiając osadzonych bez dozoru.

Zawiedzione nadzieje

Okoliczności tragicznych wydarzeń wyjaśnia teraz prokuratura, ale



Odpowiedzialna za więziennictwo wiceministra Maria Ejchart i odwołany ze stanowiska płk Andrzej Pecka, który szefem Służby Więziennej był zaledwie 15 miesięcy.

premier Donald Tusk, nie czekając na ostateczne ustalenia, na wniosek ministra sprawiedliwości Adama Bodnara odwołał płk. Andrzeja Peckę, który szefem SW był zaledwie 15 miesięcy. Z kolei odpowiedzialna za więziennictwo wiceministra Maria Ejchart zapowiedziała utworzenie specjalnego zespołu mającego sprawdzić, w jaki sposób strażnicy przechodzą badania lekarskie i na jakich zasadach wydaje się im pozwolenie na dopuszczenie do służby.

„Oczywiście, że obecny dyrektor generalny Służby Więziennej nie jest bez winy w tej sytuacji. Proszę sobie wyobrazić, że on nawet został odwołany ze stanowiska za poprzedniej władzy. Od dawna powtarzam, że

zmiany w więziennictwie zachodzą za wolno. Panuje chaos i trzeba w końcu coś z tym zrobić. Inna sprawa jest taka, że analogicznie do dymisji powinien pójść minister Bodnar, bo jak dotąd nie dokonał większych zmian w resorcie i okazał się nieskuteczny. Teraz jest olbrzymia opozycja przeciwko niemu w prokuraturze, sądownictwie, ale też więziennictwie. Właśnie ze względu na to, że tych zmian było do tej pory za mało i ten obszar totalnie zaniedbano”, mówił w rozmowie z Onetem płk dr Paweł Moczydłowski, były szef SW.

Moczydłowski ma prawo czuć się rozgoryczony, podobnie jak wielu funkcjonariuszy. Po ośmiu latach rządów PiS Służba Więzienna została

upolityczniona i zdemoralizowana do szpiku kości, a nowa władza niewiele zrobiła, by nie tylko wprowadzić sanację, ale choćby zatrzymać postępujący rozkład formacji.

Płk Andrzej Pecka w środowisku więźniaków uważany był za figuranta, który szefem SW został z łapanki. Oficer ten większość kariery zawodowej spędził za biurkiem jako radca prawny w Centralnym Zarządzie Służby Więziennej. Pecka nie był typem dowódcy, który cieszyłby się autorytetem podwładnych. Bał się podejmować trudne decyzje, także te kadrowe. Wolał nie wchodzić w konflikty, a status quo mu odpowiadał. Czy ktoś taki mógł przywrócić prestiż służby? Inna sprawa, że ziobrać (Patryk Jaki i Michał Woś, którzy jako wiceministrowie nadzorowali Służbę Więzienną) tak bardzo przeorali kadrowo formację, że Adam Bodnar nie bardzo ma kogo wybrać na szefa polskiego więziennictwa. Jest kilku młodych oficerów, ale ci nie palą się do objęcia zaszczytnego stanowiska, wiedząc, że będą stąpać po polu minowym.

Spalona ziemia

Służba Więzienna nigdy nie była formacją działającą wzorowo, ale po PiS zostały zgłiszczą. Doświadczeni oficerowie zostali odstawieni na boczny tor, usunięci lub zmuszeni do odejścia ze służby, a błyskawiczne kariery robiono dzięki układom politycznym i towarzyskim, co było demoralizujące dla innych funkcjonariuszy. Nowa elita więziennictwa opływała w przywileje, a szeregowi funkcjonariusze ledwo wiązali koniec z końcem. Ci, którzy nabyli prawa emerytalne, nie chcieli pracować w partyjnej formacji i porzucali mundur. Doszło do tego, że zaczęto brakować strażników, a do służby przyjmowano dosłownie każdego chętnego, nawet osoby karane. Stan psychiczny też nie był ważny. Takich ludzi po kilkutygodniowym szkoleniu wysyłano do pilnowania najgroźniejszych przestępców. Bandziorów pilnowali też funkcjonariusze z administracji albo z działu kwatermistrzowskiego.

Ponieważ kadry zostały przetrzebione, strażnicy, którzy byli zdadni

do służby, musieli pracować po godzinach. Najwyższa Izba Kontroli alarmowała, że „skala nadgodzin wypracowanych przez funkcjonariuszy pionu ochrony SW, którzy wykonują podstawowe czynności związane z szeroko pojętym bezpieczeństwem osadzonych (np. pełnią funkcję oddziałowych, kontrolują cele mieszkalne i przeszukują osadzonych czy przeprowadzają interwencje z użyciem środków przymusu bezpośredniego), wpływa negatywnie na ich stan psychofizyczny oraz zwiększa ryzyko przemęczenia i wypalenia zawodowego funkcjonariuszy”.

Za czasów rządów PiS wielokrotnie dochodziło do niebezpiecznych sytuacji z udziałem strażników, ale władze więziennictwa ukrywały przed opinią publiczną kompromitujące zdarzenia. I tak np. w listopadzie 2021 r. w Zakładzie Karnym w Siedlcach jeden ze strażników wpadł w furję. Podczas wymierzania kary dyscyplinarnej w gabinecie dyrektora funkcjonariusz wyciągnął ostry przedmiot i rozciął sobie ramię. Następnie zwyzywał dyrektora, używając słów wulgarnych, i przystawił sobie ostrze do szyi, grożąc popełnieniem samobójstwa. Na szczęście agresora udało się obezwładnić, ale przecież w amoku mógł zamordować przełożonego i siebie.

W sierpniu 2021 r. pijany funkcjonariusz SW wypadł z okna budynku znajdującego się na terenie Zakładu Karnego w Krzywańcu. Po udzieleniu pierwszej pomocy na miejscu, ranny został przetransportowany karetką do szpitala. Dyrektor zakładu karnego zakwalifikował zdarzenie jako... „naruszające dobre imię Służby Więziennej”. Gdy chciałem poznać szczegóły sprawy, przełożeni strażnika stwierdzili, że nic z tego, bo zgodnie z konstytucją każdy obywatel ma prawo do prywatności, a funkcjonariusz był po służbie (sic!).

Do podobnego wypadku doszło w lipcu 2019 r. na kampusie Centralnego Ośrodka Szkolenia Służby Więziennej w Kaliszu. Funkcjonariusz wypadł z okna pokoju na czwartym piętrze, doznając ciężkich obrażeń. Cudem uniknął śmierci.

Na porządku dziennym były także ataki osadzonych na strażników. Nie wszystko udawało się zatuszować. W lutym 2022 r. w Zakładzie Karnym w Rzeszowie więzienna psycholog w trakcie pełnienia służby została zaatakowana nożyczkami przez tymczasowo aresztowanego przestępcę. Kilka ciosów w szyję okazało się śmiertelnych. Choć zabójca trafił do aresztu w związku z brutalnymi gwałtami na kobietach, to znalazł się sam na sam z funkcjonariuszką w jej gabinecie. Żaden strażnik nie udzielił pomocy koleżance, bo nikogo nie było w pobliżu.

Ponury żart

Tymczasem związki zawodowe wskazywały „niewłaściwą politykę kierownictwa Służby Więziennej, która doprowadziła do zawieszania i nieobstawiania stanowisk ochronnych oraz kierowania do wykonywania zadań funkcjonariuszy, którzy nie posiadają odpowiedniego przeszkolenia, co powoduje obniżenie i zagrożenie poziomu bezpieczeństwa w Zakładach Karnych i Aresztach Śledczych”. Za to dobrze ochraniane były budynki Ministerstwa Sprawiedliwości, których pilnowało kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Dopiero po tragedii w Rzeszowie ówczesny szef Służby Więziennej gen. Jacek Kitliński wydał zalecenia dotyczące poprawy bezpieczeństwa w zakładach karnych i aresztach śledczych.

Gen. Kitliński za doprowadzenie SW na skraj przepaści i za nadużycia, których się dopuścił (pisaliśmy o tym m.in. w artykule „Jak kończą generałowie”, nr 46/2023), powinien zostać dyscyplinarnie zwolniony ze służby, ale dzięki politycznej protekcji otrzymał awans na najwyższy w hierarchii służbowej stopień generała inspektora. Choć od ponad roku Kitliński jest już na emeryturze, to PiS o nim nie zapomniało. W styczniu 2025 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył byłego szefa SW Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności na rzecz systemu penitencjarnego”, co zabrzmiało jak ponury żart. ■

Szkoła demokracji

Honorowa Profesor Oświaty na wojnie z nazbyt dociekliwym uczniem i nazbyt ciekawskim postęmem

Mateusz Cieślak

W maju 2022 r. Przemysław Czarnek, wtedy minister edukacji i nauki, przebywał w Gdańsku, gdzie odwiedził Szkołę Podstawową nr 57. Przed wejściem do budynku pomorska kurator oświaty przywitała go słowami: „Witamy w szkole, która kształci, osiąga wysokie wyniki w nauce, ale też dobrze wychowuje”. Minister oznajmił: „Ta szkoła jest wzorem do naśladowania dla wszystkich szkół w Polsce”.

15 października następnego roku w wyniku wyborów PiS straciło władzę. Dwa dni wcześniej Czarnek zdążył jeszcze wręczyć dyrektorze szkoły Annie Listewnik tytuł Honorowego Profesora Oświaty.

Kilkadziesiąt lat wcześniej podstawówkę tę kończył Donald Tusk. Listewnik oczywiście nie była wtedy dyrektorką, ale sam fakt obecności w murach placówki dwóch znanych polityków wydał się na tyle frapujący, że postanowiliśmy się jej przyjrzeć.

Wyrok za wyrokiem

W pierwszej połowie 2024 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gdańsku ukarał dyrektorkę grzywną, nie chciała bowiem udzielić informacji publicznej. Gdy rodzic złożył skargę, nie przekazała jego pisma do sądu, choć miała taki obowiązek.

Natrafililiśmy w sumie na pięć prawomocnych wyroków niekorzystnych dla szkoły (wydanych w pierwszym półroczu 2024 r.). Za każdym razem dotyczyły one złamania przepisów Ustawy o dostępie do informacji publicznej. Można odnieść wrażenie, że po pierwszym przegranym procesie dyrektor nie zastanowiła się nad znaczeniem praw obywatelskich i reguł przyświecających społeczeństwu



Wizyta Przemysława Czarneka w SP nr 57 w Gdańsku, rz. z dyr. Anną Listewnik (z lewej) i pomorską kurator oświaty Małgorzatą Bieląg.

demokratycznemu. Przed sądem zaś przyjęła oryginalną formę obrony. Z jej wyjaśnień wynikało, że rodzice składali liczne skargi, co było działaniem uporczywym i utrudniało funkcjonowanie szkoły. Ale sąd zauważył, że rodzice złożyli łącznie cztery wnioski o dostęp do informacji publicznej, i orzekł: „Trudno zatem zgodzić się ze szkołą, że częstotliwość składanych przez rodziców wniosków miała charakter seryjny oraz by miała na celu wywołanie dolegliwości u adresata wniosku i utrudnienie mu funkcjonowania”.

A skoro mowa o utrudnianiu funkcjonowania, sprawdźmy, jak szkoła funkcjonuje, pamiętając o tym, co powiedziała w 2022 r. pomorska kurator oświaty. Zajrzeliśmy do danych Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej. W zeszłym roku wyniki egzaminu z matematyki plasowały SP nr 57 na drugim miejscu w Gdańsku – od

końca. Średnia prawidłowych odpowiedzi z matematyki wynosiła 12%. Niewiele lepiej było w przypadku języka angielskiego – 27% poprawnych odpowiedzi dało podstawowce szóstą pozycję od końca (na 90 szkół).

Ponieważ chodzą tu również uczniowie otrzymujący noty bardzo dobre oraz celujące, zapoznaliśmy się z arkuszem ocen jednego z nich (za pierwszy semestr obecnego roku szkolnego). Same piątki i szóstk. Ocena z zachowania: dobra. I akurat tego ucznia Anna Listewnik chciała ze szkoły relegować. Do pomorskiego kuratora oświaty wniosła o przeniesienie go do innej szkoły. Kuratorium potwierdziło w oficjalnej odpowiedzi, że wniosek nie został zaakceptowany.

Sprawa trafiła do Rady Miasta Gdańska, gdzie zajrzeliśmy. Stąd wiemy, dlaczego kurator nie zgodził się na przeniesienie ucznia do innej szkoły. Z wyciągu ocen z dziennika

i notatek służbowych szkolnego psychologa nie wynikało, by uczeń „wykazywał zachowania noszące znamiona demoralizacji, w szczególności, by miał dopuszczać się czynów zabronionych lub zażywania substancji psychoaktywnych”. Kurator napisał także, że uczeń ten „nie stanowi zagrożenia dla zdrowia i życia swojego lub innych osób w szkole”.

Agresja „w stronę szkoły”

Zdaniem szkoły w rodzinie ucznia źle się dzieje, więc napisała do Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie: „Rodzice ucznia reagują bardzo negatywnie, a wręcz agresywnie w stronę szkoły”. W grudniu ubiegłego roku rodzice ucznia poprosili więc pracowników MOPR, by towarzyszyli im podczas wizyty w szkole. Ci zadzwonili do dyrektorki i uprzedzili ją o zamiarze odwiedzin. Do spotkania jednak nie doszło, ponieważ Anna Listewnik nie wyraziła zgody na ich wejście na teren placówki wraz z rodzicami. Choć na nasze pytania MOPR nie mógł odpowiedzieć (przyczono przepisy), to z nieoficjalnych źródeł dowiadujemy się, że stoi po stronie rodziny.

W siedzibie rady miasta znaleźliśmy kolejny frapujący dokument świadczący o tym, jak funkcjonuje podstawówka kierowana przez Honorową Profesor Oświaty. Skoro ta usiłowała pozbyć się ucznia, rodzice zapytali szkołę, dlaczego jego zachowanie oceniono jako dobre. Do szkoły skierowali łącznie siedem próśb o pisemne uzasadnienie tej noty. Bez skutku.

Oświatowy fenomen zafrapował posła Marcina Józefaciuka, wcześniej dyrektora innej szkoły, który poinformował Annę Listewnik, że chce z nią porozmawiać. Podał termin kontroli poselskiej. Na ten sam dzień Listewnik zaprosiła Jerzego Wiśniewskiego, dyrektora Wydziału Strategii i Nadzoru Pedagogicznego Kuratorium Oświaty. Celem jego wizyty było udzielenie szkole wsparcia w ramach nadzoru pedagogicznego, a wizyta ponoć nie miała związku z kontrolą poselską.

Jednocześnie kuratorium przyznało, że nie wie nic na temat przebiegu

wizyty posła w szkole. To ciekawe, gdyż poseł Józefaciuk i dyrektor Wiśniewski, gawędząc, razem wyszli ze szkoły. A jeszcze ciekawsze, że w tym samym dniu dyrektor Listewnik nie była w szkole obecna. Gdy poseł wszedł do budynku, drogę zastąpiła mu wicedyrektorka. Przywitać go miała komunikatem, że niczego nie zobaczy, gdyż szkolne dokumenty są tajne. Poseł poprosił, aby komunikat ten został mu przekazany na piśmie. Ponieważ tak się nie stało, wyciągnął telefon i wezwał na pomoc policję. Policjanci przyjechali i udowodnili, że niepotrzebnie płacimy na nich podatki – nie pomogli posłowi w realizacji jego uprawnień, a jedynie sporządzili notatkę.

O wyjaśnienie sytuacji zwróciliśmy się do Komendy Miejskiej Policji w Gdańsku, skąd nadeszła kuriozalna odpowiedź: „Z uwagi na ochronę danych osobowych i obowiązek przestrzegania przepisów ustawy o ochronie danych osobowych nie udzielamy informacji dotyczących interwencji oraz czynności policjantów przeprowadzonych wobec konkretnej osoby i pod konkretnym adresem. Informacje dotyczące konkretnej osoby lub adresu/podmiotu, a także informacje o ich roli i udziale w postępowaniu stanowią element dobra osobistego, jakim jest prawo do prywatności”.

Jednym z zarzutów mających świadczyć o demoralizacji ucznia było to, że wskazywał na niezgodność szkolnego statutu z prawem oświatowym. I za to był przez szkołę karany. Po decyzji kuratorium o pozostawieniu ucznia w placówce dyrektorka zwołała radę pedagogiczną. Nauczyciele dowiedzieli się, że mają głosować nad zmianą statutu szkoły. Projektu nowego dokumentu nie otrzymali na piśmie. Ponad 40 stron dyrektorka omówiła, a potem zarządziła głosowanie. W ten sposób SP nr 57 dostosowała statut do obowiązujących w Polsce przepisów.

Na nasze pytania Anna Listewnik odpowiedziała: „Nasza szkoła ma wieloletnie tradycje. Dobro dzieci jest dla nas najważniejsze, jest celem najwyższym. Szkoła sumiennie wykonuje swoje zadania ustawowe i nie udziela informacji o uczniach

oraz nie godzi się na polemikę w tym zakresie”.

Listewnik jest nie tylko dyrektorką szkoły i Honorową Profesor Oświaty. To również była polityk. W 2024 r. startowała w wyborach do sejmiku pomorskiego. Do głosowania na siebie zachęcała, emitując w internecie cztery spoty wyborcze nagrane we wnętrzach SP nr 57. Na tę okoliczność nie powstała żadna umowa ze szkołą, którą użyczyła siebie nieodpłatnie.

Niedowidząca kolebka

Uwaga wszystkich w Polsce koncentrowała się ostatnio na innej gdańskiej nieruchomości – kawalerce pana Jerzego. Z ujawnionych przez Karola Nawrockiego dokumentów notarialnych wynika, że pan Karol podpisał umowę kupna-sprzedaży kawalerki z panem Karolem właśnie (pan Jerzy miał go do tego upoważnić w umowie przedwstępnej).

Znajdujemy tu analogię z sytuacją w SP nr 57. Oczami wyobraźni widzimy bowiem scenę: polityczka wchodzi do budynku szkoły publicznej. Staje przed przystawowym lustrem i pyta swoje odbicie, czy może tu nagrać spot wyborczy. Zaznacza, że nie chce podpisywać żadnej umowy, a odbicie odpowiada, że nie będzie żądać żadnej gratyfikacji.

Żeby było ciekawiej, szkoła ta, jak wiele podstawówek w Polsce, reperuje swój budżet, pobierając niewielkie opłaty od tych, którzy chcą zorganizować spotkanie w jej salach. Dzięki temu ma dodatkowe pieniądze na odmalowanie korytarza czy dofinansowanie wycieczki dla dzieci. W ten sposób skromne dochody zdobywa również szkoła kierowana przez Annę Listewnik. Dotyczy to jednak sytuacji, gdy nie są w niej kręcone spoty wyborcze.

Gdańsk chlubi się swoją przeszłością jako ostoja wolności i kolebka Solidarności. Warto zatem zadać dwa pytania: czy do tej tradycji w swoich działaniach nawiązuje Honorowa Profesor Oświaty? I gdzie miejska solidarność z uczniem i jego rodziną?

Ukrainy i Europy nie stać na odrzucenie planu Trumpa

Anatol Lieven

Goszczący już na łamach „Przeglądu” Anatol Lieven należy do grupy bardziej obiektywnych zachodnich analityków polityki międzynarodowej. Ma nieczęstą zdolność widzenia i eksponowania tego, co w danej kwestii zasadnicze, i odrzucania tego, co peryferyjne. Sprawuje funkcję dyrektora Programu Euroazjatyckiego w Quincy Institute of Responsible Statecraft. Jest byłym wykładowcą w Georgetown University w Katarze. Wykładał także w Departamencie Studiów Wojennych londyńskiego King’s College. Prezentowane fragmenty artykułu Lievena ukazały się 24 kwietnia 2025 r. w witrynie internetowej: responsiblestatecraft.org. Tam też można zapoznać się z całością jego wywodów.

• • •

Zasadnicze zręby planu pokojowego w odniesieniu do Ukrainy zarysowane przez administrację Trumpa nie są nowe, opierają się na zdrowym rozsądku i zostały milcząco zaakceptowane przez Kijów. Ukraińscy urzędnicy przyznają, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie ma szans na odbicie przez ukraińską armię terytoriów okupowanych obecnie przez Rosję. (...) Z drugiej strony, jak wskazują doniesienia, przystając na zawieszenie broni wzdłuż obecnej linii frontu, Putin zasygnalizował gotowość porzucenia rosyjskiego żądania, aby Ukraina wycofała się z części prowincji, do których Rosja rości sobie pretensje, a które wciąż są w rękach Ukrainy. Także w tym wyraża się zdrowy rozsądek. Ukraińcy nigdy nie zgodzą się ich oddać, a sądząc na podstawie żółtego tymba postępów Rosjan, opowiadanie tych terytoriów w obliczu ukraińskiego oporu wspieranego przez USA oznaczałoby długi i krwawy bój, na końcu którego Rosja zdobyłaby zrujnowane pustkowia.

Członkostwo Ukrainy w NATO nie jest czymś realistycznym, nawet bez

amerykańskiego weta. Jest tak, ponieważ wszyscy obecni członkowie paktu jasno stwierdzili, że nie będą walczyć w obronie Ukrainy, a kilka europejskich krajów również sprzeciwia się przyjęciu Kijowa do organizacji. Podczas rozmów pokojowych na początku wojny sam prezydent Zełenski powiedział, że ponieważ wszystkie czołowe rządy krajów NATO (w tym administracja Bidena) odmówiły złożenia obietnicy członkostwa [Ukrainy – przyp. PK.] w pakcie w ciągu pięciu lat, traktat o neutralności z gwarancjami bezpieczeństwa jest najlepszą drogą dla jego państwa.

Przy tym wszystkim plan Trumpa zawiera jedną dużą niespodziankę. Jest nią oferta uznania rosyjskiej suwerenności nad Krymem. (...) To duża koncesja na rzecz Rosji, choć nie tak wielka, jak sugerują zachodnie media, gdyż nie dotyczy czterech prowincji wschodniej Ukrainy, które według Rosji zostały przez nią przyłączone. (...) Istnieje prawna, moralna i historyczna podstawa sprawiająca, że USA mogą traktować Krym w odmienny sposób. Został on przekazany Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej przez Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republikę Radziecką na podstawie dekretu z 1954 r. Rzecz jasna, bez żadnego pytania o zdanie ludności zamieszkującej Krym. Większość populacji Krymu zagłosowała w 2014 r. za przyłączeniem do Rosji i głosowanie to wydaje się zasadniczo wiarygodne, w przeciwieństwie do „referendów” przeprowadzonych przez Rosję we wspomnianych czterech prowincjach w środku wojny, które słusznie są postrzegane jako nieuczciwe.

Czy plan pokojowy przyniesie pokój? (...) Jest rzeczą możliwą, że Kreml spróbuje wysunąć dodatkowe warunki nie do zaakceptowania (choćby drastyczną redukcję ukraińskich sił zbrojnych). W takim wypadku winę za fiasco procesu pokojowego Trump powinien złożyć na barki

Moskwy i, wycofując się z rozmów, powinien kontynuować amerykańską pomoc dla Ukrainy. Zasadniczym motywem skłaniającym Moskwę do zaakceptowania [warunków pokojowych – przyp. PK.] jest to, że administracja Putina nie może się doczekać, żeby Trump oskarżył Ukrainę i Europejczyków o porażkę rozmów pokojowych. Co za tym idzie, jeśli – jak grozi – wycofa się z procesu pokojowego, odetnie jednocześnie Kijowowi pomoc wojskową i wywiadowczą. Z tej właśnie przyczyny Ukraińcy i Europejczycy popełniliby szaleńczy czyn, odrzucając otwarcie na plan pokojowy, jak mogą na to wskazywać wstępne wypowiedzi.

Jak już wskazałem, oficjalne cele [wojny – przyp. PK.] wyznaczone przez Ukrainę – członkostwo w NATO i odzyskanie utraconych terytoriów – są praktycznie niemożliwe do osiągnięcia. Ukraina zatem nic nie traci, przystając na plan Trumpa. Zakładając, że brytyjski rząd będzie wierny oświadczeniu premiera Keira Starmera, iż europejskie „siły bezpieczeństwa” mogą znaleźć się na terytorium Ukrainy tylko wtedy, gdy Stany Zjednoczone będą je zabezpieczać, to siły te nigdy tam się nie pojawiają. Trump nie ma zamiaru udzielić gwarancji, które równałyby się ukraińskiemu członkostwu w NATO, tyle że pod innym szyldem. Ponadto kluczowe rządy europejskie, w tym rząd polski, również oświadczyły, że nie będą częścią takich sił. Obecnie i w dającej się przewidzieć przyszłości armie brytyjska i francuska nie wydają się posiadać dostatecznej liczby żołnierzy niezbędnych do ich rozmieszczenia [w Ukrainie – przyp. PK.], zważywszy na możliwą wojnę z Rosją. Były szef brytyjskiej armii gen. Lord Dannatt powiedział, że (biorąc pod uwagę potrzebę rotacji i szkolenia oddziałów) do misji w Ukrainie musiałoby być desygnowanych do 40 tys. żołnierzy, a „my ich po prostu w takiej liczbie

nie mamy” [zob. <https://www.bbc.com/news/articles/czep44jn9jyo> – przyp. P.K.]. Stworzenie takich sił i wysłanie ich na Ukrainę oznaczałoby zarazem niemożliwość wywiązania się Brytyjczyków ze zobowiązań wobec obecnych członków NATO, szczególnie wobec państw bałtyckich i Polski. (...)

Trump (...) nie jest cierpliwym człowiekiem. Groźba jego administracji dotycząca wycofania się i pozostawienia Europy samej sobie nie może być dosadniejsza. Jak ujął rzecz sekretarz stanu Marco Rubio: „(...) Musimy rozstrzygnąć w trakcie nadchodzących dni, czy to wszystko jest wykonalne w krótkim czasie. Jeśli bowiem nie jest, wówczas, jak sądzę, pójdziemy dalej”. Jeśli Ameryka rzeczywiście „pójdzie dalej”, Ukraina znajdzie się w sytuacji naprawdę nie do pozazdroszczenia, a kraje Europy Zachodniej mogą stanąć przed wyborem pomiędzy wielkim upokorzeniem a wielkim niebezpieczeństwem. Jeżeli bowiem amerykańska pomoc zostanie wycofana, szanse Ukrainy na utrzymanie obecnej linii frontu drastycznie spadną, znacznie wzrosną natomiast szanse Rosji na dokonanie przełomu.

(...) Plan Trumpa pozostawia Ukrainę w 80% jako niepodległe państwo mające możliwość dążenia do członkostwa w Unii Europejskiej. Patrząc w historycznych kategoriach, jest to wielkie (choć ograniczone) zwycięstwo Ukrainy. Odrzucenie tego planu przyniesie Kijowowi jedynie dotkliwą klęskę.

*Wstęp, wybór i przekład
Piotr Kimla*

Nagroda dla Polskiego Słownika Biograficznego



Prof. Andrzej Romanowski odbiera nagrodę z rąk Jerzego Baczyńskiego i Wiesława Władyki.

Nagrody Historyczne „Polityki” otrzymały imię niedawno zmarłego Mariana Turskiego, długoletniego redaktora działu historycznego tego tygodnika, pomysłodawcy konkursu i przewodniczącego jury. W tym roku Kapituła przyznała Nagrodę Specjalną. Uhonorowany nią został Polski Słownik Biograficzny, świętujący 90-lecie istnienia. Nagrodę odebrał prof. Andrzej Romanowski, wieloletni redaktor naczelny PSB. Dziękując, powiedział, że przyjmuje ją w imieniu kolejnych generacji redaktorów PSB, i wyraził nadzieję, że pomoże ona w uzyskaniu stałego finansowania Słownika oraz wydaniu jego drugiej serii biogramów.

Laureatami nagród zostali: w kategorii najlepsza praca naukowa – Sławomir Poleszak i Rafał Wnuk za książkę „Niezlomni czy realiści? Polskie podziemie antykomunistyczne bez patosu”; najlepszy debiut w pracach naukowych i popularnonaukowych – Justyna Majewska za „Mury i szczeliny. Przestrzenie getta warszawskiego”; najlepsza praca popularnonaukowa – Aneta Prymaka-Oniszczak za „Kamienie musiały polecieć. Wymazywana przeszłość Podlasia”; najlepsza praca w kategorii pamiątek i wspomnień – Krystyna Budnicka, „Ocalałam”, rozmawiają Rafał Kotowski i ks. Grzegorz Michalczyk; najlepsze wydawnictwo źródłowe – seria wydawnicza „Biblioteka Zesłańca. Świadectwa XX wieku”, t. 1-17, opr. i red.: Piotr Cichoracki, Marcelina Jakimowicz, Małgorzata Ruchniewicz. ■

Żegnamy

Prof. dr. hab.

Bogdana Galwasa

Wybitnego uczonego. Człowieka o wyjątkowych kompetencjach i pięknych walorach moralnych. Edukacja i edukowanie społeczeństwa były jego pasją. Pisał również do „Przeglądu”. I były to artykuły głębokie, mądre i pozostające w pamięci. Pamiętamy o życzliwości wobec naszej redakcji i tego, co robimy.

Żegnaj, wspaniały Profesorze

Jerzy Domański z zespołem

5 maja 2025 roku odszedł w wieku 86 lat

Prof. dr hab. Bogdan Galwas

Całe życie zawodowe był związany z Politechniką Warszawską. Był prorektorem PW oraz dziekanem Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych. Zawodowo poświęcił się elektronice i telekomunikacji oraz rozwojowi edukacji. Był pomysłodawcą i współtwórcą pionierskiego Ośrodka Kształcenia na Odległość PW OKNO.

Wieloletnim członkiem Komitetu Prognoz Polskiej Akademii Nauk.

Autorem licznych publikacji i książek. Promotorem wielu prac doktorskich. W czasach polaryzacji i przerysowania dążył do kompromisu i zrozumienia.

Starał się z umiarem ważyć racje. Zachowywał ludzką perspektywę i rozumienie dla aspiracji, wyzwań i słabości każdego człowieka.

Dla rodziny i przyjaciół był oparciem i wzorem. Punktem odniesienia. Źródłem mądrości i wiedzy. Wyrozumiałym i kochającym. Ciepłym i pełnym ironicznego poczucia humoru.

Żona, Syn i Córka z Rodzinami

Zmarszczki

Polska nie potrzebuje operacji plastycznej, tylko zdrowego rozsądku, samodzielnego myślenia i głębszej refleksji

Tomasz Matczak

Gdyby dzisiejszą Polskę przedstawić jako ludzką twarz, gdzie jedna zmarszczka odpowiadałaby jednej linii podziału, wyglądałaby ona na steranego życiem i zrezygnowanego 90-latkę. Bruzdy na czole, bruzdy na policzkach, bruzdy w kącikach ust i oczu, generalnie wszędzie. Wydaje się, że dziś polską tożsamość definiują właśnie podziały. Granice przebiegają w każdym możliwym miejscu. Krzyżują się, przeplatają, wyrastają jedno z drugich, aby pokryć siatką pęknięć społeczny organizm. Najwyraźniejsze są te polityczne. W tym przypadku to nie tylko zwykłe linie, ale pełne kolczastego drutu zasieki, okopy, z których wystają karabiny maszynowe demagogicznych argumentów i granatniki pogardy. Tu flaga europejska, tam tęcza, a jeszcze dalej dumna biało-czerwona. Pod którą chcesz walczyć, Polaku?

Zwykły szary obywatel jest nieustannie szufladkowany jako czyjś zwolennik lub przeciwnik. Ktoś nam wmówił, że mając swoje poglądy, albo kogoś popieramy, albo stoimy w opozycji wobec kogoś innego. Tertium non datur.

Moje własne zdanie przestało być moim własnym zdaniem. Nie istnieje, bo jakiegokolwiek by ono było, zawsze komuś sprzyja, a kogoś innego dyskredytuje. Sceptyczny wobec Unii Europejskiej obywatel to na pewno nawiedzony katol, pisior i fan Grzegorza Brauna w jednym. Zwolennik małżeństw homoseksualnych musi ani chybi być antyklerykalnym lewakiem, a przeciwnik aborcji jest na sto procent antyfeministą i ubranym w żonobijkę damskim bokserem z flaszka piwa w ręce. Feministka zaś

to synonim wrednej, rozwścieczonej baby, malującej błyskawice na murach kościelnych i wywrzaskującej w czasie mszy hasła Strajku Kobiet.

Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam!

Jedna wypowiedziana teza sprawia, że w opinii wielu jasne się staje, kim jesteśmy.

To bardzo wygodne i bardzo wyrachowane podejście do rzeczywistości. Trzeba społeczeństwo przekonać, że to, co myśli, sądzi, uważa na dany temat, nie jest tylko poglądem,

Ktoś nam wmówił, że mając swoje poglądy, albo kogoś popieramy, albo stoimy w opozycji wobec kogoś innego.

refleksją, opowiedzeniem się za jakąś tezę, ale jest immanentną, a zarazem wartościującą niemal ontologicznie rzeczywistością, która natychmiast ustawia nas w pewnej pozycji – jakże łatwo dodać literkę o do tego wyrazu – wobec innych ludzi. Nie do ich poglądów i przekonań, ale w istocie do nich samych. Stąd już prosta droga do szufladkowania, etykietowania i szeregowania.

Jednocześnie nad tym wszystkim unosi się wołanie o zgodę, jedność i wzajemny szacunek. Wołanie tak szczere, jak złoto na festynowym pierścionku.

Różnica potencjałów jest niezbędna, aby płynął prąd. Różnica poglądów jest niezbędna, aby popłynęła polityczna krew. Przekonanie wyborcy, że jest moim wyborcą, gwarantuje sukces, więc trzeba zrobić wszystko, aby wyborcę przekonać, że jest moim wyborcą. Jak to zrobić? Wmówić mu, że mamy te same poglądy, a co za tym idzie, ja jestem niemal

nim samym, bo poglądy to tożsamość. Jeszcze lepiej przekonać go, że ONI, kimkolwiek są, mają inne poglądy. Inne to znaczy szkodliwe, złe, przestarzałe, nieeuropejskie, konserwatywne (niepotrzebne skreślić). Trzeba nieustannie dorzucać coraz to nowe argumenty do ogniska, aby nie zduśić płomieni. Tyle że jedni przy nim się grzeją, a drudzy doznają oparzeń trzeciego stopnia.

Prawie nikt już nie wierzy, że przeciwnik aborcji może być niewierzący, a katolik uważać, że religia w szkole nie spełniła pokładanych w tym rozwiązaniu nadziei. Przekonali nas o tym ci, którzy – aby trzymać się powyższych przykładów, ale można tu podstawić inne elementy – chcą ograniczeń w prawie aborcyjnym czy powrotu katechezy do parafii. Brakuje czasu na merytoryczne dyskusje, na przedstawienie argumentów, na rzeczową ocenę, więc co zostaje? Spolaryzować, zaszufladkować, uderzyć, zakrzyczeć!

Czy jest gdzieś w social mediach i mass mediach jakaś przestrzeń na dyskusję? Trudno ją znaleźć. Za to o obszary z pyskówkami, arogancjami odzywkami i prześmiewczymi komentarzami potykamy się co krok. I nie tylko się potykamy, ale chętnie do nich dołączamy. W imię czego i pod jakim sztandarem? Pod sztandarem troski, hasła o pojednanie oraz rzecz jasna prawdy. Prawdy zaś, jak mawiał pewien filozof, nie wspomnę jego nazwiska, bo zaraz ktoś przyklei mi łatkę, są trzy: cało prawda, tys prawda i g... prawda.

Polska nie potrzebuje dziś operacji plastycznej. Zmarszczki bowiem w pewnym wieku nie szpecą, ale dodają powagi. Potrzebujemy po prostu zdrowego rozsądku, trochę więcej samodzielnego myślenia, głębszej refleksji i roztropności.

Niestety, trudno je dziś znaleźć.

Tomasz Matczak jest niewidomym obserwatorem polskiej sceny politycznej i autorem tekstów

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Dr Duda i kandydaci

Jeżeli ktoś miał jeszcze wątpliwości, czy Polska jest państwem wyznaniowym, decyzja dr. Dudy o żałobie narodowej po śmierci papieża Franciszka wątpliwości te musiała rozwiązać. Zwłaszcza że kontrasygnaty udzielił Donald Tusk. Czy jednak premier miał wyjść? Czy na odmowę kontrasygnaty Duda po cichu nie liczył? A może była to kolejna jego pułapka zastawiona na premiera – jak w przypadku apelu o niearesztowanie Benjamina Netanjahu, którego nikt aresztować nie zamierzał? Jeżeli jednak chodziło Dudzie o żałobę nie po śmierci przywódcy religijnego, lecz głowy obcego państwa – to i ta decyzja była niefortunna. Bo taką żałobę zarządzono w Polsce tylko raz: po śmierci Józefa Stalina. Żałoba po śmierci Jana Pawła II była motywowana głównie jego polskością.

Wpadek jednak u dr. Dudy dostatek. „Prezydent nie jest od tego, by udzielać poparcia jednemu kandydatowi”, oświadczył niedawno. Po czym takiego poparcia udzielił. Cóż, politycy nieraz zmieniają zdanie, nawet tak niezłomni jak Andrzej Duda. Ale przy okazji wyraził on obawę, że wybory mogą być sfałszowane. Poważne oskarżenie! Tymczasem ważność wyborów ma stwierdzić Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Czyżby dr Duda nie ufał tej izbie – tak przez siebie ukochanej, a niebędącej sądem? Wszak innych zagrożeń nie widać.

Ale najpiękniejszy popis oglądaliśmy 3 maja. Oto dr Duda zaapelował, by przestrzegać konstytucji! „Prezydent jak nikt potrafił to święto obchodzić. Jeszcze lepiej potrafił obchodzić samą konstytucję”, skomentował Tusk. Cóż, kto pod kim dotki kopie, ten w nie wpada. W ciągu paru dni sam Duda wpadł w trzecią już pułapkę.

Nie śmiejmy się jednak – może niebawem za nim zaśmiejemy? Wynik wyborów nie jest przesądzony. To tylko w II Rzeczypospolitej wszystko było w miarę przewidywalne, zależne od układu sił politycznych. Wyboru prezydenta dokonywało Zgromadzenie Narodowe – połączone izby Sejmu i Senatu. W ten sposób, jeszcze w roku 1989, wybrano na prezydenta PRL Wojciecha Jaruzelskiego. Jednak tradycję II RP zniszczyła III RP, a konkretnie obóz solidarnościowy, który państwem przedwojennym tak lubił się inspirować. Grupa postów Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej (ROAD) złożyła 28 lipca 1990 r. projekt wprowadzenia prezydenckich wyborów powszechnych, a 27 września tego roku Sejm w tym celu znowelizował konstytucję. Po niedemokratycznej PRL społeczeństwo chorowało wtedy na demokrację

bezpośrednią, a liderzy ROAD, motywowani także doraznym interesem politycznym, nie umieli i nie chcieli temu się oprzeć. Dziś za to płacimy wszyscy.

Bo jak jest, każdy widzi. Jeden kandydat – wariat, drugi – z rozdętym ego, trzeci – przeciw własnej kandydaturze... Kampania prezydencka zmieniła się w cyrk. Tymczasem w sprawie poważnej trzeba być jednak poważnym. Czyli walczyć o coś więcej niż o swą osobę i swą formację. Te warunki spełniają tylko Rafał Trzaskowski i – cokolwiek powiedzieć – Magdalena Biejał. Cokolwiek powiedzieć – bo skoro Trzaskowski jest liderem sondaży, to wszyscy pozostali, z Biejał włącznie, walą głównie w niego. Wytrzyma Trzaskowski to walenie? Okazuje się, że jego największym obciachem jest znajomość języków obcych. Rzeczywiście, prezydent RP znający języki – zgroza! Co innego Karol Nawrocki: swój chłop.

Przyglądam się jednak temu ze spokojem. Nie dlatego, bym nie bał się wyniku, lecz dlatego, że zbyt już

Polska, z jej położeniem geopolitycznym, na szaleństwo wyborcze nie może sobie pozwolić.

dobrze poznałem rodaków. Bo, owszem, jesteśmy zdolni do cudów mobilizacji, lecz pamięć mamy krótką, a do unicestwiania własnych szans – zdolność wręcz genialną. Więc jeżeli już zapomnieliśmy, co przez osiem lat rządów wyprawiało PiS... Jeżeli nam nie przeszkadza ani niekompetencja Nawrockiego, ani jego kłamstwa, ani jego problemy finansowe, ani jego przeszłość... Jeżeli to wszystko jest nieważne, bo ważne są „dwie pucie”... No to na zdrowie.

Widmo prawicowego populizmu, krążące od lat po Europie, ostatnio trochę zbladło. Zapewne Europa przestraszyła się Ameryki. Ale nie przestraszyła się Polska. To znaczy połowa Polski: ta, która jest zapatrzona w Trumpa, a chce głosować na Nawrockiego lub Mentzena. Tymczasem turbulencje, jakie dziś przechodzi cywilizacja euroatlantycka, są groźne dla Europy, lecz śmiertelnie niebezpieczne dla Polski. Nie wiemy, co z nich się wykluje, nie wiemy, jaki świat zobaczymy w roku 2030, u końca kadencji prezydenckiej, ale wiemy, że Polska, z jej położeniem geopolitycznym, na szaleństwo wyborcze nie może sobie pozwolić. Trzymajmy się bezpiecznego Trzaskowskiego.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Katolicy we władzach PRL

Losy polskiego katolicyzmu w czasach Polski Ludowej pokazują fałszywość tezy o „komunistycznym” bądź „totalitarnym” charakterze tamtego państwa

Paweł Siergiejczyk

W IPN-owskim żargonie powojenna Polska określana jest wyłącznie przymiotnikiem „komunistyczna”, czemu towarzyszy dopowiedzenie, że był to „system totalitarny”. Prawdziwe dzieje Polski Ludowej są jednak znacznie bardziej skomplikowane – a przy tym ciekawsze – niż propagandowe schematy wciskane do głów Polaków, zwłaszcza tych młodszych, którzy tamtych czasów nie pamiętają lub nie znają. Niestety, w zakłamywaniu naszej historii przodują ludzie Kościoła katolickiego – zarówno duchowni, jak i świeccy, którzy zwykle afiszują się ze swoją religijnością (jak obecny prezes IPN i kandydat PiS na prezydenta). Tymczasem właśnie losy polskiego katolicyzmu w czasach PRL są najlepszym dowodem na fałszywość tezy o „komunistycznym” bądź „totalitarnym” charakterze tamtego państwa.

Warto zawsze pamiętać, że Polska była jedynym krajem podporządkowanym Moskwie, w którym dominowało wyznanie rzymskokatolickie. Stanowiło to jeden z ważniejszych powodów, dla których budowanie ustroju wzorowanego wprost na radzieckim okazało się niemożliwe. „Polska droga do socjalizmu” musiała uwzględniać siłę i znaczenie Kościoła, tym bardziej że władza PPR, a potem PZPR przez cały okres swojego istnienia wszelkimi sposobami zabiegała o uzyskanie legitymacji społecznej. Jednym z tych sposobów było dążenie do porozumienia z hierarchią kościelną, która – co warto szczególnie dziś podkreślać – nigdy takiego porozumienia nie odrzucała. Doskonale rozumiała

bowiem, że Kościół powinien funkcjonować w każdych warunkach, również pod rządami partii, która oficjalnie deklarowała światopogląd materialistyczny. Tym bardziej że bardzo dobrze pamiętano okupację hitlerowską, gdy Niemcy wymordowali lub przynajmniej uwięzili znaczną część polskiego duchowieństwa. W żadnym razie nie da się z tym porównać nawet jedyne go okresu w historii Polski Ludowej, gdy władza podjęła rzeczywiste prześladowania kleru, czyli lat 1953-1956. Co ciekawe, było to już po śmierci Stalina, który do końca nie pozwalał ekipie Bieruta na tego typu ekscesy, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że w kraju potencjalnie przyfrontowym mogłoby to wywołać niepożądane nastroje w społeczeństwie.

Władza PPR, a potem PZPR przez cały okres swojego istnienia zabiegała o uzyskanie legitymacji społecznej.

Październikowy przełom 1956 r. ostatecznie zamknął okres walki państwa z Kościołem i rozpoczął epokę pokojowego współistnienia, które w czasach rządów Gierka, a szczególnie Jaruzelskiego, przekształciło się w bliską współpracę coraz mniej ideologicznej władzy z coraz bardziej pragmatyczną hierarchią kościelną. Ukoronowaniem tej współpracy okazały się porozumienia Okrągłego Stołu z 1989 r. – wspólne dzieło ekipy rządzącej i episkopatu wspieranego przez Watykan.

Charakterystycznym elementem polityki władz Polski Ludowej wobec Kościoła był udział działaczy katolickich w organach państwa. Jest to element zwykle marginalizowany,

a dziś, gdy dominuje IPN-owska optyka historyczna, sprowadzany głównie do wymiaru „agenturalnego”. To także skutek klerykalnego podejścia do historii Kościoła, które nakazuje uważać za istotne działania kardynałów Wyszyńskiego czy Wojtyły, ale już aktywność świeckich katolików – w takim samym stopniu akceptujących realia polityczne PRL – postrzega się w najlepszym razie jako coś mało istotnego, w najgorszym zaś jako „kolaborację z wrogiem Kościoła”.

Fenomen w bloku

A przecież udział środowisk katolickich w życiu politycznym Polski Ludowej, nawet jeśli miał często charakter fasadowy, stanowił

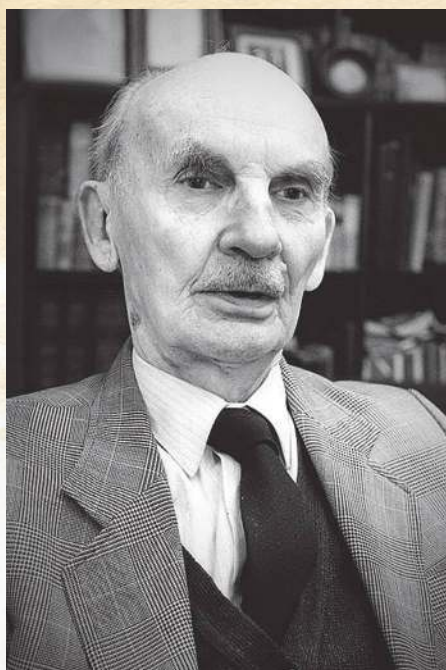
swoisty fenomen na tle całego bloku radzieckiego. Przywódcy partii rządzącej doskonale wiedzieli, że w prorządowych katolikach mają sojuszników nie do końca szczerych, nieakceptujących w stu procentach ich polityki, a już na pewno nie ideologii. W przedwojennej Polsce nie było bowiem tradycji katolicyzmu lewicowego. Wręcz przeciwnie: kler stanowił polityczne zaplecze sił najbardziej „reakcyjnych” i antykomunistycznych, zwłaszcza endecji, w wymiarze społecznym, zaś najbliższą była mu do ziemiaństwa i prawicowej części inteligencji. Nawet sanacja nie cieszyła się zaufaniem ludzi Kościoła, a co dopiero wszelkie siły na lewo od niej.

A jednak zasadnicza zmiana sytuacji geopolitycznej Polski po II wojnie światowej doprowadziła do pojawienia się kilku ośrodków katolickich, które zaakceptowały nową rzeczywistość, definitywnie zamykając swoje przedwojenne sympatie i antypatie polityczne. Dwa najważniejsze pojawiły się już w 1945 r.: w marcu zaczęto wydawać w Krakowie „Tygodnik Powszechny”, a w listopadzie w Warszawie tygodnik „Dziś i Jutro”. O ile ta pierwsza inicjatywa miała wsparcie Kurii Metropolitalnej i osoby abp. Adama Sapiehy, o tyle druga stanowiła inicjatywę całkowicie świecką, a jej relacje z hierarchią kościelną okazały się niełatwe.

Przywódcą środowiska „Dziś i Jutro”, w 1952 r. przekształconego w Stowarzyszenie PAX, był Bolesław Piasecki, którego trafnie scharakteryzował po latach Stefan Kisielewski: „Postać niezwykła. Przed wojną wódz Falangi, niby taki szalenie agresywny, faszystowski, czort wie jaki. W czasie wojny stworzył Konfederację Narodu, która się biła, ale biła się także chyba z Rosjanami, bo oni poszli na Wschód. W rezultacie został aresztowany. Siedział w Lublinie na Zamku. Tam w jakiś sposób przekonał podobno gen. Sierow, przekonał go do siebie. No i go nie rozstrzelali, jakby można było sądzić, tylko oddali polskim władzom. UB przywiózł go do Warszawy. Siedział na Rakowieckiej, ale go wozili na rozmowy do Gomułki, bo zastanowiło wszystkich, że Rosjanie go jednak nie wykończyli. Przekonał Gomułkę, że potrzebna jest nowa grupa katolicka, prorządowa. Zdumiewająca ewolucja, bo jeszcze dwa lata przedtem oni wydawali mapę z granicą od Morza Bałtyckiego do Czarnego. Polska narodowa, antykomunistyczna bardzo, a tu nagle stał się katolickim komunistą”.

Pierwsi w Sejmie

Środowisko kierowane przez Bolesława Piaseckiego było pierwszym, które uzyskało miejsce w budowanym dopiero systemie politycznym Polski Ludowej. Już bowiem w Sejmie ustawodawczym, wyłonionym w styczniu 1947 r., znalazło się trzech



Aleksander Bocheński znalazł się wśród przedstawicieli Katolicko-Społecznego Klubu Poselskiego w Sejmie ustawodawczym, wyłonionym w styczniu 1947 r.

jego przedstawicieli tworzących Katolicko-Społeczny Klub Poselski: Witold Bieńkowski, Aleksander Bocheński i Jan Frankowski. Bieńkowski był przedwojennym pisarzem i publicystą, w czasie okupacji wraz z Zofią Kossak-Szczucką organizował pomoc dla Żydów w ramach Żegoty. Ale miał być też inicjatorem skrytobójczego mordu na Jerzym Makowieckim i Ludwiku Widerszalu (szefach Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK oskarżonych o sympatie prokomunistyczne) dokonanego w czerwcu 1944 r. Zresztą Bieńkowski dość szybko zerwał ze środowiskiem Piaseckiego – w przeciwieństwie do Aleksandra Bocheńskiego, który pozostał wierny PAX przez większość życia. Ten bowiem publicysta i pisarz, prosanacyjny i antysowiecki konserwatyista z kresowej rodziny ziemiańskiej, już pod koniec wojny doszedł do wniosku, że Polska musi odtąd opierać się na współpracy z Rosją, czemu dał wyraz w głośnej książce „Dzieje głupoty w Polsce”, wydanej w 1947 r. Równocześnie przez pierwszą powojenną dekadę pełnił funkcję dyrektora Browarów Okocimskich,

a w późniejszym piarstwie propagował tradycje pozytywizmu gospodarczego i opisywał historię przemysłu w Polsce. I choć posłem był tylko przez jedną kadencję (do 1952 r.), to do czynnego zaangażowania politycznego powrócił w latach 80., popierając stan wojenny i wchodząc do Rady Krajowej prorządowego Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że przewodniczącym PRON był od początku Jan Dobraczyński, przedwojenny narodowiec, a w czasie wojny również działacz Żegoty i oficer AK (w 1988 r. awansowany przez gen. Jaruzelskiego do stopnia generała brygady w stanie spoczynku), czołowy katolicki literat w powojennej Polsce, którego liczne powieści w masowych nakładach wydawał Instytut Wydawniczy PAX. Dobraczyński z kolei reprezentował środowisko Piaseckiego w Sejmie PRL I kadencji w latach 1952-1956. Co ciekawe, gdy w kwietniu 1956 r., na fali postalinowskiej odwilży uchwalano ustawę legalizującą aborcję, Dobraczyński był jednym z dwóch zaledwie posłów, którzy wystąpili przeciw – drugim był prof. Andrzej Wojtkowski, historyk z KUL, ojciec późniejszego biskupa warmińskiego Juliana Wojtkowskiego.

W pierwszym Sejmie PRL było jeszcze kilku innych posłów katolickich, m.in. Dominik Horodyński, pochodzący z rodziny ziemiańskiej był oficer Kedywu AK i powstaniec warszawski, później znany dziennikarz, korespondent radia i telewizji w Rzymie oraz redaktor naczelny warszawskiego tygodnika „Kultura”.

Odwilż i przełom październikowy okazały się krytycznym momentem dla Bolesława Piaseckiego. W Stowarzyszeniu PAX doszło do dwóch rozłamów: tzw. frondy młodych działaczy z Tadeuszem Mazowieckim i Januszem Zabłockim na czele w 1955 r. oraz secesji z 1956 r., gdy PAX opuścili m.in. posłowie Jan Frankowski i Konstanty Łubieński. W tym samym czasie Watykan oficjalnie potępił publicystykę ▶

► Piaseckiego, on sam zaś w krytycznych dniach Października 1956 r. nie-dwuznacznie opowiedział się przeciwko demokratyzacji i nastrojom antyradzieckim. W związku z tym po powrocie Władysława Gomułki do władzy powszechnie oczekiwano likwidacji PAX i końca kariery politycznej jego przywódcy. Jednak po spotkaniu Piaseckiego z nowym I sekretarzem na początku 1957 r. okazało się, że PAX będzie działał dalej, choć w przeprowadzonych wówczas wyborach do Sejmu II kadencji jego działacze nie uzyskali mandatów poselskich.

Powrócili za to w kolejnej kadencji i odtąd przez następnych 30 lat jako poselskie PAX było stałym elementem sejmowego krajobrazu. Początkowo liczyło tylko trzech posłów, później liczba ta wzrastała – aż do 10 w 1989 r. Byli wśród nich m.in. syn przedwojennego premiera Andrzej Kazimierz Grabski (zmarł w 1965 r.), znany chirurg i dyrektor warszawskiego Szpitala Praskiego, w czasie wojny zastępca komendanta głównego Konfederacji Narodu – Jerzy Hagmajer (był posem do 1976 r.), a także byli akowcy zesłani pod koniec wojny na Syberię – Józef Knapik (poseł kielecki do 1969 r.) i Ryszard Reiff (zasiadał w Sejmie w latach 1965-1969 i 1980-1985).

Wrzód na d...

Takim ludziom w czasach stalinowskich dawał schronienie w swojej organizacji Bolesław Piasecki, który jednak przez długie lata sam nie miał wstępu na salę poselską. Po raz pierwszy zasiadł w Sejmie dopiero w 1965 r., gdy coraz mniej było we władzach PRL przedwojennych komunistów i socjalistów, zwłaszcza żydowskiego pochodzenia, którzy nigdy nie pogodzili się z takim awansem wodza przedwojennej Falangi. Jeden ze starych komunistów, wice-minister spraw wewnętrznych Antoni Alster, tak mówił o Piaseckim pod koniec 1960 r. (co odnotował Mieczysław Rakowski w swoich dziennikach): „Jest to facet ambitny, który kiedy tylko może, ciosa nam kółki na głowie. Jego organizacja ma 120 mln rocznego obrotu. Dla nas faktycznie



Wręczenie Nagrody Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka przez Stowarzyszenie PAX. Od lewej: ks. prof. Mieczysław Żywczyński, Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki, w drugim rzędzie Tadeusz Mazowiecki. Warszawa 1954 r.

jest bezużyteczna. Chcieliśmy, aby był to wrzód na dupie Wyszyńskiego, a tymczasem uplasował się na naszym tyłku. Nikt jednak nie ma odwagi go przeciąć. Niektórzy wciąż jeszcze wyobrażają sobie, że może kiedyś się przydać”.

Rzeczywiście, w marcu 1968 r. prasa podlegająca Piaseckiemu (zwłaszcza „Słowo Powszechne”) bardzo zaangażowała się w kampanię antysemicką, która usunęła z władz takich ludzi jak Alster. A gdy Gomułkę zastąpił Edward Gierek, już w czerwcu 1971 r. przywódca PAX awansował na członka Rady Państwa PRL. Ówczesny członek Biura Politycznego KC PZPR Józef Tejchma odnotował wtedy w swoich dziennikach „pewien niesmak”, dodając: „Piasecki wywołuje irracjonalne wręcz odruchy niechęci. Bohdan Czeszko mówił, że nie wie dlaczego, ale jest kurwa niezadowolony. Jest po prostu niezadowolony, że taka sprawa zaistniała. Jestem przekonany, że partia niewiele zyskuje na takim posunięciu, choć chłodno rzecz biorąc, Piasecki przez 25 lat działa na rzecz Polski Ludowej i awans ten wydaje się logiczny. A jednak budzi to nazwisko jakieś wzburzenie umysłów, jakiś odruchowy protest”.

Z kolei Rakowski zapisał wówczas informację, że „idea powołania go do Rady Państwa wyległa się w głowach Szlachcica i Kani. Być może chcieli mu w ten sposób zapłacić za rolę, jaką odegrał w marcu 1968 r.,

a także wynagrodzić to, że musi zrezygnować z marzeń o przekształceniu PAX w ruch polityczny”.

Bycie liderem czwartej, katolickiej partii politycznej w PRL – obok PZPR, ZSL i SD – było niewątpliwie największym marzeniem Piaseckiego. Ale nie jedynym. Jak stwierdził Stefan Kisielewski: „Jego marzeniem było, żeby zostać katolickim wicepremierem. Spełniło się dopiero po jego śmierci. Niestety, został nim mało znany człowiek, Komender. On by może ciekawiej się popisał”.

Wspomniany Zenon Komender był trzecim z kolei przewodniczącym Stowarzyszenia PAX. Po śmierci Piaseckiego 1 stycznia 1979 r. jego następcą został Ryszard Reiff, który jednak po powstaniu Solidarności chciał zerwać z prorządowym kierunkiem organizacji. Dał temu wyraz 13 grudnia 1981 r., gdy jako jedyny członek Rady Państwa sprzeciwił się wprowadzeniu stanu wojennego. Został za to usunięty ze wszystkich stanowisk i na czele PAX zastąpił go właśnie Komender, który w latach 1982-1985 rzeczywiście był wicepremierem, a później, do końca PRL, wiceprzewodniczącym Rady Państwa. Obie te wysokie funkcje pełnił u boku gen. Jaruzelskiego, notabene swojego szkolnego kolegi z Gimnazjum Księża Marianów na warszawskich Bielanych. Komender to kolejny dawny akowiec i narodowiec, a przy tym wieloletni więzień stalinowski, który tak wysoko awansował.

Zresztą w latach 80. działacze PAX można było spotkać na wielu eksponowanych stanowiskach: poznański prawnik prof. Alfons Klafkowski w 1982 r. zastąpił Reiffa w Radzie Państwa, w latach 1985-1989 był zaś pierwszym w historii Polski prezesem Trybunału Konstytucyjnego, natomiast znany publicysta międzynarodowy i politolog Janusz Stefanowicz (wiceprzewodniczący PAX i poseł) w latach 1984-1988 był ambasadorem PRL w Paryżu.

Pluralizm wśród katolików

Ale PAX nie był jedyną organizacją katolicką reprezentowaną we władzach powojennej Polski. Przelom październikowy umożliwił zaistnienie faktycznego pluralizmu także w środowiskach katolików świeckich. Dzięki temu w 1957 r. powstało Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, którego pierwszym prezesem (do 1968 r.) został Jan Frankowski, zasiadający w Sejmie bez przerwy przez ćwierć wieku (w latach 1947-1972). Kolejnymi liderami ChSS byli Zygmunt Filipowicz (do 1974 r.) i Kazimierz Morawski, który w 1989 r. przekształcił stowarzyszenie w Unię Chrześcijańsko-Społeczną, która w 1996 r. przystąpiła do koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej jako jeden z autonomicznych podmiotów. Sam Morawski w latach 1982-1989 zasiadał w Radzie Państwa, później był doradcą prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Wśród PRL-owskich organizacji katolickich ChSS jako jedyna skupiała także chrześcijan innych wyznań. Świadectwem tego były przyznane stowarzyszeniu w 1985 r. mandaty poselskie dla czołowego działacza prawosławnego z Podlasia Eugeniusza Czykwina i przedstawiciela społeczności luterańskiej na Mazurach Wiktora Leyka. Trudno temu się dziwić, wszak ChSS nie wywodziło się, jak PAX, ze środowisk narodowo-katolickich (zresztą Frankowski miał po ojcu żydowskie korzenie), za to skupiało zdumiewająco wielu ludzi pochodzących z przedwojennego ziemiaństwa, a nawet arystokracji. Kilkuosobowe koło ChSS było w Sejmie PRL najbardziej „herbową”

frakcją, z takimi postaciami jak Stanisław Jan Rostworowski (1972-1985) czy wspomniany Kazimierz Morawski (1976-1989).

Najbardziej znanym arystokratą we władzach PRL był jednak Konstanty Łubieński, pochodzący ze znanej hrabiowskiej rodziny, w latach 30. XX w. związany z grupą młodych prosanacyjnych konserwatystów (środowisko Jerzego Giedroycia oraz braci Adolfa i Aleksandra Bocheńskich), potem oficer Armii Krajowej, gdzie dowodził Inspektoratem Mielec, po wojnie działacz PAX, z którym rozstał się w 1956 r. W Sejmie PRL zasiadał od 1952 r. do śmierci w 1977 r., przez ostatnich kilkanaście miesięcy życia był zaś członkiem Rady Państwa.



Kazimierz Morawski i Jan Dobraczyński na posiedzeniu Sejmu PRL IX kadencji. Warszawa, 6 listopada 1985 r.

Z osobą Łubieńskiego wiąże się powikłane losy najbardziej znanego z katolickich kół poselskich – Znak. Jego nazwa pochodziła od tytułu krakowskiego miesięcznika wydawanego od 1946 r. pod redakcją m.in. Stanisława Stommy. Ten pochodzący z Wilna prawnik i publicysta już rok po wojnie sformułował koncepcję zaangażowania katolików w życie duchowe i kulturalne, ale nie polityczne, co oznaczało pogodzenie się z powojenną rzeczywistością i nowym ustrojem. Jednak 10 lat później, na fali polskiego Października, to właśnie ludzie ze środowiska „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego” (czasopism reaktywowanych po latach 1953-1956) zdecydowali się

na aktywność polityczną. Ich bazą społeczną były tworzone wówczas w największych miastach Kluby Inteligencji Katolickiej (KIK).

W Sejmie wybranym w styczniu 1957 r. znalazło się pięciu postów koła Znak: Stomma jako przewodniczący, znany publicysta i kompozytor o prawicowych poglądach Stefan Kisielewski, czołowy pisarz katolicki Jerzy Zawieyski, wykładowca KUL Zbigniew Makarczyk oraz tarnowski sadownik Antoni Gładysz (ten ostatni szybko opuścił koło, a potem wyjechał do USA). W trakcie kadencji dołączyło do nich kilku kolejnych postów niezrzeszonych: Konstanty Łubieński, Miron Kołakowski (advokat z Częstochowy, przed wojną i podczas okupacji działacz Stronnictwa

Narodowego), Paweł Kwoczek (przedwojenny działacz narodowy na Opolszczyźnie), Wanda Pieniężna (przedwojenna działaczka narodowa na Warmii i Mazurach) i Kazimierz Skowroński (nauczyciel historii z Kolbuszowej, były działacz Mikołajczykowskiego PSL). Znaczącym faktem było też powołanie Jerzego Zawieyskiego w skład Rady Państwa, gdzie zasiadał od kwietnia 1968 r. i został odwołany wskutek nagonki po jego sejmowym wystąpieniu w obronie protestujących studentów.

W Sejmie wybranym w 1961 r. koło Znak zmniejszyło się już do pięciu osób: obok Stommy, Zawieyskiego, Kisielewskiego i Łubieńskiego pojawił się znacznie młodszy od nich Tadeusz ▶

► Mazowiecki, redaktor naczelny warszawskiego miesięcznika „Więź” (był posłem do 1972 r.). W epoce Gomułki i wczesnego Gierka koło Znak odgrywało rolę nieformalnej opozycji sejmowej, lecz opozycji akceptującej ustrojowe i geopolityczne realia PRL, a krytykującej władzę w konkretnych sprawach, zwłaszcza związanych z relacjami państwo-Kościół, prawami obywatelskimi i polityką gospodarczą. Dlatego też skład koła w każdej kadencji się zmieniał, aż w połowie lat 70. z pierwotnej grupy pozostał tylko Stomma, który karierę poselską zakończył wstrzymaniem się od głosu w sprawie zmian w Konstytucji PRL w lutym 1976 r.

Wyrzuceni z pamięci

Od tej pory koło Znak przejęli działacze o znacznie bardziej prorządowych, ale też endeckich i chadeczkich poglądach, jak historyk z KUL prof. Ryszard Bender (poseł w latach 1976-1980 i 1985-1989), były akowiec Wacław Auleytnier (zasiadał w Sejmie w latach 1972-1985) czy lider tej grupy Janusz Zabłocki (poseł w latach 1965-1985). Na fali zmian politycznych w 1981 r. utworzyli oni Polski Związek Katolicko-Społeczny, który odtąd stał się trzecią organizacją

katolików świeckich – obok PAX i ChSS. Marzeniem Zabłockiego, który w młodości był żołnierzem AK i powojennego podziemia (ujawnił się podczas amnestii w 1947 r.), było utworzenie w PRL partii chrześcijańsko-demokratycznej, jednak nawet jego poparcie dla stanu wojennego i wejście do władz PRON nic tu nie pomogło. Tym bardziej że w 1984 r. Zabłocki został usunięty z funkcji prezesa PZKS przez jeszcze bardziej rządową grupę narodowców.

Za narodowca uchodził też związany początkowo z PZKS ekonomista z KUL prof. Jerzy Ozdowski, który w ostatniej dekadzie PRL zrobił oszałamiającą karierę: w kwietniu 1980 r. został członkiem Rady Państwa, w listopadzie tego samego roku wicepremierem, a w lipcu 1982 r. – wicemarszałkiem Sejmu, którym pozostał do czerwca 1989 r.

I właśnie wybory czerwcowe w 1989 r. okazały się końcem politycznej roli katolików świeckich funkcjonujących w elitach politycznych PRL. Bo chociaż jeszcze we wrześniu tego roku Rakowski – już jako I sekretarz KC PZPR – notował po spotkaniu z liderami PAX, ChSS i PZKS: „Razem mają 23 posłów. Jak do tej pory, nie zawiedli nas”, to już w listopadzie 1989 r. w tym samym

gronie jego rozmówcy narzekali na prezydenta Jaruzelskiego, że „nie uwzględnia ich interesów, a ściślej – nie dostrzega ich jako rzeczywistych sojuszników partii” oraz że „pozostali sami, nikt nie wyciąga do nich ręki (chodzi o partię)”.

Ale trudno, żeby było inaczej, skoro sama PZPR była już wtedy w przeddzień samorozwiązania, a hierarchia kościelna i kler zdecydowanie postawiły na solidarnościową prawicę. Ta zaś nie potrzebowała „kolaborantów komuny” (z jednym wyjątkiem – Ryszarda Bendera, który w III RP trzykrotnie był senatorem, reprezentując najbardziej antykomunistyczne partie prawicowe), a gdy powstał IPN, bezwzględnie zaczęła ich lustrować. Dlatego katolicy, którzy akceptowali Polskę Ludową jako swoją jedyną ojczyznę, nie mogą dziś liczyć na dobrą pamięć. A przecież byli to nieraz ludzie, którzy swój patriotyzm czynnie udowodnili podczas wojny, wchodząc zaś do organów władzy PRL musieli porzucić swój wcześniejszy antykomunizm, a często i skrajny nacjonalizm. Czy to się komuś podobaba, czy nie, byli de facto jedynymi legalnymi reprezentantami tej części społeczeństwa, która pozostała silnie związana z Kościołem.

Paweł Siergiejczyk

ŚLĄZACY Z NAGRODAMI

Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie od 1995 r. przyznaje swoje roczne nagrody. Ich laureatami byli m.in.: Henryk Mikołaj Górecki, Kazimierz Kut, Stanisław Hadyna, Jan Miodek, Waldeemar Świerzy, Jan Goczoł, Dorota Simonides, Olgierd Łukaszewicz, Krystyna Loska, Gerard Cieślik, prof. Marian Zembala i prof. Stanisław Sławomir Nicieja. W 2008 r. nagrodę otrzymał Józef Musioł, sędzia z zawodu, znany z niezłomnej postawy, animator dorocznych spotkań Ślązaków związanych z Warszawą.

Laureatką Nagrody Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie za 2025 r. została prof. Aniela Kuenne-Müller, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Akademii Sztuk w historycznym mieście Trier, w którym otrzymała tytuł profesora dożywotniego. Z wielkim powodzeniem uprawia malarstwo, rysunek i ilustrację. Wywodząca się ze znanej śląskiej rodziny



Nagrodę prof. Anieli Kuenne-Müller wręczył Ryszard Musioł, syn Józefa Musioła.



Dyrektor Teatru Ziemi Rybnickiej Michał Wojacek (z lewej) i prezydent Rybnika Piotr Kuczera.

w Bieruniu Starym i mieszkająca w Niemczech artystka podtrzymuje żywe kontakty z Polską, a zwłaszcza ze Śląskiem.

Nagrodzono też Teatr Ziemi Rybnickiej, jedną z najważniejszych instytucji kultury na Śląsku, która odgrywa rolę kulturalnego centrum regionu. Wśród najważniejszych inicjatyw są Rybnickie Dni Literatury, Silesian Jazz Meeting i Festiwal Jazzu Tradycyjnego.

Galę uświetnił występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny.



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Gdy czytam liczne wypowiedzi na temat tzw. socjału, w tym szczególnie osławionego 800+, studiuję programy niektórych partii, z Konfederacją na czele, przysłuchuję się wypowiedziom polityków ze wszystkich partii, czytam felietony niektórych gwiazd felietonistyki polskiej, dochodzę do wniosku, że darwinizm społeczny trzyma się w Polsce mocno. Na naszej scenie pojawił się zaraz na początku transformacji i ujawnił w narzekaniach na brak stosownych kompetencji cywilizacyjnych ludzi poddanych brutalnej transformacji, na ich przywiązanie do starych, złych nawyków, na nieumiejętność dostosowania się do wymogów kapitalistycznej organizacji pracy, na ich mentalność żywcem wyjętą z czasów „komuny” („homo sovieticus”). A także w osławionej formule „rynek zdecyduje”, która zamykała dyskusję na temat losów całych grup społecznych, z klasą robotniczą i pracownikami PGR-ów na czele.

Podejście to niejako automatycznie zdjęło odpowiedzialność za przegranych z barków zwycięzców, uwolniło ich od wyrzutów sumienia, wszak gra była ich zdaniem czysta, a przegrany sam sobie był winien. Jeśli w wyniku klęski umrze z głodu, trudno. Niech to będzie lekcja dla innych, aby bardziej się starali, a przede wszystkim pokornie skłonili głowę przed urodzonymi zwycięzcami. Systematyczne okrucieństwo i całkowita bezduszość ukrywają się pod płaszczykiem koniecznych, choć przykrych skutków ubocznych gry, w którą grając, godzimy się niejako na możliwość przegranej. Zwycięzcy zaś powinni nosić głowę wysoko, sukces jednak jest jedynie ich zasługą, to oni jako self-made mani pracowali więcej (np. 16 godzin na dobę), starali się bardziej i nie pozwolą sobie zepsuć smaku zwycięstwa zarzutami o brak wrażliwości moralnej czy społecznej. Mam, bo na to zasługuję, a ty nie masz, bo się za mało starałeś.

Darwinizm społeczny

Dyskurs darwinizmu społecznego wzięty był z XIX w. To jednak wtedy, za sprawą angielskiego filozofa Herberta Spencera, stał się istotnym elementem zachodniego pejzażu intelektualnego. Był skutkiem typowego dla XIX w. zafascynowania rodzącą się nauką biologii i uznaniem, że jej ustalenia powinny stanowić podstawę wszelkich dociekań naukowych, także odnoszących się do społeczeństwa. Istotnym elementem owego biologizmu stała się teoria ewolucji Karola Darwina, która pokazywała świat przyrody jako obszar permanentnej walki o przetrwanie, w której wygrywają gatunki lepiej dostosowane do środowiska, a giną te nieradzące sobie w konkurencji. Darwinizm społeczny był przeniesieniem zasad ewolucji darwinowskiej do sfery społecznej. Przy czym zakładano wtedy, jak i dziś, że kapitalizm jest niejako naturalnym środowiskiem człowieka, a zatem dostosowanie się do jego wymogów uznano automatycznie za znak zwycięstwa w wyścigu o przetrwanie i rozwój, brak zaś owego dostosowania za wyraz zawinionej przez siebie braku intelektualnego czy moralnego, prowadzącego do zasłużonego upadku (szczególnie popularne było oskarżenie o lenistwo). W tej perspektywie zwycięzca tylko sobie zawdzięcza sukces, a przegrany jedynie siebie może winić za porażkę. Przy czym darwinowskiego mechanizmu selekcji nie można oskarżać o niemoralność, jego okrucieństwo wynika bowiem z samej natury ewolucji. Silniejsi wygrywają, słabsi muszą ulec, taki jest świat. Tym ostatnim można pomóc co najwyżej przez łaskę filantropii, a nie systemowo, kara, jaka ich spotyka jest bowiem przez nich samych zawiniona i ma wymiar wychowawczy. Ewentualna litość zatem, a nie solidarność, oto przesłanie darwinizmu społecznego.

Brutalny przekaz darwinizmu społecznego przemawia przede wszystkim do tych, którzy chcą wziąć udział w wyścigu, pewni, że wygrają. Są młodzi, silni i zdrowi. Gotowi na bezwzględną walkę. Tak jak polscy młodzi mężczyźni, w większości zwolennicy Konfederacji, partii otwarcie socjaldarwinistycznej. Chcą wygrać i niech nikt im nie przeszkadza. Żadna moralność – śpiewka słabszych, żadne państwo – nadzieja przegrywów. Walcz albo giń. I to walcz brutalnie, bo brutalność jest wpisana w zasady systemu. Nie zbudowaliśmy przecież zniechęcającego kapitalizmu skandynawskiego, ale męski – amerykański, gdzie albo wygrywasz, albo łądujesz na ulicy i zdychasz pod płotem (codziennie na ulicach amerykańskich miast umierają dziesiątki ludzi). W jego stworzeniu maczały palce wszystkie polskie partie polityczne od 1989 r. Wszystkie je łączyła wiara w to, że rynek kapitalistyczny wzmocni silnych i wyeliminuje słabych. Niech idą na dno, jednak sami są sobie winni. Wszystkie też zadbały przede wszystkim o interesy tych, którzy z reguły wygrywają – wielkiego biznesu. Jak od much opędzając się od tych, którymi de facto od początku pogardzały: słabych, biednych, chorych, przegranych. Niepisana umowa była taka: niech bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni niech znikną nam z oczu, bo są naszym zbiorowym wstydem. Władza mówi od zawsze: jesteśmy po to, aby strzec wszystkich interesów. Sami mamy duże majątki i wiemy, jak je pomnażać (niektórzy postowie mogliby wydać poradnik), więc rozumiemy chciwość bogatych.

I tak oto realizuje się w Polsce zasada, która rządzi polityką amerykańską od niepamiętnych czasów: rządy bogatych, przez bogatych, dla bogatych. ■

RYGA SIĘ NIE BUNTUJE

Miasto ma potencjał,
ale nie ma na siebie pomysłu

Anna Wyrwik
Korespondencja z Łotwy

Para dziewczyn lekko się kiwa. Red Bulle w dłoniach, płaszcze na plecach, na ramionach torebki z imitacji skóry. Chłopaki w porozdzieranych džinsach i czarnych kurtkach puchowych skaczą z rękoma w górę. „Omnibus! Omnibus!”, leci piosenka, a ludzie tańczą. Nad nimi wiruje kula. Didżejka wycisza na kilka sekund muzykę, by ludzie wykrzyzcili fragment tekstu, i jedzie dalej. Jak na koncercie.

Klub nazywa się Tallinas Pagalms i mieści się w kombinacie o nazwie Tallinas kvartāls. Tereny poprzemysłowe, knajpy, kluby, restauracje, hala z jedzeniem, ludzie palą na zewnątrz tłumnie, a na ścianach krzyczą grafitti. W środku wiszą zdjęcia i plakaty. Stary zegar i telewizor na leciwym regale. Fotele, stoły, kanapy z lat 70. czy 80. Siedząc w takim fotelu ze słodkim piwem Madonas, zastanawiam się, czy Ryga to Bałkany wschodu.

Usterka w systemie

Z głośników dobiega amerykański hit z lat 50., tyle że po łotewsku. Na krześle obok rośnie sterta kurtek. Chłopaki i dziewczyny tańczą. Nie ma w tej knajpie turystów i nie ma hipsterów. Choć w Rydze są, ale tylko okazjonalnie. Bo są tu hipsterskie kawiarnie, jak Rocket Bean Roastery, gdzie wypalają kawę, a ludzie, którzy wchodzi do środka, wyglądają jak goście z nowojorskiego

Brooklynu, berlińskiego Kreuzberga i londyńskiego Hackney. I modne psy mają. A to, czego nie mają, to luz. Są jacyś spięci i te ciuchy wcale nie leżą na nich w sposób naturalny. Jakby to wszystko przyszło obce ze świata, skoro lata Ryanair.

Buntu w Rydze nie widać. Jakaś dziewczyna ma „Fuck” na koszulce, gdzieś obija mi się o oczy wlepka „Be a rebel” i to wszystko. Jeszcze trochę street artu. Młodzi są wszędzie, tylko młodości jakoś mi tu brak. Trafiła się w jednym tylko miejscu. Nazywa Museum LV, a tytuł wystawy to „NOME | black tape revolution”. „NOME to błąd w systemie”, a „BLACK TAPE to błąd, który staje się globalnym ruchem”, pisze inicjatorka wydarzenia Elina Magilina. I rozmyśla o jednostce uwikłanej w system, której życiem rządzą algorytmy. Krytykuje reklamy, billboardy, marki, social media i szuka w tym wszystkim człowieka. „Twój wybór jest rewolucją”, pisze i pyta: „Czy odważysz się być USTERKĄ w systemie?”.

Miasto jest spokojne i ciche. Jak gdyby wszyscy z niego puciekali. Mało ich tu po prostu. W Rydze mieszka 600 tys. ludzi na 300 km kw. Z polskich miast najbliższymi tym danymi byłoby do Łodzi. Próbuje chwycić tożsamość mieszkańców stolicy Łotwy, ale mi się nie udaje. To ci w hipsterskiej kawiarni, ci na dyskotekę czy facet, który idzie ulicą z kiełbasą i chlebem w plastikowej reklamówce? Do tego dochodzi świadomość, że 25% społeczeństwa na Łotwie stanowią Rosjanie. W 2023 r. w Rydze mieszkało ich ponad 200 tys.



Niedobitki turystów przechadzają się po centrum, wymieniając uwagi o pamiątkach. Na większości suwenirów jest kot z filmu animowanego „Flow” w reżyserii Gintsa Zilbalodisa. Magnesy, pocztówki, breloczki – wszędzie kot z „Flow”. I na wielkim napisie „Riga” na starówce, niedaleko pomnika Strzelców Łotewskich, też siedzi kot. „Flow” wygrał Oscara i wygrał całą Łotwę. Co do pomnika, jest to 13 m ciężkiego socjalizmu. Kiedyś był poświęcony Czerwonym Strzelcom Łotewskim, dziś Strzelcom Łotewskim 1915-1920. Historia.

Po drugiej stronie Dźwiny, na którą przechodzę mostem Kamiennym, też jest historia. Choć chciałaby być nowoczesnością. Biblioteka Narodowa Łotwy od 2014 r. mieści się w nowej siedzibie, określanej mianem nowoczesnej, ale mnie na myśl przywodzi



W klubie
Tallinas
Pagalms.

Na osiedlach
między blokami
jest zielona
przestrzeń
i place zabaw
w starym stylu.



Targ Centralny
to kompleks
pawilonów,
konkretnie
byłych
hangarów dla
sterowców.

Barwy
ukraińskie
na graffiti.



socjalizm. Nie wiem tylko, czy styl miał być nawiązaniem do tradycji, czy po prostu siedzi tu tak głęboko, że bez tego się nie da.

W mieście jest trochę wszystkiego. Trochę Niemiec, trochę Rosji i trochę socjalizmu właśnie. Z bloków z zabudowanymi balkonami wystają wielkie talerze anten satelitarnych. Secesyjne kamienice, których jest tu niemal 800, bo to miasto Art Nouveau, mają kute bramy, zdobione fasady i oryginalne ornamenty. Restauracje oferują ryby, bary – piwa zwykłe i kraftowe. A na parkingach widać sporo samochodów marki Volvo.auta są tu, jak wszystko, stare (tądy), nowe (volvo) i szpanerskie (np. jaguar z żółtymi felgami). Są też oczywiście mercedesy, audi i są koleś w czarnych kurtkach chodzący grupami. Gdy byłam tu w 2008 r.,

Ryga mnie zachwyciła, dziś mam wrażenie, że od tego czasu niewiele się zmieniła. Poza tym, co przyleciało Ryanaiem. Oddalone o 300 km Wilno wykonało o wiele większą robotę.

Polityka, Ukraina i Ryga

Wychodzę na papierosa na zewnątrz Tallinas Pagalms, a tam tłum, więc w tłumie prowadzę polityczne rozmowy i tak się składa, że natykam się na skrajności. Pierwszy chłopak ma ok. 30 lat, kilkudniowy zarost, żonę i nie pochodzi z Rygi, ale z miejsca oddalonego o godzinę jazdy, bo kraj mały. Tak mówi. Nazwijmy go Jānis. Jānis popiera Edgarsa Rinkēviča, prezydenta Łotwy z centroprawicowej koalicji Nowa Jedność. W 2022 r. partia uzyskała prawie 19% w wyborach parlamentarnych

i teraz tworzy rząd z dwiema innymi partiami, a konkretnie z centrowym Związkiem Zielonych i Rolników oraz socjaldemokratami z Postępowych. Jest proeuropejska i proukraińska. Podobnie jak prezydent i dlatego Jānis go popiera, bo jest za Unią i za pomocą Ukrainie. Mówi, że wie, że Łotwy nikt osobno nie traktuje. „Baltic countries” zawsze są w pakiecie z Litwą i Estonią. I dodaje, że Polska jest duża i jest wielkim przyjacielem krajów bałtyckich. A Rygę uwielbia, był tu i tam, a jednak tu mu najlepiej.

Tłum pali, pije, krzyczy, śmieje się. Weekend i zabawa. Chłopaki wyglądające na ok. 20 lat, zagadują, więc ja też zagaduję i pytam o politykę. Niech będzie, że to Pēteris i Andrejs. Pēteris cofa się do czasów ZSRR, choć młoda twarz wskazuje, że ich nie pamięta. Jego zdaniem jednak ▶

► były lepsze niż dzisiejsze. Andrejs zaś mówi, że ludzie wojny się boją, ale tak w ogóle to wina Ukrainy, że wojna tyle trwa. Bo mogli to dawno powstrzymać. Tak chłopaki uważają. Uważają też, że przed wojną było dla Łotwy lepiej, bo Łotysze robili interesy z Rosjanami, którzy mają pieniądze i wszystko mają, wiadomo, a teraz się ich wyklucza.

Wtrącę do „wyklucza”. W 2022 r. po agresji Rosji na Ukrainę władze Łotwy zmieniły prawo dotyczące statusu cudzoziemców. Mieszkańcy z rosyjskimi paszportami, by móc legalnie pozostać na Łotwie, musieli się ubiegać o status stałego rezydenta i zdać test z języka łotewskiego. Ci, którzy tego nie zrobili, musieli opuścić kraj.

Wracamy do Tallinas kvartāls, gdzie palimy z chłopakami papierosy. Pytam o prezydenta, ale mówią o nim słowami, które trudno przytaczać, po czym znowu, że to wina Ukrainy, że ta wojna tyle trwa. Pēteris twierdzi, że jak Ukraina odda ziemię, to się skończy, bo Rosji tylko o Krym chodzi. Ja mówię, że nie tylko, bo jeszcze o Donbas. Oni, żeby Donbas też oddała, wtedy mniej ludzi będzie ginąć. Gdy pytam, co z tymi ludźmi z Krymu i Donbasu, którzy nie chcą mieszkać w Rosji, słyszę, że mogą się wyprowadzić. Pojawia się koleżanka Pēterisa i Andrejsa i nie wiedząc czemu pyta: „Kamala Harris or Donald Trump?”. Oni, że Trump. Pogląd oraz sposób ich wyrażania wchodzący w styl niemal recytacji każą mi podejrzewać, że Pēteris i Andrejs są wyborcami prawicowej i antyukraińskiej partii Zjednoczenie Narodowe „Wszystko dla Łotwy!”. Partia ta w ostatnich wyborach zdobyła niewiele ponad 9% głosów. W Parlamencie Europejskim współdzieli obecność w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów m.in. z europosłami PiS.

Czemu ta Ukraina jest tak ważna w rozmowach? Odpowiedź wydaje się oczywista i jest na mapie świata. Ale jest też na ulicach Rygi wraz z setkami, a nawet tysiącami ukraińskich flag na budynkach, instytucjach rządowych i kulturalnych, w oknach

i na balkonach. Na licznych graffiti na murach też są ukraińskie barwy. Gdy zaś wchodzi się powiedzmy do miejsca o nazwie Rīgas mākslas telpa, co oznacza miejsce sztuki, na ekranie napisane jest #StandWithUkraine.

W miejscu sztuki jest wystawa „Siegfried – Nomadic Cinema”, wspominająca Siegfrieda Debrebanta, francuskiego kompozytora, muzyka, a przede wszystkim reżysera filmowego. W jednej z sal trwa projekcja filmu „Kinogamma Part One: East”, kręconego w Rosji. A ja zastanawiam się, ile w tej Rydze jeszcze Rosji zostało, i idę sprawdzić na targ.



Kot z oscarowego filmu animowanego „Flow” promuje miasto.

Rīgas Centrālirtgus paviljoni, czyli Targ Centralny, to kompleks pawilonów, a konkretnie byłych hangarów dla sterowców. Pachnie rybą i mięsem podawanym bez rękawiczek, a kobiety w niebieskich fartuchach, które je pakują, mówią po rosyjsku.

Poradziecja to słowo, które w Rydze często świszcze mi w głowie. Co poradzę, że równie często jak Europą pachnie mi tu Związkiem Radzieckim? Nie tylko w autobusie, gdzie kobieta w średnim wieku mówi do mnie po rosyjsku i pomaga w przejażdżce, nawet gdy tej pomocy nie potrzebuję, bo słowiańska dusza nie pozwala jej zostawić mnie bez opieki. Nie tylko w Łotewskiej Akademii Nauk, która wygląda jak mniejsza wersja Pałacu Kultury i Nauki, a z jej tarasu patrzę na miasto. Towarzyszy mi grupa pijanych Szwedów, co akurat pachnie Europą.

Wiele osiedli trąci ZSRR albo latami 90. Między blokami jest zielona przestrzeń i place zabaw w starym stylu – rurki, rdza, rozwalona huśtawka bez specjalnego miękkiego podłoża. Tylko pole do wyobraźni. A przed blokiem pięć czarnych samochodów, volvo, dwie toyoty SUV, audi i mercedes, jak złot mafii. I tylko kosze do segregacji śmieci oraz napis „Fuck the police” pozwalają pamiętać o tym, że gdzieś tam jest Zachód. A napis „Fun is the key” daje na to nadzieję.

Chto budet, to i budet

Kawałek brzmi trochę jak „Aj-risz” T.Love, a trochę jak disco polo. Zależy, w którym momencie włączysz się w słuchanie. Fiolet szaleje po ścianie, didżejka macha ręką, reszta też i wszyscy skaczą. Barmanka jest jedna, więc kolejka po piwo i drinki duża. To jedyne miejsce, gdzie słyszę muzykę, bo na ogół to cicha ta Ryga, jak nie miasto. Miasto, które nie gra. Chyba że przypadkiem radio się zapani i polecą Ravel czy U2.

Jak uchwycić miasto, w którym z jednej strony stoi budynek ze szkła i aluminium, w nim pewnie korporacja, a na nim jej nazwa „Evolution”, a z drugiej strony socjalistyczny blok z zabudowanym balkonem, umeblowanym na kolejny pokój, a z jeszcze innej dom z drewnianą fasadą, jak z powieści Marka Twaina?

Ryga ma potencjał w tych oryginalnych dekoracjach, ale nie ma – tak mi się zdaje – na siebie pomysłu. Nie wie, w którą stronę iść i czy iść w ogóle. Nie jest to skoordynowana *evolution*, ale jakieś puszczenie wszystkiego samopas. *Chto budet, to i budet* – jak mówi kobieta o słowiańskiej duszy w autobusie. Bo to jednak nie Bałkany Wschodu, a jeśli tak, to na tych zabudowanych balkonach, w podwórkach i na dyskotekę, na której siedzę w starym fotelu. Za to na ulicach ludzie senni, spokojni, jakby zmęczeni jacyś. Jakby smutni. Więc Bałkany owiane skandynawskim chłodem. Tym bardziej że, jak Ryga długa i szeroka, wszyscy z dumą się chwalą, że tak tu czysto.

Anna Wyrwik

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

W tym mało porywającym tytule mówię rzecz jasna o nadchodzącej pierwszej (nic nie wskazuje, żeby miało nam zabraknąć tego przeżycia powtórnie po dwóch tygodniach) turze wyborów prezydenckich. Wielokrotnie pisałem negatywnie albo skrajnie niechętnie o samej instytucji prezydentury, o przebiegu tej i innych kampanii wyborczych, które w największym skrócie urągają ludzkiemu rozumowi. Tym razem postanowiłem się zastanowić nad tym, co pozytywnego mogę skreślić (skreślić – w znaczeniu napisać). Na pewno żadnych sugestii – czytelniczek i czytelników „Przeglądu” należą do absolutnej czołówki tych wszystkich, którzy w Polsce wciąż polityką się interesują, dla których pozostaje ona ważna, zarówno na poziomie rozmów czy sporów, jak i stanowiąc zasadniczy horyzont, który określa nasze

postulatami. Tylko ona podejmuje na poważnie kwestie kluczowe dla naszej przyszłości. Zupełnie innym pytaniem jest, dlaczego owa koherencja i kompetencje są aż tak trudno przekładalne nie tyle na język politycznych oczekiwań, ile także na polityczną akceptację i wyborczy głos. Nie wnoszę do tej krótkiej refleksji naiwnego optymizmu i pochwały demokracji elekcyjnej, której istota wyczerpuje się na oddaniu głosu.

Demokracja – w Polsce, w Europie, globalnie – przeżywa kryzys, doświadcza słabości, wymaga zastrzyku nowej energii, którą można określić jako niezbędne poszerzenie realnego współudziału społeczeństwa w tworzeniu przyszłości, słyszalności głosu wybierających nie tylko podczas owego „fantomowego” święta demokracji, jak nazywa się wyborcze dni. Tu gra idzie

Święto, stypa czy nieporozumienie?

społeczne umocowania, życie codzienne i przyszłość wreszcie. Tym samym myślę o Państwie jako o pewnej najbardziej świadomej grupie obywatelskiej, która z absolutnym przekonaniem i naręceniem racji robi, co będzie uważała za najlepsze. 18 maja pójdzie i zagłosuje na wybranego kandydata/kandydatkę bez bólu, z poczuciem sensu i niezmarowania własnych przekonań.

Ale równie dobrze wyobrażam sobie, szczególnie w drugiej turze, oddanie głosu nieważnego. Lewicowi pretendenci wciąż jeszcze niszczeni i atakowani, przemilczani w mediach publicznych, w drugiej turze najpewniej nie zawalczą, choć wybory potrafią zaskakiwać, a tendencje są dobre. Nie marudzę dzisiaj, że jest kilkoro kandydatów lewicy, bardziej interesuję mnie ich sumaryczne osiągnięcie i wzmocnienie na przyszłość.

Nie mam żadnych wątpliwości, że cała lewicowa trójka: Biejat, Senyszyn i Zandberg – biją o co najmniej trzy głowy pozostałych nie tyle kandydatów, ile harcówników. Merytorycznie, uczciwością i spójnością sensownej wizji Polski sprawiedliwszej, wrażliwej, społecznej i odpowiedzialnej. Nie przypadkiem ośrodki badające prawdziwość wypowiedzianych słów dają im absolutny prymat.

Nie ma co dzisiaj biadolić, że rozum i racjonalność to nie jest w Polsce najsilniejsza karta przetargowa w takim wyścigu jak wybory prezydenckie. O ileż łatwiej rozbudzać lęki, straszyć, generować nienawiść do całych grup społecznych, a potem grać swoją niewykonalną wizją pozornych rozwiązań. Przecież na tle pakietów „pomysłów” politycznych rozpostartych przez kandydatów w ostatnim czasie tylko lewica zajmuje stanowisko nieobrażające inteligencji wyborców, tylko ona nie mami po raz kolejny tymi samymi lub podobnymi pustymi, niezrealizowanymi

o coś znacznie poważniejszego – i dlatego ta potrzeba odnowienia formuł, reguł i codzienności demokratycznej zalewana jest falami frazesów, gołosłowia i wyświechtanych formuł. A tu o życie i prawdziwą politykę idzie. Nie o przerywanie się flagami podczas pseudodebat medialnych, wolności do wygłaszania farmazonów czy ekonomicznych bredni nawet jeśli się ma formalnie doktorat z ekonomii. Jeżdżenie na hulajnodze mają opalone kilkunastuletnie dzieci, doprawdy obraz kandydata, który ciągle bez większego sensu gna gdzieś na hulajnodze między jedną a drugą kataryniarską, do znudzenia powtarzaną frazą, jest już nie tylko jakimś kuriozum, jest samośmieszeniem i aktem całkowitej nieprzystawalności zamierzeń do celu starcia. No ale może i lepiej na tej hulajnodze niż w czołgu...

Na to co będzie nas czekało pomiędzy turami, sam jeszcze nie mam mocnej odpowiedzi. Jest, będzie czas, żeby ważyć racje, może negocjować, realistycznie patrzeć. Myślę, że wbrew pozornemu rozbiciu (troje kandydatów) lewica – i formacyjnie, i politycznie – wyjdzie z tych wyborów ewidentnie wzmocniona, zasilona też widoczną energią wybrzmiałych poglądów, jak i pomysłów.

Nie myślę, że lewica to zmarnowała, żywiąc przekonanie, że mając przeciw sobie całą polską prawicę w rozmaitych odcieniach, wyszła z tej konfrontacji z tarczą. I to mnie cieszy, choć nie zaspokaja. Głosujmy zatem i dajmy sobie oraz naszym lewicowym ideałom realne wyborcze wsparcie i mocny głos. Pewnie tym razem nie idziemy jeszcze po władzę, ale patrzę na te ostatnie wysiłki jako na ważny polityczny ruch.

I udało mi się bez marudzenia – dobrych wyborów sobie i Państwu życzyć. ■

Szwedzka Dolina Krzemowa

Ta oryginalna znajduje się w Dolinie Santa Clara. Ale w Europie rośnie jej konkurencja – w Szwecji



Szwedzkie uniwersytety współpracują ze sobą. Na przykład tzw. Sztokholmskie Trio tworzą trzy wiodące uczelnie: Instytut Karolinska w Solnie, Królewski Instytut Technologiczny i Uniwersytet Sztokholmski.

Chrystian Ślusarczyk

O amerykańskiej Silicon Valley (Dolinie Krzemowej) mówimy z nieukrywaną zazdrością. Od ponad pół wieku świat przygląda się fenomenowi, który zrodził się w kalifornijskiej dolinie o niezwykle sprzyjającym klimacie, zarówno pod względem meteorologicznym, jak i naukowo-biznesowym. Ta popularna, odnosząca się do krzemu nazwa, powstała w roku 1971, jej autorem jest amerykański dziennikarz Donald C. Hoefler. Korzystne warunki do rozwoju przedsiębiorczości, działalność znanego Uniwersytetu Stanforda, niskie w tamtych latach ceny nieruchomości to tylko część atutów, które przyczyniły się do rozwoju doliny.

Wielu autorów tego sukcesu do dziś mieszka w Kalifornii. Domy ma

tam 56 miliardów i 145 tys. milionów. Są wśród nich tak znane dziś nazwiska jak: dyrektor generalny Meta Mark Zuckerberg, współzałożyciele Google'a Larry Page i Sergey Brin oraz Jen-Hsun Huang, dyrektor generalny Nvidii, firmy, której jednym ze współzałożycieli jest inżynier o polskich korzeniach Chris Malachowski.

Jednak tak naprawdę za symboliczny początek Doliny Krzemowej uważa się założenie w 1939 r. w garażu wynajętym przez Billa Hewletta i Davida Packarda spółki Hewlett-Packard, odnoszącej sukcesy do dzisiaj.

Od lat wiele państw, regionów i miast usiłuje powtórzyć sukces Hewletta i Packarda i nieco później ukształtowanej gospodarczo Doliny Krzemowej. Jednak mimo że podobne pomysły niemal w całości

kopiują rozwiązania amerykańskie, kalifornijski sukces, mówiąc najdelikatniej, powtarzany jest z ograniczonym skutkiem. Dlaczego tak się dzieje? Według Barry'ego Jaruzelskiego, od lat śledzącego fenomen doliny, o sukcesie Silicon Valley decydowało i decyduje amerykańskie nastawienie na praktyczny wymiar badań. „Firmy z Doliny Krzemowej mają strategię innowacyjną w znacznie większym stopniu zorientowaną na potrzeby użytkowników. Z kolei decyzje o strategii innowacyjnej są podejmowane na najwyższym szczeblu przedsiębiorstwa i są one bardziej zintegrowane z ogólną strategią biznesową. Najczęściej takich działań nie zauważymy nie tylko w Europie, ale także w wielu firmach amerykańskich”, uważa Barry Jaruzelski, autor i współautor wielu książek i publikacji na temat strategii i rozwoju biznesu.

I trudno się z nim nie zgodzić. W Dolinie Krzemowej zawsze trzymają rękę na biznesowym pulsie. Świadczy o tym choćby fakt, że mimo iż półprzewodniki nadal stanowią ważną część gospodarki regionu, w ostatnich latach kładzie się tam nacisk na innowacje w dziedzinie oprogramowania i usług internetowych.

Innowacyjna Szwecja i proste recepty

Ikea, Spotify, Ericsson, Skype – co łączy te znane na całym świecie firmy? Odpowiedź jest oczywista – Szwecja. A konkretniej – jej stolica Sztokholm oraz region stołeczny. Choć z geograficznego punktu widzenia trudno o miejsce położonym na bałtyckiej równinie mówić, że jest zlokalizowane w dolinie, z biznesowo-naukowej perspektywy można stwierdzić, że Sztokholm i okolice to dziś europejska Dolina Krzemowa. I podobnie jak w amerykańskiej, Szwedzi osiągnęli sukces przede wszystkim dzięki nieskrępowanemu niczym kapitalizmowi i wykorzystaniu potencjału najętych umysłów.

Ten mariaż owocuje nieprzerwanym ciągiem komercyjnych sukcesów na skalę światową. Tyle że korzenie szwedzkiego czy sztokholmskiego triumfu nie sięgają garażu i lat 30. XX w., lecz czasów znacznie nam bliższych – roku 2004. Wtedy to Ministerstwo Przemysłu, Pracy i Komunikacji razem z Ministerstwem Edukacji i Nauki (co miało niebagatelne znaczenie) opublikowało wspólną strategię „Innowacyjna Szwecja”. Hasło pisane w cudzysłowie szybko zaczęło pisać bez tych gramatycznych zasad, bo Szwecja błyskawicznie stawała się mistrzem innowacji.

W osiągnięciu tego celu bez wątplenia pomogła koncentracja na sześciu głównych elementach: zasobach ludzkich, badaniach naukowych i szkolnictwie wyższym, infrastrukturze i warunkach ramowych, środowisku biznesowym, sektorze publicznym i rozwoju regionalnym. Te główne elementy doskonale współgrały z trzema kolejnymi: zmniejszeniem regulacji i obciążeń administracyjnych dla

przedsiębiorstw, rozwojem konkurencji oraz decentralizacją kształcenia wyższego.

Powszechnie wiadomo, że Szwecja od lat, w odróżnieniu od USA, uważana jest za przykład państwa opiekuńczego. Dla jednych jest pod tym względem niedoścignionym wzorem, dla innych – antyprzykładem czy nawet obiektem kpin. Tych ostatnich ubywa. Coraz więcej zwykłych śmiertelników zdaje sobie bowiem sprawę, że jedynie w USA powstało więcej niż w Szwecji firm technologicznych, których kapitalizacja na jednego mieszkańca przekracza milion dolarów.

Stosunkowo nowa historia sukcesu szwedzkiej Doliny Krzemowej rozpoczęła się od sporych inwestycji rządowych. „Stworzyliśmy kilka instytucji wspieranych przez rząd. To m.in. fundusze inwestujące w start-upy i współpracująca z bankami firma udzielająca start-upom pożyczek”, mówi Carl Rosén, dyrektor generalny Departamentu Innowacji i Badań w szwedzkim Ministerstwie Przedsiębiorczości i Innowacji, odpowiadający za kontakty biznesowo-innowacyjne z Niemcami, Francją, Indiami i Brazylią.

Nie tylko dane dotyczące kapitalizacji potwierdzają, że Szwecja stała się europejską Doliną Krzemową. W 2024 r., według danych pochodzących z raportu

Światowej Organizacji Własności Intelektualnej (WIPO), Królestwo Szwecji zajęło drugie miejsce w Globalnym Rankingu Innowacyjności, ustępując jedynie Szwajcarii. W Światowym Rankingu Konkurencyjności IMD Szwecja zajęła wysokie szóste miejsce. Tę samą pozycję zajęła w rankingu Global Startup Ecosystem za rok 2024. W ubiegłym roku na listach innych prestiżowych rankingów kraj ten również znalazł się na czołowych miejscach.

Udany mariaż nauki, przemysłu i rządu

Prace badawczo-rozwojowe w Szwecji prowadzone są przede wszystkim na uniwersytetach. Pozwala to na duże zaangażowanie w nie zarówno naukowców, jak i przedsiębiorców. W Szwecji już w roku 1975 wprowadzono tzw. koncepcję „trzeciej misji” dla uniwersytetów. Polegała ona na budowaniu trwałych powiązań z lokalnymi przedsiębiorcami i komercjalizacji badań naukowych. Uczelnie mogły i mogą swobodnie decydować o tym, jakie badania chcą przeprowadzać i jak rozdysponować na nie budżet. Tego typu badania często prowadzone są w ramach tzw. triple helix, czyli powiązań pomiędzy uniwersytetami, rządem i przemysłem. Przykładem takiego

KSIAŻKI

Mateusz Łakomy

Demografia jest przyszłością

Czy Polska ma szansę odwrócić negatywne trendy

Prześwity, Warszawa 2024

W 2020 r. liczba ludności Polski w wieku produkcyjnym wynosiła 25 mln. Szacuje się, że w 2100 r. będzie to mniej niż 10 mln. Korzystając z bogatej literatury naukowej i pogłębionych analiz interdyscyplinarnych, autor wskazuje, co należy do najważniejszych czynników oddziałujących na dzietność, i na tej podstawie wyjaśnia, dlaczego obecnie jest ona tak niska w naszym kraju. Identyfikuje także 10 głównych barier dla dzietności w Polsce, których pokonanie umożliwiłoby poprawę sytuacji demograficznej Polski. Sprawdzają się one do braku poczucia bezpieczeństwa. W kraju śmieciówek, umów B2B, niestabilnego najmu i horrendalnie drogiej mieszkań dzieci nie będzie.

(es)



► trójkąta jest szwedzkie Centrum Robotyki Morskiej, stworzone i finansowane wspólnie przez Królewską Szwedzką Akademię Nauk, dwie agencje rządowe i jedną z największych firm z branży zajmującej się obronnością.

Ciekawym bodźcem dla szwedzkich innowacji uczelnianych jest tzw. przywilej naukowców, zgodnie z którym kadra naukowa uczelni ma prawo do własności intelektualnej w stosunku do wyników swojej działalności badawczo-rozwojowej. Budżet przeznaczony na działalność badawczą uniwersytetów jest odrębny od środków na edukację, która jest finansowana bezpośrednio przez rząd, a także z grantów agencji państwowych przyznawanych w drodze konkursów.

Stosunkowo duża autonomia tychże agencji przyczynia się także do decentralizacji finansowania. Dobry bez wątpienia przykład stanowią tu Vinnova, utworzona w 2001 r. państwowa agencja innowacyjna z rocznym budżetem przekraczającym 250 mln euro, finansująca również inicjatywy prywatne, czy Vetenskapsrådet, także powstała w 2001r., dysponująca budżetem w wysokości około 600 mln euro.



Od 2008 r. 10% środków rządowych przeznaczanych jest bezpośrednio na badania naukowe. Przyznaje się je na zasadzie konkursu, uwzględniając kilka kryteriów, m.in. skuteczne pozyskiwanie funduszy zewnętrznych czy liczbę publikacji naukowych. W 2012 r. kwota ta wzrosła dwukrotnie. Oznacza to, że rząd dodatkowo nagradza uniwersytety, którym udało się przyciągnąć do swojej działalności inwestycje pochodzące od agencji i firm prywatnych.

Godna podkreślenia jest także bliska współpraca szwedzkich uniwersytetów. Przykładem może być tzw. Sztokholmskie Trio – sojusz trzech wiodących sztokholmskich

Doliną Krzemową. Kolejne miejsca na polskiej mapie potencjalnych Dolin Krzemowych zajmują Mazowsze i Małopolska.

Czy polska Silicon Valley to niekoniecznie zbyt odległa „pieśń przyszłości”? Na to pytanie mało kto odważy się dziś odpowiedzieć. Za optymistami uważającymi, że Polski wcale tak wiele od Szwecji nie dzieli, mogą przemawiać liczby. A te liczby nie są małe. W Polsce bowiem w 2023 r. na działalność badawczo-rozwojową wydaliśmy ponad 53 mld zł (GUS 2023). To dwukrotnie więcej niż w roku 2017.

Wyniki te pozwalają sądzić, że Polska ma szansę stać się nową Doliną Krzemową na szczeblu regionalnym.

Firmy z Doliny Krzemowej mają strategie innowacyjne w znacznie większym stopniu zorientowane na potrzeby użytkowników.

uczelnii: Instytutu Karolinska w Solnie k. Sztokholmu, Królewskiego Instytutu Technologicznego i Uniwersytetu Sztokholmskiego. Trio to jest największym beneficjentem finansowym programu Horyzont 2020 (największego w historii Unii Europejskiej programu na rzecz badań i innowacji).

Kluczowym narzędziem w planowaniu polityki innowacyjnej Szwecji jest „Research and Innovation Bill”, regulujący coroczne ramy finansowania publicznego. Ostatni projekt ustawy z 2024 r. przewiduje, że roczny budżet na badania i rozwój osiągnie 6,5 mld koron (ok. 600 mln euro) w 2028 r., z czego środki otrzymają poszczególne agencje, przy jednoczesnym wzmocnieniu zasady konkurencyjności w finansowaniu.

W ślady Szwedów?

Koncentracja firm technologicznych, rozwinięta infrastruktura, a także obecność renomowanych uczelni technicznych kształcących specjalistów z różnych dziedzin, to główne czynniki sprawiające, że już od kilku lat Wrocław i okolice (choć z pewnością nie cały Dolny Śląsk) coraz częściej nazywany jest polską

Specjaliści zgodnie jednak twierdzą, że brakuje nam narodowej strategii. Mamy uznane ośrodki akademickie i szkolimy wyjątkowych specjalistów, jednak tych sukcesów – zarówno ekspertów, jak i ośrodków – nie potrafimy przełożyć na wdrożenia pozwalające zbliżyć się do tego, co osiągnęli Szwedzi.

Warto pamiętać, że przyczyn dobrych wyników Szwecji w zakresie generowania i wdrażania innowacji należy upatrywać w wielu czynnikach. Polityka Królestwa Szwecji w tym kierunku ciągle ewoluuje, ale ma też pewne trwałe podstawy. Najważniejsze z nich, które nad Wisłą są szczególnie istotne, to centralne miejsce uczelni wyższych w zaangażowaniu w działalność naukowo-badawczą i stosunkowo duża decentralizacja w jej promocji i finansowaniu. Do tego dochodzą reformy wzmacniające swobodę i konkurencyjność, co ułatwia przejście od odkrycia naukowego, poprzez jego przekształcenie w innowacyjny produkt, aż do wdrożenia na rynku.

W teorii nie wydaje się to trudne. Problem pojawia się – i to nie tylko u nas – gdy teorii nie potrafimy skutecznie przekuć w praktykę.

Chrystian Ślusarczyk

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Planeta drapieżców

Spotkanie z Pawłem, moim powinowatym, pierwsze po 30 latach. Żyje w Norwegii, ale ma mieszkanie przy Rynku Nowego Miasta. Ten rynek to dla mnie najpiękniejsze architektonicznie miejsce w stolicy. Konspirowaliśmy w stanie wojennym, człowiek gorliwy, ale nie fanatyczny. W 1983 r. wyemigrował do Norwegii. Ma jeszcze mieszkanie w Hiszpanii, tam spędza zimy. Pytam go: trzy mieszkania, luksusowa emerytura, piękna Norwegia, czy jednak nie żałujesz wyjazdu? Żałuje, bo nigdy nie czuł się tam u siebie.

W rozmowie nie wracamy do stanu wojennego. A przecież bywało ciekawie. Prowadziłem wtedy podziemne pismo literackie „Wezwanie”, kwartalnik niezależny, drukowany w konspiracji. Nosiliśmy z Pawłem z samochodu na czwarte piętro cholernie ciężkie paki z pachnącymi drukami egzemplarzami, dzwigaliśmy je do mieszkania Magdy (córci Józia Hena), gdzie nakład miał czekać na kolportaż.

Raz paczki nagle powypadały nam z rąk, otworzyły się i schodami popłynął strumień „Wezwań”. Wtedy można było za coś takiego pójść siedzieć.

Przepytuję Pawła, widzę, że nie śledzi naszego życia politycznego, coś tylko czasami wpadnie mu do ucha. Więc wpadło, że teraz nie uczy się, jak trzeba, polskiej historii. I dlatego będzie głosował na Nawrockiego. Zadaję mu 10 pytań, poczynawszy od spraw obyczajowych, aborcji, pigułka dzień po, in vitro i lekcji wychowania seksualnego w szkołach. Na wszystkie odpowiada bez wahania „tak”, nie znosi też Trumpa. Powinien więc być wyborcą Rafała Trzaskowego lub Magdaleny Biejat. Skąd Nawrocki? A tak jakoś. Boję się, że milionom Polaków „coś tam” tylko wpada do ucha, jak odgłosy przejeżdżających samochodów, którzy czasami zatrąbi. I „tak jakoś” zagłosują na jakiegoś potwora.

Po kolejnej debacie, organizowanej z kolei przez „Super Express”, poczucie, że jestem zatruty. Organizm Brauna nie potrafił się powstrzymać i w publicznym miejscu miał rasistowskie wypróżnienie. Zareagowali liberalni uczestnicy, ale nie dziennikarze prowadzący program, a to skandal. Odezwała się siostra Brauna, Monika; ładny, inteligentny tekst, w którym ze zgrozą opisuje brata: „Jestem jego siostrą i wstydzę się tego, co robi Grzegorz”. Wygląda na to, że Braun jednak przesadził i teraz Żydzi i Ukraińcy dobiorą się mu do skóry, a serdeczny mu Putin go nie obroni. Braun, wiadomo, chory, ale ma setki tysięcy wyznawców. Gaśnica stała się symbolem ich ruchu.

Czemu nie piec krematorium? Wiele publicznej złości, dlaczego Braun tak długo jest bezkarny. Ale błyskawiczne decyzje to zaleta dyktatury, demokracja się ślimaczy. A nasza zdaje się szczególnie ślimacza.

Czytelnik moich felietonów z Tczewa pisze do mnie: „Niepokój, że następnego dnia obudzimy się w zalewie brunatnej propagandy głoszonej przez obrzydliwe kreatury. Piszę do Pana, aby się podzielić codzienną obserwacją z prowincjonalnego podwórka. To, co widzę i czuję, niepokoi mnie. Tczew nagle zaczął przypominać miasto sprzed wojny, miejsce pełne demonów. Ogromne tablice zioną smrodliwą propagandą nawołującą młodego człowieka do zasilania szeregów Młodzieży Wszechpolskiej, na nich butne i tępe gęby Mentzena, Brauna i Nawrockiego. Jest tego tak wiele, że trudno powstrzymać reakcję wymiotną. Idąc wczesną porą do pracy, oglądam codziennie to ohydne widowisko. Zaraza zalewa miasto, powietrze drży od niepokoju, w ustach niesmak. Jeżeli ktoś dokona próby usunięcia wizerunku jednej z tych kreatur, to zaraz rozmnażają się nowe. Dżuma, obrzydliwa nacjonalistyczna dżuma. To obserwacja z terenu. Zaledwie kilka dni temu miała miejsce demonstracja przed budynkiem Urzędu Miejskiego w Tczewie uderzająca w imigrantów i odmiennosć kulturową. A za chwilę wiec Mentzena”.

Nie lekceważę takich relacji z terenu, na to się nakłada trend w całej naszej cywilizacji, od Stanów do Rumunii i pobliskich Niemiec. Tak działo się w latach 30. zeszłego wieku. Wyhodowano wiarę we wroga, w obcego, w tajne spiski, a reakcją na zagrożenie była ucieczka w skostniały konserwatyzm, zamykanie okiennic i krat, w końcu agresja. I sojusze drapieżnych z drapieżnymi. Trump właściwie nawołuje: „Nacjonaści wszystkich krajów, łączcie się”. A przecież wiadomo, że jeśli obok siebie żyć będzie wielu drapieżników, to za chwilę narodowe egoizmy rzucą się sobie do gardeł.

Mój Antek po pierwszych maturalnych egzaminach. Dzisiaj rodzice przejmują się bardziej niż dzieci. U mnie jednak dominuje zdumienie, ten wczoraj mały „prztylny” chłopczyk to dzisiaj maturzysta.

30-metrowa kawalerka pana Jerzego może być najdroższą kawalerką w powojennej Polsce. Członkowie sekty zaprzeczają faktom, ale wahający się wyborcy dokonają prostego rachunku.

Ziemia bez kobiet to Afganistan. W 2021 r. do władzy w tym kraju powrócili islamscy fundamentaliści. Stało się to 20 lat po tym, jak koalicja wojskowa USA i Wielkiej Brytanii obaliła poprzedni rząd talibów. W 2021 r. talibowie ogłosili, że będą bardziej tolerancyjni od poprzedników, zapewniając kobietom aktywną rolę w społeczeństwie. W rzeczywistości zaczęły powoli podważać prawa kobiet.

Rząd talibów odmawia kobietom dostępu do edukacji poza szkołą podstawową, zabrania im wykonywania większości prac poza domem, w niektórych regionach zabrania wychodzenia z domu bez męskiego opiekuna oraz zasłonięcia twarzy. Miejsca, w których kobiety kiedyś się gromadziły – szkoły, parki, siłownie, salony kosmetyczne i biura – teraz są dla nich niedostępne. Kobiety mogą pracować w ochronie zdrowia, ale ponieważ nie mogą kontynuować nauki w szkołach wyższych, nie będą się kształciły na nowe lekarki czy położne.

Talibowie coraz częściej aresztują i zatrzymują kobiety w odwecie za naruszanie ich polityki. W ciągu pierwszych dwóch lat ich rządów odbyły się zarówno bezpośrednie, jak i pośrednie protesty polityczne, takie jak celowe noszenie hidżabu w „nieprawidłowy” sposób. Jednak organizatorzy protestów zostali zatrzymani i torturowani, a ustawa z sierpnia 2024 r. zakazała kobietom zabierania głosu publicznie. Opór trwał, ale zorganizowane protesty uliczne są teraz rzadkością.

Mimo to kobiety w Afganistanie znajdują inne skuteczne sposoby na protest. Ich opór rozwija się cicho za zamkniętymi drzwiami: w domach, tajnych klasach i podczas prywatnych uroczystości.

Irańsko-kanadyjska fotografka Kiana Hayeri przemierzyła siedem prowincji Afganistanu, rozmawiała z ponad 100 kobietami i dziewczętami z różnych środowisk. Ona i badaczka praw kobiet Melissa Cornet (obie wcześniej mieszały w Afganistanie) wykorzystały sieć zaufanych relacji, aby stworzyć portrety afgańskich kobiet, zapewniając im przy tym bezpieczeństwo. Prace Kiany Hayeri zostały nagrodzone w najnowszej edycji konkursu World Press Photo.



No Woman's Land





WORLD PRESS PHOTO



Tego dnia nic nie zapowiadało katastrofy

Tomasz Jastrun o przewrotnej codzienności

Westchnienia

Kto czasami nie wzdycha, są westchnienia pełne zachwytu i pełne smutku. Jest westchnienie ulgi. Westchnienie to ludzka osobliwość, jakże odmienna od ziewania lub kichania, a jednak z nimi pokrewna. Wzdychamy, wciągając mocniej niż zwykle powietrze w płuca i je wydychając, są westchnienia głośne i nieme. Bywają intymne, na własny wewnętrzny użytek, i publiczne, są odruchowe i świadome, bywają wyrazem podziwu, radości, litości bądź potępienia. Albo smutku. I w końcu jest ostatnie westchnienie, nazywane ostatnim tchnieniem.

Siedzieli na tarasie swojego domu, pogoda była jedwabna, łagodne majowe słońce, przyroda budziła się do życia, z pąków wychylały się młode liście, zalśniły pierwsze motyle cytrynki, trzmiel zanurzał się w kielichu pierwszego kwiatu, widać było jak macha włochatymi nóżkami, здавало się, że jest pijany kwiatowym nektarem.

Mieli oboje sto sześćdziesiąt lat. „Pamiętasz, jak byliśmy młodzi?”, zapytała. Kiwnął głową. Spojrzała na niego, przypominał zaszuszonego świerszcza, któremu, nie wiedzieć czemu, zwisały płatki skóry spod gardła. Człowiek, nawet ten najbliższy, pomyślała, zmienia się z wiekiem w luźny worek na mięso, kości i krew. A był kiedyś młody, przystojny, jędrny i apetyczny. I westchnęła głęboko, do szpiku kości, do dna swego istnienia. Odpowiedział jej westchnieniem, ale jego było płytkie, westchnął, bo pomyślał, że ma ochotę na herbatę, a taka trudna do niej droga. Podniósł się ciężko i czapał w stronę tej kuchni, pchając przed sobą chodzik. I myślał, jak genialni

są ludzie, skoro wymyślili coś takiego jak chodzik.

Nieźle

Żona bardzo się denerwuje, szczególnie kiedy nie daje sobie rady, a ciągle nie daje sobie rady, więc nieustannie się denerwuje. Zdenerwowanie żony go denerwuje, od razu sam drży od jej rozdrzania. Ale podobnie drżą kieliszki w kredensie, a czasami nawet meble i szyby w oknach. Wychodzi z domu z ulgą, wraca w strachu, że żona się denerwuje. I rzeczywiście właśnie się denerwuje. Na razie drżą tylko te kieliszki w kredensie, ale szyby

że zwykle, kiedy zdenerwowanie jest mokre, ale z umiarkowanym płaczem, to najlepiej pocieszać z przytulaniem.

Był nieustannie zdenerwowany zdenerwowaniem żony. Budził się zdenerwowany i zasypiał zdenerwowany. Nawet sny miał niespokojne. Już nie wyobrażał sobie, jak można nie być zdenerwowanym.

Kiedy żona nagle umarła na serce, poczuł straszliwy lęk, jak teraz żyć bez jej zdenerwowania? Było jednak też wielkie uczucie ulgi, ale w nim tyle smutku, że nie było mu wcale dobrze z tą ulgą. Nie po to jednak człowiek żyje, aby mu było dobrze.

Nie po to człowiek żyje, aby mu było dobrze. Jak jest choćby nieźle, można mówić, że człowiek ma szczęście.

w oknach nie, więc to nie wielkie zdenerwowanie, a tylko średnie. Ale średnie łatwo zamienia się w wielkie. Nie wie, jaki teraz powód, z czym znowu żona nie daje sobie rady, ale wie, że powodu łatwo nie ustali, bo gdy zacznie się dopytywać, jej stan zaraz się pogorszy. I wyjdzie na to, że to wszystko jego вина. Najlepiej jej zejść z drogi i gdzieś się zaszyć. Oprócz stopniowania: zdenerwowanie małe, średnie, wielkie, są jeszcze odmiany zdenerwowania. Zdenerwowanie z udziałem wulgarnych słów, pełne gniewu i złości oraz takie bez przekleństw, pełne rozpacz. Są też mokre, ze łzami, lub suche zdenerwowania. W zależności od typu zdenerwowania można żonę pocieszać, ale zwykle pocieszenia tylko szkodzą sprawie. Nie wolno popełnić błędu. Trzeba wyczuć, kiedy pocieszenie jest na miejscu. Zauważył,

Jak jest choćby nieźle, można mówić, że człowiek ma szczęście. Więc, robiąc taki całłościowy bilans, uznał, że w sumie to udało mu się w życiu.

Brydź

Ludzie w pewnym wieku, gdy się spotykają, rozmawiają przede wszystkim o chorobach. Nie ma co się dziwić, jak psuje się zdrowie, życie staje się nie do zniesienia. A w kupie cierpieć raźniej. Poza tym, gdy zacznie się rozmawiać o chorobach, to szybko okazuje się, że zawsze ktoś ma więcej chorób niż ty. Co może być pocieszające. Ale nie musi. Ciocia Marysia jest na przykład dumna ze swoich chorób, tyle ich ma, więcej niż ktokolwiek ze znajomych. Wyznaje teorię, że żyje tylko dzięki chorobom, bo jedne trzymają się drugich, wspierając się nawzajem, gdyby jakiejś zabrakło,

wszystko by się zawaliło i grób. Jej brat, wujek Marian, ma tylko reumatyzm, ledwie się rusza i chociaż nie doświadcza innych chorób, uważa, że ta jest tak bolesna, że wystarczy za kilka innych.

– Marian jest zdrowy jak rydz – wyrokuje ciocia Marysia. – Kto w tym wieku ma tylko jedną chorobę?

– A ja oprócz chorej wątroby i łuszczycy mam podejrzenie złośliwego nowotworu – chwali się sąsiadka. – Czekam na diagnozę.

– Rak czego? – pyta wujek Marian.

– Podejrzenie czerniaka – mówi dumnie sąsiadka.

– Jak nie ma jeszcze diagnozy, to się nie liczy – odpowiada wujek Marian, ale niepewnie, bo złośliwego nowotworu nie przebiję jego reumatyzm. Ciocia Marysia miała nowotwór piersi i obciąży jej pierś, ale nie ma przerzutów, więc to tylko jedna z tych jej chorób, które się nawzajem wspierają.

– Trzy bez atu – mówi właściciel budki warzywniej, najmłodszy z graczy. Cierpi na cukrzycę i migotanie przedsionków serca, od roku ma wszczepiony rozrusznik. No i jedno biodro już wymienione, a drugie się szykuje do wymiany.

Wszyscy się zastanawiają nad tym „trzy bez atu”, trzymając wachlarze kart przed oczami. I jest tak cicho, że słysząc, jak wytrwale pracują w nich choroby.

Okulary

Mój ojciec śmiertelnie bał się pajaków, od kiedy pamiętam, był z nimi na wojnie. Gdy zobaczył pająka, toczył z nim walkę na śmierć i życie, a jako broń używał tego, co miał pod ręką, choćby książki, kapcia... I było wiadomo, że ktoś musi zginąć. On albo pająk. Czasami słyszałem tylko odgłosy walki, jęki ojca i wielki rumor. A potem nastawała groźna cisza. Biegłem do jego gabinetu sprawdzić, kto wygrał, na szczęście zawsze zastawałem ojca żywego, za to roztrzęsionego i wyczerpanego po walce.

Pewnego dnia odgłosy były jakieś szczególne, ojciec już nie tylko jęczał, też krzyczał, meble zdawały się poprzewracane. Powiem szczerze, że bałem się zajrzeć do gabinetu,

a kiedy to zrobiłem, ujrzałem pająka olbrzyma. Miał pałkowate owłosione nogi, a z jego jamy gębowej – nie wiedziałem, że pająk ma coś takiego – wystawały szylkretowe, staromodne okulary ojca. Nie smakowały mu i je wypluł. A więc ojciec w końcu przegrał z pająkami i został pożarty.

Te okulary leżą teraz na moim biurku, jako pamiątka po ojcu. Czasami je zakładam i próbuję przez nie patrzeć na świat oczyma ojca.

Śmiech

Młody człowiek stał na przystanku w tłumie ludzi i śmiał się, śmiał się całym sobą, jak to się mawia – do rozpuku. Nie był w żadnym towarzystwie, śmiał się do siebie. Po czątkowo oczekujących na autobus



Więcej opowiadań Tomasza Jastruna
można przeczytać w tomie **Trąba
powietrzna**, Lira, Warszawa 2025

jego śmiech bawił, ale im dłużej się śmiał, tym bardziej ludziom rzędył miny. Aż wszyscy posmutnieli. W końcu ktoś zadzwonił po policję. Radiowóz nadzwyczaj szybko przyjechał. Policjanci wydawali się spieszeni, nie mieli jeszcze takiej interwencji i nie wiedzieli, jak potraktować śmiejącego się i pod jaki paragraf podchodzi jego zachowanie. Na pewno była to jakaś forma zakłócania porządku publicznego. A może nawet

zaśmieszanie przestrzeni publicznej śmiechem?

– Poprosimy obywatela dowód osobisty – powiedział mocno i dobitnie starszy i bardziej surowy policjant. Surowość miał wypisaną na obliczu, najwyraźniej nabytą podczas długiej służby.

Młody człowiek za bardzo się śmiał, by pokazać dowód osobisty, więc nawet nie było pewne, czy jest w jego posiadaniu i czy jest choćby pełnoletni.

– Z czego obywatel tak się śmieje? – zapytał surowy policjant.

Śmiejący się wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie wie.

– Uprasza się, żeby obywatel przestał się śmiać, po co tak się ciągle śmiać bez powodu? Śmiech to zdrowie, ale co za dużo, to niezdrowo – powiedział pojednawczo drugi policjant, ten młodszy i najwyraźniej nieopierzony.

Podejrzany miał długie włosy, pociągłą twarz, wyglądał na studenta, nosił na plecach mały chudy plecaczek w kolorze zielonym. Może więc był jeszcze uczniem szkolnym, trudno to było stwierdzić bez obejrzenia dokumentów.

Policjanci zbliżyli się do śmiejącego, ten odsunął się przezornie, nie przestając się śmiać. Surowy policjant nagle podbiegł i chwycił młodego, ten zaśmiał się jakoś inaczej, jakby połaskotany. Drugi policjant też podbiegł, zagrządzając ewentualną drogę ucieczki, a wtedy surowy wyciągnął kajdanki. Młody nie stawiał oporu. Zamknęli uroczystie kajdanki na przegubach jego dłoni. Zapakowali śmiejącego na tylne siedzenie radiowozu. I pojechali w kierunku komisariatu. Ludzie na przystanku odetchnęli z ulgą, ale nikt się nie uśmiechał. W końcu przyjechał autobus, zdawało się, że posmutniały.

Nocna cisza

Zbliżali się do tego momentu, kiedy nie ma już odwrotu, i nawet gdyby miało się to skończyć tragicznie, zdarzenie jest nieuniknione i nie do zatrzymania, zbyt wielkie siły działają. I stało się. Jej ciało wygięło się w łuk i wzniosło w powietrze, dźwigając go na sobie, taka była moc zderzenia. A od ich wspólnego ▶

► krzyku aż zadrżały naczynia w kuchennej szafce.

Piętro wyżej starsze małżeństwo leżało w obszernym małżeńskim łóżku. Byli już na emeryturze, ich seks też przeszedł na emeryturę, przestali być atrakcyjni dla siebie, zresztą nigdy nie było za wiele ognia w ich piecach. Byli właśnie w tym miłym stanie przedseksyjnym, kiedy się roi łagodnie to i owo, gdy w mieszkaniu sąsiadów wszystko zatrzęśło się od wybuchu. Oboje usiedli na łóżku, on drżącą ręką zapalił nocną lampkę, ona przeżegnała się i powiedziała:

– Jezus Maria, Boże kochany...

– Ożeż ty kurde. – Ciężko westchnął.

– Oni nas kiedyś pozabijają, mówiłam ci, żebyś z nimi pogadał, żeby nie uprawiali tego procederu, po dwudziestej drugiej obowiązuje cisza nocna.

– Jak ja mam, kotku, z nimi pogadać, sprawa jest delikatna.

– Delikatny to ty jesteś, sami się pozabijają i nas zabiją.

– A czemu ty z nimi nie porozmawiasz?

– Ja jestem zbyt nerwowa, znasz mnie, zaraz mnie poniesie i dojdzie do awantury.

– Boję się, że bez awantury tego nie da się załatwić.

– Zadzwoń w tej sprawie na policję – mówiła – przecież oni nawet zmarłego obudzą.

I tak droczyli się przez chwilę, czy dzwonić na policję. Przeczuliwali jednak, że tu łatwo można się narazić na śmieszność. Potem zamilkli i wstuchiwali się w to, co się dzieje na dole, ale nic się nie działo, panowała błoga cisza, jaka często nadchodzi po burzy.

Westchnął, zgasił nocną lampkę, odwrócił się tyłem do żony, a ona odwróciła się tyłem do niego. Ale sen nie przychodził i długo nie mogli zasnąć, wyobrażając sobie, jak się kochają, ona z sąsiadem, a on z sąsiadką.

Na polnej drodze

Miał pięć lat, ja trzydzieści. Szliśmy polną drogą, trzymając się za ręce. Mały pies kręcił się wokół naszych nóg na niewidocznej smyczy, ta smycz to była miłość do

nas. Kochaliśmy tego psa, a on nas kochał, kochałem mojego synka, a on kochał mnie. Tyle miłości na tej polnej drodze.

– Tato, czy kiedyś umrę?

Zawahałem się.

– Czemu o to pytasz?

– Bo jestem ciekawy, bo że ty umrzesz, to ja wiem.

Poczułem, jak skurczyło mi się serce.

– Wszyscy muszą umrzeć.

– Jak wszyscy, to ja też – odparł zamyślony.

– Ty też – odparłem i zaraz chciałem się wycofać się z tych słów.

– Nie chcę umierać.

– Na to nie ma rady. – Poczułem, że w oczach mam łzy.

Po co ja to powiedziałem? Jakbym wykonywał na swoim dziecku wyrok śmierci. Ale stało się. Dostałem zlecenie i je wykonałem – powołując go na świat. I na to nie ma żadnej rady, oprócz jednej, nie myśleć o tym.

Trąba powietrzna

Babcia wiele przeżyła w czasie wojny. Też głód, biedę i śmiertelny lęk o trójkę dzieci. Jej mąż, mój dziadek, zginął podczas obrony Warszawy. Miał poprowadzić swój oddział do ataku, a przekreśliła go

nich nowy język. Robiłem to przed zaśnięciem, leżąc w łóżku i trzęsąc się ze strachu. Rano to wszystko wyglądało bardziej pogodnie.

Tego dnia nic nie zapowiadało katastrofy. Czarne chmury nadciągnęły niespodziewanie od strony gabinetu taty. W tym gabinecie tata pisał swoje wiersze. Po drugiej stronie był pokój mojej mamy, tam ona pisała wiersze, bo nasz dom był domem poetów. W całym domu mieszkali pisarze. Piętro po piętrze pisali na maszynach swoje wiersze i książki, aż cały dom trząśł się od tego pisania, od parteru do trzeciego piętra. Był jeszcze w tym domu strych, tam mieściły się pralnia i suszarnia, gdzie królowały gołębie, robiły białe kupy i gadały.

Te czarne chmury zbliżały się po cichu, można powiedzieć, że się skradały. Dlatego zaskoczyły wszystkich. Zerwał się nagle wielki wiatr, a były otwarte drzwi balkonowe w gabinecie taty i w pokoju mamy naprzeciwko. Powstała trąba powietrzna o wielkiej sile, zawirowały kartki, w naszym domu było wiele kartek, rodzice rzucili się ratować swoją twórczość i mieszkanie, a babcia w ostatniej chwili chwyciła mnie i zaciągnęła do toalety, zamykając

**Ciocia Marysia jest dumna ze swoich chorób, tyle ich ma.
Wyznaje teorię, że żyje tylko dzięki chorobom,
bo jedne trzymają się drugich.**

seria z karabinu maszynowego. Tak przynajmniej głosi legenda rodzinna. Babcia śmiertelnie przestraszyła się wojny. Dlatego ciągle się bała, chociaż wojny już nie było. Mieszkała z nami i opiekowała się mną, bo mama miała mało czasu i pracowała, tata też pracował i miał jeszcze mniej czasu, bo był bardziej znanym niż mama pisarzem. Jakby nie dosyć było strachów babci, w naszym domu naprawdę straszło. W rurach mieszkał hipopotam, który w nocy ziewał wielką paszczą, skrzypiała tajemniczo podłoga, a pod biurkiem taty bywał wilk i nawet pojawiał się czasami w domu niedźwiedź z jednym wielkim białym kłem. Obłaskawiałem te wszystkie zwierzęta, układając dla

z trzaskiem drzwi. Babcia modliła się, a ja słuchałem, jak rodzice walczą z żywiołem, jak wołają Pana Boga, Matkę Boską i Chrystusa na pomoc, a też wołają: do cholery, psiakrew, ratujcie! Straszne były te odgłosy wielkiej bitwy, jaka toczyła się w naszym domu. Podobne wojny toczyli literaci we wszystkich mieszkaniach i na wszystkich piętrach naszej literackiej kamienicy. Kiedy wojna się skończyła, dom był spustoszony, wielu literatów wywiało do nieba, moi rodzice jeszcze trochę pożyli, ale po jakimś czasie oni też zniknęli, a o wiele wcześniej zniknęła babcia. A ja żyję, mieszkam już w innym domu, ale ślady tej wielkiej katastrofy nadal są we mnie żywe. ■

KURTyna W GÓrE



Ingmar Bergman, „Sceny z życia małżeńskiego”,
reżyseria Katarzyna Minkowska, Narodowy Stary
Teatr w Krakowie, premiera 26 kwietnia 2025

Razem czy osobno

W funkcjonalnej, nieco kiczowatej przestrzeni rozgrywa się kameralna opowieść o życiu czterech par na różnych etapach intymnej relacji. Jest w tej historii lęk przed mówieniem o rzeczach bolesnych, ucieczka przed emocjami, wreszcie ciężar społecznych konwencji. W „Scenach z życia małżeńskiego” Katarzyny Minkowskiej swobodnie mieszają się plany czasowe, przyglądamy się bohaterom w różnych okresach życia, badając alternatywne scenariusze ich losów. Ujawnia się w tym kolażu zaskakująca wspólnota doświadczeń, ale i powtarzalność wyborów, determinująca losy postaci, zwłaszcza kobiecych. Chwilami jest zbyt dosłownie, chwilami nieco chaotycznie. A jednak ogląda się spektakl z zainteresowaniem. Przede wszystkim dzięki świetnemu aktorstwu. Błyszczą Michał Majnicz w roli późno odkrywającego uroki rodzicielstwa Petera i Juliusz Chrzanowski jako z wolna tracący pamięć, kiedyś przemocowy i dominujący, dziś bezbronny Johan. Ale najlepsza jest Ewa Kaim w roli żywiołowej, ekstrawertycznej Katariny – z lekkością i dystansem ogrywająca postać i zaproponowaną przez Minkowską konwencję bardzo tradycyjnego teatru opowieści.

Michał Centkowski

Pułapki miłości

Francuskie nowości od dawna były specjalnością Teatru Współczesnego i wygląda na to, że nowa dyrekcja nie zamierza tej tradycji naruszać. Na afisz weszła „Historia miłosna” Alexis Michalika, dramaturga we Francji cenionego, nagradzanego, a nawet adaptowanego na duży ekran.

Zaczyna się od zaskakującego romansu lesbijskiego, który po kilku latach fascynacji rozpada się, kiedy jedna z partnerek spodziewa się dziecka, a druga, której na dziecku bardziej zależało, odchodzi do mężczyzny. Nie poznajemy jej wybranka, ale za to poznajemy brata porzuconej dziewczyny, z którym tworzą bardzo zaprzyjaźnione rodzeństwo, jednak nie bez problemów. Im bardziej akcja się zapętla, tym bardziej widać umiejętności wnikania autora w psychikę bohaterów i tworzenia dramatycznych konfliktów. Wojciech Malajkat opowieść tę sprawnie pokazał, dozując napięcie, a dzięki obrotowej scenografii Wojciecha Stefaniaka, który zbudował na maleńkiej scenie Współczesnego karuzelę wielu przestrzeni, ułożył ją bez trudu w czasie i miejscu o nie do końca jasnych konturach.

Przedstawienie ogląda się z zaciekawieniem dzięki mocno zarysowanym postaciom zakochanych kobiet (Katarzyna Dąbrowska i Barbara Wypych), którym partneruje brat jednej z nich (świetnie debiutujący Marcin Stępnik), a także utalentowane młode dziewczyny w roli samotnie wychowywanej córki. Rzecz do namysłu nad pułapkami, których nie szczędzi życie.

Tomasz Miłkowski



Alexis Michalik, „Historia miłosna”,
tłumaczenie Barbara Grzegorzewska,
reżyseria Wojciech Malajkat,
Teatr Współczesny w Warszawie,
premiera 24 kwietnia 2025

NA EKRAACH

Lepiej nie wiedzieć

Są takie filmy, o których lepiej zbyt wiele nie wiedzieć przed seansem, tak jak w przypadku najnowszego dramatu Ryana Cooglera. Akcja „Grzeszników” toczy się w Stanach Zjednoczonych w latach 30. XX w. Opowiada o dniu z życia czarnoskórej społeczności w kraju przepełnionym rasizmem, uprzedzeniami i animozjami. Kiedy na każdym kroku czyha zagrożenie (Ku Klux Klan i nie tylko), nasi bohaterowie szukają ucieczki w bluesie



„Grzesznicy”, reż. Ryan Coogler, prod. USA, już w kinach

i miłości. Poza pierwszorzędnym aktorstwem, dusznym klimatem i niepowtarzalnymi zwrotami akcji mamy do czynienia z dziełem o poszukiwaniu własnej tożsamości. Zdradzać więcej nie wolno – to doświadczenie, z którym trzeba się skonfrontować na własną rękę. A jeśli po „Grzesznikach” wciąż będzie wam mało, to warto się zapoznać z powieścią „James” Percivala Everetta. W obu przypadkach bohaterowie – ze względu na kolor skóry – walczą o wolność.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Stopy, najlepsze przyjaciółki Gosi

Ich obrazy powstają inaczej, ale nie są inne.
Malarstwo daje im wiele, jest źródłem niezależności

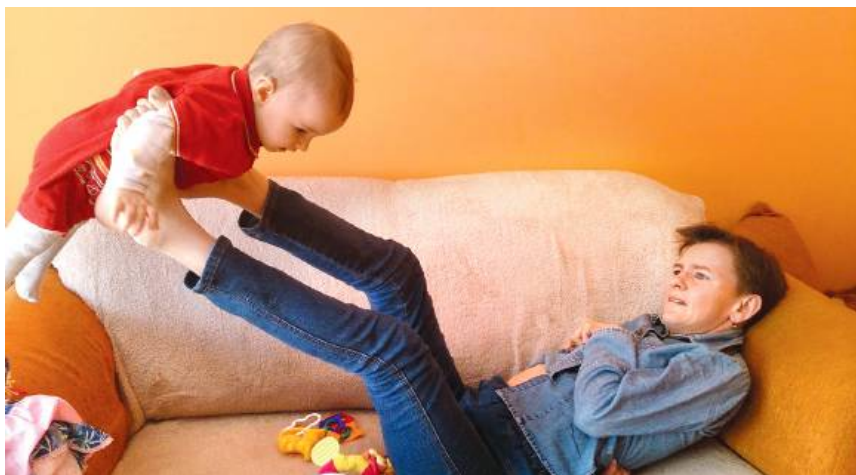
Beata Dżon-Ozimek

Zdjęcia – w tym jedno poruszające. Przejęta mama unosi w górę małe dziecko. Częsty obrazek, ktoś powie. Tyle że ta mama leży, ręce ma bezwładne, a maleństwo jest czule obejmowane stopami i unoszone wysoko nogami. Justynka, dziś nastolatka, bardzo lubi to zdjęcie.

Stopy w życiu Małgorzaty Waszkiewicz z Włocławka są jej wielkimi przyjaciółkami. Zastępują dłonie, mają wiele więcej do zrobienia i do wytrzymania niż stopy w pełni sprawnego człowieka. – Wierzę, że jak coś jest nam zabrane, to Pan Bóg daje nam coś w zamian. W moim przypadku są to stopy. Pracuję obiema, choć nie ukrywam, że prawa jest nieco sprawniejsza. Życie mnie zmusiło, by ręce zastąpić nogami. Tak, stopy są moimi przyjaciółkami i staram się ich nie przeciążyć, choć nie zawsze mi się to udaje, bo w domu ciągle jest coś do zrobienia. Na przykład dziś czuję, że trochę je nadwyreżytałam pracami domowymi i mnie bołą. No cóż, kiedy ręce są bardzo leniwe, to coś musi za nie robotę odwalać – śmieje się Małgosia. A potrafi śmiać się serdecznie. Uśmiechem zjednuje natychmiast. Tak było z jej mężem – zaczarował go uśmiech dziewczyny, samotnej, zmagającej się z nieposłusznymi rękami przy stoliku w sanatorium w Zakopanem.

Sens leniwych rąk

– Odkurzanie, mycie, pastowanie podłóg, prasowanie i inne rzeczy są w rękach, a raczej w nogach Gosi. Kto by pomyślał, że wszystko to można wykonywać stopami. Ale to jeszcze nic w porównaniu z szyciem igłą i obcinaniem mi włosów maszynką – wylicza Dariusz



Gosia Waszkiewicz leży, ręce ma bezwładne, a maleństwo jest czule obejmowane stopami i unoszone wysoko nogami. Justynka, dziś nastolatka, bardzo lubi to zdjęcie.

Waszkiewicz, od 18 lat mąż Małgosi. Darek, postawny mężczyzna o ciepłym głosie, niedowidzący, zajmuje się kuchnią. Nauczył się gotować, mówi, że jest „podmiotem wykonawczym”, a głową kuchennych operacji wciąż jest raczej Gosia.

W wyniku porażenia mózgowego ma ona całkowity niedowład kończyn górnych i uszkodzenie mowy. Trzeba się nieco wsłuchać, by rozpoznać jej mowę – ta przeszkoda w porozumieniu jest do pokonania. Pisze pięknym językiem wiersze, opowiadania i zwykłe mejle. W opowiadaniu o ich wspólnym życiu Darek przyznaje: „Pamiętam też swoje obawy co do codziennych czynności wykonywanych przy Gosi. Jak ubrać, by nie sprawić bólu. Wiedziałem jednak, że muszę się tego nauczyć, gdyż bardzo mi zależało na tym, byśmy byli razem. Przy ubieraniu Gosią czasem żartowała, mówiąc: »Dareczku bądź mężczyzną i pokaż tym moim rękom, kto tu rządzi, a jak zostaną trochę pokiereszowane, to przynajmniej będą mieć nauczki za swoje lenistwo«. Prawdą jest to, że gdy człowiek tylko

chce, to może wszystko. W krótkim czasie nauczyłem się, jak karmić, jak ubierać, by nie zrobić krzywdy. Małgosia dawała mi wskazówki, a ja postępowałem według nich”.

Gosia, Gośka, bo tak lubi, by do niej mówić, jest malarką z 27-letnim stażem, członkinią organizacji Artystów Malujących Ustami i Nogami (AMUN), zrzeszonych w Wydawnictwie Amun. Maluje stopami. Chyba każdy spotkał się z pracami tych artystów, z wysyłanymi pod domowe adresy pocztówkami czy kalendarzami. AMUN istnieje i pomaga w rozwijaniu artystycznych pasji, w odnajdowaniu sensu życia ludziom, którym los odebrał sprawność fizyczną przy urodzeniu lub z powodu wypadku. Wspiera także niepełnosprawnych artystów stypendiami, co ma ogromne znaczenie. Każda historia jest inna, każda też pokazuje, że można odnaleźć źródło siły w innych ludziach, także tych z podobnymi problemami, ale i w sztuce, w malowaniu.

Radość i duma z córeczki i męża, rodzinne szczęście, dom pełen życzliwości, pomaganie innym to piękna



Co roku AMUN organizuje spotkania i plenery malarskie. Wydawnictwo zatrudnia nauczycieli malarstwa, dołączając nowi twórcy. Plener w Wiśle w 2024 r.

strona życia Gosi. Tu nie ma miejsca na skargi – ani ona, ani jej koledzy artyści, często w pełni zależni od innych osób, nie utyskują. Ból, niemoc wobec stanu swojego ciała przerażają w sobie, z bliskimi, każdy na swój sposób. Na zewnątrz pokazują oblicza siłaczy – z godnością i humorem. Oczekują partnerstwa.

Ale wiersze Gosi to już inny świat. Wierzy, że za „włożeniem tej duszy w ciało niedoskonałe, które stało się jej więzieniem”, za niesamodzielnym życiem stoi jakiś boski plan. Wiara jest dla niej i jej bliskich bardzo ważna. Kiedy pisze: „Ja, niewinne dziecko przytłoczone ciężarem, patrzyłam z rozpaczą na swoje ręce, szukałam słów w zaciśniętych ustach, brak wolności puchł w zamkniętym ciele”, pyta: „Boże, dlaczego ja?”. Nie ma odpowiedzi. „Zaciskałam zęby i szłam dalej, uśmiechem zakrywałam wewnętrzną walkę, słyszałam jadowite słowa, nie dasz rady, marzenia nie są dla ciebie, płakałam, moje oczy też mają tży ciężkie jak kamienie”.

W świecie AMUN

Wielką pasją Gosi jest malarstwo. Nawet mąż często ma wrażenie, że w czasie malowania Gosia jest w zupełnie innym świecie. – W świecie bez zła i cierpienia. Widzę też, jakie skupienie towarzyszy jej podczas malowania. Zapytałam kiedyś, który obraz jest najbliższy jej sercu, odpowiedziała, że nie ma takiego, każdy jest dla niej niezmiennie ważny, bo każdy zawiera część jej samej.

Najpierw w Vaduz w Liechtensteinie w 1956 r. powstał Światowy Związek Artystów Malujących Ustami i Nogami (VDMFK), w 1993 r. powstał jego polski odpowiednik, Wydawnictwo Amun w Raciborzu. – Dziewiątka naszych artystów już należała wtedy do Związku Artystów Malujących Ustami i Nogami, a ja dostałam propozycję, by się zająć tym tematem i artystami – mówi Dorota Bakaj, dyrektorka wydawnictwa, która swobodnie mówiła po niemiecku i angielsku w latach 90., co nie było jak dziś codziennością – mogła się kontaktować bezpośrednio ze związkiem w Liechtensteinie. – Przewinięto się

ale też obowiązki. Jeśli się decydują, podpisują umowę ze Światowym Związkiem Artystów Malujących Ustami i Nogami, a my z nimi współpracujemy w Polsce.

Dorota Bakaj mówi o Stanisławie Kmieciku, zna go od początku. – On i jego żona Monika robią dobrą robotę, jeżdżą do artystów, docierają do ludzi, wiele osób dzięki nim wstąpiło do AMUN. Nie muszą, nikt im za to nie płaci, chcą pomóc, tak jak kiedyś ktoś pomógł Stanisławowi. Pamiętam, jak na pierwszym spotkaniu pocitałam się z przejęciem, chciałam dobrze wypaść, a tam byli artyści z problemami z mową, których jeszcze

Odkurzanie, mycie, pastowanie podłóg, prasowanie i inne rzeczy są w rękach, a raczej w nogach Gosi.

przez AMUN ponad 40 artystów. Niestety, podczas pandemii kilku pożegnaliśmy – wspomina.

Przychodzą nowi artyści, rodzice zgłaszają dzieci urodzone bez rąk czy przez jakiś wypadek ich pozbawione. Chcą, by czegoś dla siebie próbowały. Co roku AMUN organizuje spotkania, plenery malarskie, wkrótce w czerwcu w Zakopanem, potem w Wiśle. Wydawnictwo zatrudnia nauczycieli malarstwa, dołączają nowi twórcy. – Najpierw młody człowiek przyjeżdża do nas na plener. Poznaje kolegów, praktyków, rodzice też mogą porozmawiać, pobyć tu, wtedy jest decyzja, czy chce do nas należeć, czy nie, bo to nie są tylko profity,

nie rozumiałam, do tego pomyliłam Kosowskiego z Kmiecikiem. Kosowski mi powiedział: „A dobra, Dorota, spoko, też jestem bez rąk, mogę być i Kmiecik”.

Wystawy artystów z AMUN odbyły się m.in. dwa razy w Muzeum Narodowym w Warszawie, dziesiątki razy w różnych instytucjach w Polsce i nie tylko. To efekt ponad 30 lat działalności.

Wystawa, plener, wyjazd, wszystko wygląda beztrudno, ale w życiu nie jest im łatwo. – Dzwonię dwa razy, nie odbiera, zapewne jest, ale nie ma nikogo bliskiego, żeby podać telefon. To jest ich dzień powszedni. Bez pomocy drugiej osoby nie dają ▶

► rady. Nawet do toalety sami nie pójdą, jeśli brak rąk – przyznaje Bakaj, nie tylko szefowa wydawnictwa ale i przyjaciółka artystów.

Fenomenem jest Bartek Ostafowski, drifter, pierwszy i jedyny kierowca sportowy w historii, który prowadzi stopą (jazda w poślizgu), kilkukrotny i aktualny wicemistrz Polski. – Z początku ledwo kwiatusek namalował, ale został przyjęty, bo to ambitny młody człowiek. Maluje, ściga się, prowadzi firmę, media, wymaga od siebie bardzo dużo. – Potrafi ze swoim psem przyjechać samochodem na wystawę z Małopolski do Warszawy. Jego urok osobisty działa, panie kelnerki mu wszystko do stołu przynoszą, bo to są herosi, ale muszą mieć drugą osobę, jak nie trzecią, do pomocy. Potrzebują zabiegów, masażu, bo przykurcze, odleżyny u osób na wózkach – wylicza pani Dorota.

Malowanie ustami, stopami, pomaga im się utrzymać, a nawet daje utrzymanie. – Stanisław Kmiecik i czołówka pięciu-sześciu artystów z kolei utrzymuje wydawnictwo. Malują najwięcej i wiele ich prac jest wydawanych. Wszyscy dostają stypendium światowego związku, nikt nie został usunięty z powodu tego, że np. słabo maluje, albo nie maluje, bo jest chory.

Kmiecik także prowadzi auto stopami, niedawno jechał z żoną do Szwajcarii. Jeśli trzeba, sam odkręca zepsute koło. Każdy z grona twórców AMUN jest osobnym fenomenem – artystą z pędzlem w stopach, ustach, wrażliwym odbiorcą świata. To akt cierpliwości, koncentracji, często walki z ciałem, nie do porównania z aktem tworzenia za pomocą sprawnych rąk.

W Polsce, w Wiedniu czy Budapeszcie nocują w dużych hotelach, bo trudno o pensjonaty przystosowane dla osób na wózkach. – Chcemy godnie ich przyjąć, żeby każdy miał swój pokój, żeby poczuł święto wyjazdu. Na 20-lecie AMUN w Krakowie byli z nami artyści z zagranicy, oniemieli, kiedy orkiestra zagrała „We are the Champions”, w niebo poszły fajerwerki, wszyscy się poplaskaliśmy. Ruszyliśmy do tańca, ludzie na wózkach, bez rąk, nasi artyści. Ci wszyscy obcokrajowcy powiedzieli,

że czegoś takiego jeszcze nie widzieli, podobnie było na 30-lecie. Te polskie spotkania są już legendarne – mówi dyrektorka AMUN.

Jecie nogami, jak to wygląda

Twórcy z grona AMUN, ale i ze środowisk osób z niepełnosprawnościami bardzo przeżywali śmierć Piotra Pawłowskiego w 2018 r., społecznika, człowieka tworzącego zręby integracji, twórcy Fundacji Integracja, eksperta i Pełnomocnika Rządu ds. Osób Niepełnosprawnych. Znany z mediów, był jednym z pierwszych artystów AMUN, malował ustami. – Piotr tak pięknie działał, z niektórymi człowiek bardziej się zaprzyjaźnia. Brakuje mi też Irka Betlewicza – przyznaje pani Dorota.

Czasami słyszy na wyjazdach: „Weź, chwyć ten wózek, bo mama coś nie domaga”. – To nie jest tak, że to są biedne boroczki, jak się mówi na Śląsku, to są herosi na wózkach, jak ich ktoś nazwał. Traktujemy ich normalnie, bez względu na to, jaka część ich ciała jest sprawna, jaka nie, czy mówią płynnie, czy wymaga więcej uwagi. Nie traktujemy jak ludzi drugiej kategorii, my tylko jesteśmy zdrowsi i mamy bardziej sprawne ciało, w niczym innym nie jesteśmy lepsi. Oni są tacy sami, mają takie same potrzeby, też chcą sobie kupić auto, dobrze żyć, zwiedzać, cieszyć się, kochać. Ktoś się krzywi: „Ty, taki niepełnosprawny chcesz jeździć ładnym samochodem?”. Pracują, więc mają. Można zapytać, czy w czymś pomóc w urzędzie, na ulicy, w sklepie, przed krawężnikiem, schodami. Chociaż przez tych 30 lat podejście do osób niepełnosprawnych bardzo się zmieniło, te „schody” także. To efekty pracy Piotra Pawłowskiego – podkreśla Dorota Bakaj. 30 lat temu hotele reagowały na gości niepełnosprawnych tak: „Przyjedźcie w listopadzie”. Dziś nikt nie powie: „Mogliście gdzieś na boku jeść, bo jecie nogami i jak to wygląda”.

Bywają piękne historie miłosne w tym malarskim gronie, np. pewna

pani pojechała na plener pomagać i zakochała się w jednym z malarzy. Pobrali się, mają bliźniaki. „Jest trochę takich wspierających się małżeństw – Arka, Mariusza, Gosi, Stasia. Nie ma u nich marudzenia, że coś jest nie tak, jestem za chuda, za gruba, to są nasze śmieszne problemy. Za to na tych plenerach jest radość, człowiek się tak naśmiewa, że ma na cały rok”, podkreślają w AMUN.

Ponoć w Polsce mamy najlepszych artystów, jak wspomniany Stanisław Kmiecik, Mariusz Mączka, Arkadiusz Cyprian czy Walery Siejtbatałow. Są oni zapraszani na wystawy za granicę. Kmiecik lubi robić pokazy malowania na żywo, to taki showman, zawsze w kapeluszu.

W rozmowie z Gosią uczestniczą Justyna i Darek Waszkiewiczowie – jeśli nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem Gosię – od razu mi pomagają. Właśnie wrócili z działki, napracowali się, są „padnięci”. – Pamiętam, że nasz ślub był skromny, a jednocześnie bogaty, była wielka radość i szczęście. Najpiękniejszym momentem w moim życiu była ciąża, świadomość, że pod moim serce bije malutkie serduszko, i oczywiście narodziny Justynki. Teraz marzę, by wychować ją razem z mężem na dobrego i mądrego człowieka, proszę Pana Boga by nam w tym pomógł. Bo to nie jest tak, że sama w sobie jestem silna, co dzień proszę o siłę, by walczyć z bólem, z silnymi napięciami w rękach, czasami jeszcze dochodzą napięcia w środku mojego ciała. Staram się nie poddawać, mam rodzinę, która mnie potrzebuje. I jak każdy mam chwile złości, ale nie mogę uciec w kąt. Czasem uciekam w malowanie – mówi Gosia Waszkiewicz.

Spotkania z nią w szkołach, ośrodkach z dziećmi, z młodzieżą, z jej przepięknym uśmiechem i pracowitymi stopami zostawiają w ludziach ślad, jak stempelki dobra.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Zamówienia w Wydawnictwie AMUN można składać w sklepie internetowym:
www.amun.com.pl, e-mail: office@amun.com.pl, tel. 32 414 9011.

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wdziecinństwie i wczesnej młodości uwielbiałem zaszywać się w starokawalerskim pokoju wujaszka i pod jego nieobecność podczytywać naprędce książki zakazane. Był bowiem wujek szczególnym rodzajem bibliofila, jego regały wypełniały niemal wyłącznie tytuły owiane aurą skandalicznych. Podczas gdy cioteczka w swojej staropanieńskiej samotni zgłębiała publikacje, którym przystemplowano imprimatur, wujaszek budował swój księgozbiór z szatańskich werwetów. Brat i siostra, przewlekłe nieparzyści, rymowali się w ten paradoksalny sposób – we wschodniej części domu pokoik cioteczki promieniał od lektur zbożnych, zachodni zakątek tonął w mrokach tekstów wykłetych. Jak cioteczka sięgała po Biblię, tak wujaszek zgłębiał Kamasutrę, kiedy ona szamała na podwieczorek encykliki papieskie, on się pożywiał kanonem libertynizmu, gdy ona przed snem studiowała żywoty świętych, on robił dzięcioła nad biografią Hitlera. Miał przeszkloną biblioteczkę,

największego na świecie ośrodka badań nad długowiecznością. Wypełniłem z bolesną szczerością wszystkie rubryki dotyczące moich nałogów i szkodliwych nawyków, a i tak wedle prognozy, prowadząc się równie niedbale jak dziś, dociągnę do roku 2050. To jest całkiem ładna w swej okragłości data na odejście, o ile oczywiście będzie jeszcze wtedy skąd odchodzić, bo zegar zagłady już prawie bije na dwunastą. Miałbym wtedy lat 76, a więc niemało, ciut więcej niż wedle statystyk ma przeciętny umierający Polak – a co najważniejsze – w sam raz tyle, żeby nie dożył demencji, bo u moich krewnych w linii męskiej pierwsze symptomy mentalnego niedołęstwa objawiają się już po tzw. siekierkach, czyli 77. urodzinach. Z ulgą zatem przyjąłem, że nie ma sensu „brać się za siebie” po to, by dożyć starości, zwłaszcza jeśli miałyby ona wymagać opieki osób trzecich.

Opieka nad seniorami stała się w ostatnich dniach najgorętszym tematem politycznym za sprawą serii wtop kandydata

To idzie starość

której drzwiczki zamykały się na kluczyk, dopóki zatem nie zdołałem namierzyć skrytki, mogłem jedynie przez szybę podniecać zmysły tytułami z przepastnych głębin występu i nikczemności: „Seks partnerski”, „Raz w roku w Skirólawkach” czy „Sto dwadzieścia dni Sodomy”. Potem, już jako nastoletni młodzieniec, stałem się reprezentantem bodaj ostatniego w historii pokolenia miłośników pornografii sensu stricto, czyli tekstów o nierządnicach, nałogowym czytelnikiem książek nieczystych, który w(zw)odził po zdaniach bez dostępu do obrazków. Ostatnia książka, którą znalazłem na stoliku nocnym wujka, tuż przed jego wyprowadzką, nosiła tytuł „Starzy grzesznicy żyją dłużej” – był to już bowiem czas, w którym wujek, grubo po przeżyciu połowy wieku, zaczął interesować się, ile mu jeszcze życia zostało i jak sobie go trochę dodać. Zabrał manatki i wyprowadził się do pani, u której wykonywał doraźne prace hydrauliczne; przestał zatem grzeszyć samotnością, za to z żarliwością oddał się wszelkim innym uciechom życia. Dzisiaj dobiega osiemdziesiątki w rzeźkości cieleśnej, ale umysłowo nie jest już tak dobrze – cioteczka zresztą, dziesięć lat starsza, też podupadła raczej na duchu niż zdrowiu – okazuje się zatem, że ani żywot pocziwy, ani hulaszcy nie mają takiego wpływu na długowieczność, jak to, co zapisane w genach. W przypadku mojej rodziny jest to nieuniknione starcze otępienie, więc psu na budę taka długowieczność.

W internecie krąży sporo hochsztaplerskich „kalkulatorów daty śmierci”, tym więcej płatnych, im mniej wartych, ale jeden jest wiarygodny i darmowy – na stronie livingto100.com można wypełnić test opracowany przez amerykańskiego naukowca Toma Perlisa, założyciela New England Centenarian Study,

obywatelskiego, który tak się troszczył o staruszka, co mu był mieszkanie zapisał, że aż raz do niego zapukał przed świętami (nie wiedział bowiem, że pan już pół roku mieszka w DPS, a jego pobyt opłaca miasto). Jeśli afera mieszkaniowa Nawrockiego nie okaże się gamechangerem w pierwszej turze wyborów prezydenckich, oznaczać to będzie, że skala zbydlęcenia narodu polskiego przeszła już najpilniej strzeżone granice.

Jeśli ktoś jednak chciałby podrażnić temat i zobaczyć, jak to się robi w cywilizowanym świecie, nawet w świecie sztuk pięknych, niech odwiedzi niewielką, ale wyśmienitą wystawę „Autoportrety” w warszawskim Muzeum Narodowym. Na samym końcu, w ostatniej sali ekspozycyjnej, znajduje się „autoportret społeczny” Pawła Althamera – ogromny wiklinowy wózek typu gondola i towarzyszący mu zapis performance’u, gdzie był kluczowym rekwizytem. Przeskalowany wózek, w którym można przewieźć dorosłą osobę, artysta zaprojektował z myślą o zabieraniu na spacer swojej matki. Wraz z Grupą Nowolipie, członkami ogniska artystycznego osób chorujących na stwardnienie rozsiane, Althamer przemaszerał przez Warszawę do siedziby muzeum przy Alejach Jerozolimskich, aby na koniec uroczystości przekazać wózek dyrekcji. Podczas tej procesji niepełnosprawni członkowie grupy pełnili rolę pasażerów, wózek pchał sam Althamer, wszyscy byli ubrani w charakterystyczne złote kombinezony. Artysta lubi włączać do swoich działań grupy wykluczonych, animuje akcje społeczne, jest twórcą tyłuż wybitnym, co nienachalnie inkluzywnym. Niechże się tam Nawrocki przejdzie dla chwili refleksji, w przerwie między kolejnymi wiecami i konferencjami, podczas których próbuje się wywinąć od odpowiedzialności. ■

LICZY SIĘ KAŻDA MINUTA

Meningokoki – groźne zakażenie, któremu można zapobiec

Czym są meningokoki?

– Choć nazwa meningokoki może nie brzmieć groźnie, w rzeczywistości są to niezwykle niebezpieczne bakterie. Potrafią wywołać ciężkie zakażenia, takie jak sepsa (posocznica) czy zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, a nawet obie te postaci jednocześnie. To zakażenia, które zawsze mają ciężki przebieg i bezwzględnie wymagają hospitalizacji. Mogą też prowadzić do powikłań – również odległych w czasie.

Meningokoki, czyli *Neisseria meningitidis*, nie są jednorodne. Wyróżnia się kilka typów serologicznych – A, B, C, W i Y – i to właśnie one odpowiadają za ponad 99% inwazyjnych zakażeń na całym świecie. W Polsce, podobnie jak w wielu krajach europejskich, najczęściej występuje typ B, odpowiadający za ok. 70% przypadków zachorowań.

Kto jest najbardziej narażony na zakażenie?

– Do zakażenia dochodzi drogą kropelkową – przez kontakt z osobą chorą lub nosicielem bakterii. Nosicielstwo oznacza obecność bakterii w nosogardle, bez objawów choroby.

Chociaż ryzyko zakażenia dotyczy każdego, to najbardziej narażoną grupą są małe dzieci – szczególnie te w pierwszym roku życia. To właśnie wiek jest najistotniejszym czynnikiem ryzyka. Szczególną uwagę należy zwrócić także na wcześniaki, u których ryzyko jest trzykrotnie wyższe niż u dzieci urodzonych o czasie. Do grupy ryzyka należą również osoby z zaburzeniami odporności, np. związanymi z tzw. układem dopełniacza, oraz osoby z różnych przyczyn pozbawione śledziona.

Jakie są objawy i przebieg choroby?



Dr n. med. ILONA MAŁECKA

– lekarz z Katedry i Zakładu Profilaktyki Zdrowotnej Uniwersytetu Medycznego im. K. Marcinkowskiego w Poznaniu, członkini Zarządu Polskiego Towarzystwa Wakcynologii

– Zakażenie meningokokowe może mieć bardzo podstępny przebieg – jego początek wygląda jak zwykła infekcja: gorączka, gorsze samopoczucie, zmniejszona aktywność. To, co je wyróżnia, to błyskawiczny rozwój choroby. W ciągu kilkunastu godzin może dojść do gwałtownego pogorszenia stanu zdrowia: wysokiej gorączki, nudności, wymiotów, silnych bólów głowy, a w przypadku dzieci również do niepokojących objawów neurologicznych.

Charakterystyczna jest też wysypka – drobne wybroczyny lub większe zmiany skórne przypominające siniaki, które nie znikają pod wpływem ucisku. Często występuje postępująca niewydolność wielu narządów.

Jak wygląda leczenie i jakie są rokowania dla pacjentów?

– W przypadku podejrzenia zakażenia meningokokowego liczy się każda minuta. Mamy tzw. złotą godzinę na wdrożenie leczenia. Leczenie polega na dożylnym podaniu antybiotyków, ale zwykle konieczna jest także intensywna terapia wspomagająca. Często pacjenci trafiają od razu na oddział intensywnej terapii. Mimo szybkiej reakcji nie zawsze udaje się wygrać walkę z chorobą. Najcięższa postać zakażenia, tzw. piorunująca, postępuje tak szybko, że nawet w szpitalu nie udaje się uratować pacjenta. Śmiertelność ogólna wynosi ok. 10%.

Ci, którym uda się przeżyć, mogą borykać się z powikłaniami: padaczką, martwicą tkanek (w skrajnych przypadkach prowadzącą do amputacji), problemami psychologicznymi czy zaburzeniami koncentracji i trudnościami w nauce. Te problemy mogą się pojawić wiele miesięcy lub nawet lat po chorobie.

Mamy jednak skuteczną i bezpieczną profilaktykę zakażeń meningokokowych.

– Meningokoki to groźne, ale możliwe do powstrzymania zagrożenie. Od wielu lat mamy do dyspozycji skuteczne i bezpieczne szczepionki.

W Polsce szczepienia przeciw meningokokom należą do grupy szczepień zalecanych, co oznacza, że są odpłatne i to rodzic podejmuje decyzję o ich podaniu dziecku. Rodzic może to zrobić tylko wtedy, gdy ma wiedzę, dlatego obowiązkiem nas, lekarzy, jest szeroka edukacja.

Szczepionkę przeciwko meningokokom typu B można podać już niemowlętom od drugiego miesiąca życia, natomiast przeciwko typom A, C, W i Y od szóstego tygodnia życia.



Szczepienia to jedno z największych osiągnięć medycyny. Chronią przed poważnymi, ciężkimi infekcjami.

Oznacza to, że możemy skutecznie chronić nawet te najmłodsze dzieci, które są najbardziej narażone.

Jak wygląda sytuacja w innych krajach? Jak rysuje się przyszłość związana ze szczepieniami w Polsce?

– W wielu krajach Europy szczepienia przeciwko meningokokom zostały wprowadzone do kalendarza szczepień obowiązkowych, finansowanych ze środków publicznych. W Polsce wciąż trwają rozmowy na ten temat.

Jako środowisko wakcynologów postulujemy, by rozpocząć refundację tych szczepień chociażby od grup ryzyka, np. wcześniaków i małych dzieci. Mamy nadzieję, że uda się to zrealizować. W przeszłości podobną drogę przeszły szczepienia przeciwko *Haemophilus influenzae* czy pneumokokom – od szczepień zalecanych do refundowanych.

Jak przekonać rodziców, że szczepienia naprawdę ratują życie?

– Niestety, obserwujemy wzrost liczby rodziców wątpiących w szczepienia. To efekt zjawiska, które nazywamy „ofiara własnego sukcesu”. Przestaliśmy dostrzegać realne zagrożenie, ponieważ dzięki

szczepieniom nie widzimy dziś chorób, które kiedyś zbierały śmiertelne żniwo.

A przecież szczepienia to jedno z największych osiągnięć medycyny. Chronią przed poważnymi, ciężkimi infekcjami, które mogą prowadzić do trwałych powikłań lub nawet do

śmierci. Dlatego tak ważne jest, by realizować je terminowo i zgodnie z kalendarzem, chroniąc dzieci.

Obecne sygnały, np. wzrost zachorowań na krztusiec czy odrę, pokazują, że zagrożenie ze strony chorób zakaźnych nie jest hipotetyczne. To realne niebezpieczeństwo, któremu możemy zapobiegać – skutecznie i bezpiecznie – dzięki szczepieniom.

Jakie są wiarygodne źródła informacji, gdyby ktokolwiek chciał się dowiedzieć więcej?

– Sprawdzone i godne polecenia informacje znajdują się na www.wyprzedzmeningokoki.pl, jak również na stronie Narodowego Instytutu Zdrowia, czyli www.szczepienia.pzh.gov.pl. Świetne porady dla rodziców znajdują państwo także na stronie Medycyny Praktycznej: www.mp.pl. To są wiarygodne źródła, gdzie można znaleźć informację, czym są meningokoki, jak możemy im przeciwdziałać i jaką mamy skuteczną metodę ochrony. Zawierają także konkretne dane dotyczące bezpieczeństwa szczepień, a to rodziców interesuje chyba najbardziej. Bardzo te strony polecam.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarzy dla Zdrowia w związku z Europejskim Tygodniem Szczepień. Kwiecień-maj 2025.

Susan Casey

Nawet teraz, gdy nazwano ostatni krater na Księżycu, a na iPhone nie możesz obejrzeć interaktywne, trójwymiarowe mapy Marsa, 80% dna morskiego nie zostało opisane podobnie szczegółowo. A przecież głęboki ocean, zdefiniowany jako wody poniżej 200 m, zajmuje 65% powierzchni Ziemi i aż 95% przestrzeni zdolnej do życia (sam Pacyfik potrafiłby „połknąć” każdy kawałek lądu, każdy kontynent, każdą wyspę, i zostałoby mu miejsce na jeszcze jedną Amerykę Południową). Głębiny

oceaniczne nie są po prostu częścią naszej planety – one są naszą planetą. Zatem warto byłoby poznać je trochę lepiej.

Nasza wiedza dotycząca oceanów zwykle kończy się na najwyższej ich strefie, nazywanej strefą epipelagiczną lub strefą światła słonecznego. Jeśli stykasz się z żyjącymi w morzu morskimi istotami i potrafisz je nazwać, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pływają właśnie w tych płytkich wodach. Jednak epipelagial to zaledwie 5% objętości oceanu. Owszem, potrafi zachwycić, ale to tylko sufit. Prawdziwy ruch zaczyna się poniżej.

To tutaj, w strefie mezopelagicznej (od 200 do 1000 m) odnajdziesz całą menażerię bioluminescencyjnych istot, świecących i migoczących w ciemności, a głębiej, w strefie batypelagicznej (od 1000 do 4000 m) i w strefie abysalnej (od 4000 do 6000 m) otoczy cię wieczna noc i jej cudownie dziwaczni mieszkańcy. Miejsce, gdzie ta strefa styka się z dnem morskim, nazywa się równiną abysalną. To wypłaszczenie pokryte niby wełnianym kocem grubą warstwą morskiego osadu, w którym kryje się mnóstwo cudownych istot o finezyjnej budowie. Choć może się zdawać, że panują tam spokój i cisza,

NA DNIE ŚWIATA

Głębiny oceaniczne nie są częścią planety – one są naszą planetą. Zatem warto poznać je lepiej



dochodzi tu do największych geologicznych dramatów.

Zdawałoby się, że to jest dno świata, ale tak nie jest, bo pod abysalem leży hadal, strefa, której nazwa pochodzi od Hadesa, w mitologii greckiej boga podziemnego świata (i brata Posejdona), ale także nazwy samej krainy umarłych, którą władał. Wody hadalu rozpoczynają się na głębokości 6 tys. m i sięgają dużo niżej poprzez głębokie rowy oceaniczne i niecki – większość z nich znajduje się w Oceanie Spokojnym – przypominające kształtem odwrotność szczytów Himalajów. Najgłębszy z nich to Rów Mariański – długie na 2,5 tys. km, a szerokie na 69 rozcięcia dna morskiego niedaleko Guam. Miejsce zwane Głębią Challenger, o głębokości prawie 11 tys. m, uważane jest obecnie za najniższe miejsce na Ziemi. Dla porównania Mount Everest ma 8849 m. (...)

Jedynym sposobem na to, by mimo blokujących nas tysiące metrów płynnej ciemności uzyskać jasny obraz ukształtowania podwodnego terenu, jest użycie dźwięku, który woda roznosi szybciej i dalej niż powietrze. Ta technologia nazywa się obrazowaniem akustycznym lub sonarowym i polega na wysyłaniu fal dźwiękowych z dna statku i zmierzeniu czasu potrzebnego na ich powrót. Przetwarzając otrzymane w ten sposób dane, jesteśmy w stanie zbudować szczegółowy trójwymiarowy model dna morskiego. Oczywiście nie da się tego zrobić z daleka, urządzenie sonarowe musi być umieszczone bezpośrednio nad badanym obszarem. Tworzenie precyzyjnych map batymetrycznych to sprawa ściśle techniczna, w większej części oceanu nikt tego jeszcze nie zrobił.

Brak atlasu wód oceanicznych może prowadzić do zaskakujących odkryć. Jedno z nich, w 2017 r., rozpało moją ciekawość. Podejmowałam wszystkie możliwe wysiłki, aby dowiedzieć się więcej o głębinach oceanu, śledziłam doniesienia naukowców, czytałam książki, oglądałam filmy dokumentalne. Każda nowinka przykuwała mnie do biurka, więc wcale nie zdziwił mnie nagłówek: „Poszukiwania zaginionego

samolotu MH370 odkrywają nieznaną świat głęboko w oceanie”.

Jak miliony innych ludzi z napięciem śledziłam historię boeinga Malaysia Airlines, z niknącą nadzieją, długą listą pytań i wiarą w to, że w końcu znajdziemy odpowiedzi. Bo jak mogłoby być inaczej? Nie potrafiłam pojąć, że samolot z 239 pasażerami na pokładzie może po prostu się zgubić. Mijały jednak lata i sprawa nie została rozwiązana. Mielśmy tylko wyrzucone na plażę wschodniej Afryki fragmenty skrzydeł MH370 i w pewnym momencie stało się jasne, że Ocean Indyjski po prostu pochłoniął samolot, a oceany nie odpowiadają na pytania.

Całą sprawę komplikowało to, że – jak sądzono – samolot dotarł do najbardziej oddalonych na południe wód Oceanu Indyjskiego, gdzie wichury potrafią burzyć wodę aż na 7 km w głąb. Nocą 8 marca 2014 r., gdy samolot zniknął, nikt zbyt wiele nie wiedział o tych obszarach – oprócz tego, że są bardzo nieprzyjazne. Jedynymi podpowiedziami, jak może tam wyglądać

Najmniejsi rezydenci głębin to najpotężniejsza armia mikrobiologiczna Ziemi.

dno morza, były modele pozyskane dzięki altymetrii satelitarnej, która poprzez mierzenie parametrów pola grawitacyjnego Ziemi na powierzchni morza daje nam również wiedzę o głębokości i ukształtowaniu terenu (ponad dużym wybrzuszeniem dna powierzchnia morza również będzie wyraźnie wypukła, a nad rowem czy innym spadkiem terenu delikatnie niższa). Te modele, rozmazane i w niskiej rozdzielczości, przypominały bardziej szacunki niż fakty. Aby mieć jakkolwiek nadzieję na odnalezienie wraku samolotu, potrzeba było dokładniejszych informacji.

Doprowadziło to do największego, najgłębiej sięgającego, najtrudniejszego, najdłuższego i najbardziej ambitnego technicznie przeszukania dna morza, jakie kiedykolwiek przeprowadzono. Przez 1046 dni głębin

morskie przetrząsały roboty i sonary o wysokiej rozdzielczości, tworząc nowusienkie, szczegółowe, trójwymiarowe mapy głębin na obszarze wielkości Nowej Zelandii. Odnaleziono cztery wraki statków i jeden z nich zidentyfikowano jako „The West Ridge”, brytyjski statek węglowy długości 70 m, zaginiony w 1883 r. Leżał prawie 4 km pod wodą.

Choć nie udało się odnaleźć samolotu, poszukiwanie było prawdziwą katabazą – ratunkową misją do krainy umarłych. Zupełnie jak Orfeusz, poszukiwacze musieli zejść niewyobrażalnie głęboko, aby odnaleźć to, czego szukali, i przyszło im wrócić na powierzchnię z pustymi rękami. Katabaza jednak nigdy nie oznacza straconego czasu, gdyż pozwalała nam dotknąć czegoś nadzwyczajnego. Według notki, której nagłówek od razu zwrócił moją uwagę, ta podróż nie była wyjątkiem.

Mapy odkryły, że dno Oceanu Południowoindyjskiego jest niezwykle piękne, wręcz widowiskowe. Przypominało symfonię ekstremów, playlistę największych hitów geologii. To było tak, jakbyśmy odkryli Śródziemie Tolkiena ponad 6 km pod wodą. Były tam góry wyższe niż Alpy Szwajcarskie, doliny, przy których Yosemite zdawała się małeńka, rozdziawione jak w ziewnięciu ogromne szczeliny skalne i pionowe klify opadające w przepaście. Dno poznaczone było bliznami, które pozostawił superkontynent Gondwana, gdy rozpadł się na części, tworząc Australię, Indie i Antarktykę.

100 mln lat temu, gdy Gondwana jako całość przestała istnieć, dno morza rozwarło się, jakby ktoś przesunął zamek błyskawiczny, otwierając płaszcz Ziemi i pozwalając palącej wulkanicznej magmie bez przeszkód wypłynąć przez rozpadlinę. Magma wyrzuciła się w ogromną masę skały wulkanicznej, która przeobrażała się potem i zmieniała kształt w czasie: wypiętrzała się i opadała, przekręcała i przerywała, gdy dwie płyty tektoniczne oddalały się od siebie. Rozłam przyniósł rozciągający się na 1200 km obszar po pęknięciu, okolony po obu stronach skarpą o nierównych brzegach, sięgającą ponad ▶

► 5 tys. m w głąb, mijającą po drodze sześć kanionów i kończącą się jednym z najgłębszych miejsc w Oceanie Indyjskim – Rowem Diamantyny. Gdybyście przeszli się po tym rowie, wasze stopy zapadłyby się w grubą warstwę osadu, który zebrał w sobie miliony lat opadającego wolno z góry morskiego śniegu – mniejszych i większych kawałków ciał morskich zwierząt, maleńkich szkielecików i jeszcze mniejszych muszelek, planktonu, bakterii, organicznych resztek i mułu, a także – od niedawna – mikroplastiku. Nie każdy fragment dna jest jednak mulisty.

W jednym z przylegających do rowu obszarów geolodzy naliczyli 154 wulkany, z których 17 przekracza wysokość tysiąca metrów, co kwalifikuje je jako góry podmorskie: w pełni rozwinięte i osobne. Wiele z nich otoczonych jest fosami wykopanymi przez zaskakująco silne prądy, które przenoszą również pożywienie. W głębinach poszukiwanie czegoś, co nadaje się do jedzenia, to praca na pełen etat, dlatego te góry stały się oazami przyciągającymi ruchliwą plejadę wyjątkowych stworzeń. Są wszędzie: wciśnięte w szczeliny, wykwitające na skałach, pływające nokoło, zakopane w osadzie. A na południe od tych szczytów natrafiono na następne imponujące znalezisko: Geelvinck Fracture Zone, pęknięcie dna o głębokości ok. 900 m, które biegnie tak prosto i jest tak długie, że wygląda, jakby ktoś narysował je za pomocą linijki.

Czytając o ukształtowanym w tak niezwykły sposób nieziemskim dnie morza, przypominającym podwodną sieć parków narodowych stworzoną dla gigantów, i uświadamiając sobie, że aż do teraz nikt o nim nie wiedział, mogłam zadać tylko kolejne pytanie: „Co jeszcze tam jest?”. Co więcej kryją głębin – i dlaczego nie rzucamy wszystkiego innego, by się tego dowiedzieć? Ile możemy znaleźć tam nieodkrytej jeszcze historii, ile wiedzy, ile cudów geologii? Ile nieopisanych dotychczas gatunków? (...)

A przecież tam, w głębinach, możemy spotkać organizmy, o których do tej pory nie śniło się naukowcom. Stworzenia, które funkcjonują

w wodach nasączonych minerałami ze skorupy ziemskiej, w tym głównie siarczkami, mają niezwykłą budowę szkieletów, komunikują się przez skórę. Takie, które mogą się przekręcić na lewą stronę jak sweter, mają parę ust, trzy serca, osiem nóg. Albo też ich ciała mogą być stworzone z tysięcy innych, mniejszych, jak doskonale zorganizowana armia. Przynajmniej jedno z nich tryska żółtym światłem. Niektóre mają przezroczyste głowy. A najbardziej delikatne z nich wytrzymują ciśnienie, które zgniotłoby ciężarówkę!

Najmniejsi rezydenci głębin to najpotężniejsza armia mikrobiologiczna Ziemi. To mikroby – bakterie, protisty i wirusy – organizmy, które

W głębinach poszukiwanie czegoś, co nadaje się do jedzenia, to praca na pełen etat.

napędzają laboratorium życia. Zmieniają substancje chemiczne w energię, przetwarzają węgiel, dostarczają tlenu, przekształcają szczątki w składniki pokarmowe i usuwają toksyny, żeby wymienić choć kilka z ich wyczynów. Nie byłoby tu nas, gdyby nie one. Ich liczba w oceanie jest tak astronomiczna, że aby ją oszacować, musimy użyć terminu z kosmologii: kwintylion, czyli 10^{30} . Gdyby 3,6 kwintyliona mikrobów morskich zebrać i położyć na wadze, ich masa stanowiłaby 90% biomasy oceanu. Naukowcy nie wiedzą, ile to gatunków – być może miliard. Znalezione tam takie, które oderwały się od dna morskiego, gdy wielokomórkowe życie było zaledwie błyskiem w pradawnym oku Ziemi. Udało im się przetrwać przez całe wieki w niezwykle ciężkich warunkach.

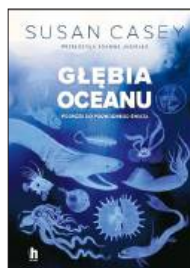
Badając, co dało im taką odporność, odkryliśmy nowe antybiotyki i leki przeciwwirusowe, nowe biomateriały, związki chemiczne używane w leczeniu raka i nowe testy diagnostyczne, włączając ten używany do wykrywania COVID-19.

Można odnieść wrażenie, że to wszystko nijak się ma do nas, ludzi, że te dziwne stwory są jak batalion kosmitów, ale to właśnie ich inność zachwyca i każe nam doceniać świat głębin i zrozumieć go takim, jaki jest, na jego własnych warunkach. (...) Zapewne pomogłoby nam, gdybyśmy pozbyli się naszych uprzedzeń, mylnej wiary w to, że wszystko, co ważne, dzieje się na lądzie, bo tam żyjemy.

W rzeczywistości trwanie naszego gatunku zależy od oceanu. Im niżej schodzimy w obszarze naszych dociekań, tym częściej musimy zrewidować nasze przekonania co do tego, jak funkcjonuje Ziemia, jak zachowuje się klimat, czego możemy nauczyć się z odległej przeszłości o naszym miejscu w ogólnym systemie życia, a nawet samej jego definicji. Stało się jasne, że natura to system wzajemnych połączeń, a głębokie morze można porównać do płyty

głównej. (...) Głębiny oceanu są jak bufor dla nadmiernej ilości dwutlenku węgla (przynajmniej na razie), napędzają cyrkulację wód (w ten sposób wpływają również na klimat), regulują geochemię Ziemi (co jest ważne, choć to mało powiedziane) i absorbują nadmiar gorąca (jak wyżej). To tylko kilka przykładów ich działania. Tętniący życiem obszar zanurzony w całkowitej ciemności jest podstawą istnienia naszej planety. (...)

Tak jak przy każdej podróży w nieczęsto uczęszczane miejsce, możesz się sporo nauczyć od tych, którzy byli tam przed tobą. Przecież nie mnie jedyną pociągał świat głębin. Ogromna grupa badaczy i naukowców przetarła już przede mną morskie ścieżki. Odszukiwałam ich przez pięć lat i w końcu te podróże, w których dane mi było im towarzyszyć, zaprowadziły mnie do tego dnia, gdy wreszcie miałam zejść w głąb, w samo serce Pacyfiku.



Fragmenty książki Susan Casey *Głębia oceanu. Podróż do podwodnego świata*, przeł. Joanna Jagiełło, Wydawnictwo Harde, Warszawa 2025



Oryginalny posąg Dawida w 1873 r. został przeniesiony do specjalnej niszy w Gallerii dell'Accademia, zwanej Trybuną Dawida, by ochronić go przed gołębiami.

PERŁA RENESANSU TRZESZCZY W SZWACH

W 360-tysięcznej Florencji przemysł turystyczny kwitnie. I sięga po kolejne rekordy

Bronisław Tumitowicz

Rzymianie budowali swoje miasta zgodnie z klasyczną tradycją na planie kwadratu. Na planach ich ulice układały się równolegle i prostopadłe. Ale czasy się zmieniały. Przyszło średniowiecze, a z nim w miejsce klasycznego porządku pojawił się rozgardiasz. Plan ulic często ustalał przypadek, np. osiołek niosący na grzbiecie budulec i dobra nowego mieszkańca. Jeśli się zaparł albo coś mu stanęło na drodze, wyznaczał miejsce postoju albo krętą drogę dojścia do nowego siedliska. Takie dwa style do dziś widać na planie Florencji.

Kwitnąca turystyka, ale bez zieleni

Toskańska perła renesansu żyje głównie z turystyki. W Europie Zachodniej takie destynacje są już maksymalnie przeciążone i gdzieś

mieszkańcy zaczynają się buntować, bo ich przestrzeń życiowa została brutalnie pomniejszona. Tymczasem w 360-tysięcznej Florencji przemysł turystyczny kwitnie. I sięga po kolejne rekordy. Przed pandemią COVID-19 odwiedzało ją rocznie 10 mln osób i wydawało się, że nikt więcej do tego miasta już się nie wciśnie. Tymczasem policzono, że w 2024 r. przybyło do niego 14 mln turystów i miasto ten napór wytrzymało. W związku z ostatnim Dniem Wyzwolenia, obchodzonym 25 kwietnia, i pogrzebem papieża Franciszka 26 kwietnia, we Florencji nałożyły się dni wolne – nawałnica ludzka była więc nie do wyobrażenia. Florencja trzeszczy w szwach.

Ta renesansowa perła kultury, zbudowana jeszcze za czasów rzymskich, nie utrzymała swojej pierwotnej nazwy – Florencja to znaczy kwitnąca, miasto kwiatów. Ponieważ ludziom trudno się wymawiało dwie następujące bezpośrednio po sobie spółgłoski, wybrano prostszą wersję

– Firenze. Nazwa Florencja, Florence pozostała w innych językach.

Z uwagi na interesy mieszkańców miasto szybko się rozbudowywało – każdy metr gruntu był wykorzystywany, więc w starej jego części nie pozostawiono nawet skrawka zieleni. Wszystko jest tu z kamienia, a najbardziej reprezentacyjne budowle, w tym kościoły i bazyliki, mają fasady w bardzo charakterystyczny sposób obłożone czarnym i białym marmurem.

Agnieszka Pawlak, przewodniczka po mieście, mówi, wskazując na dwa trójkątne trawniki na placu przy Santa Maria Novella: – To jedyna zieleni w tej części miasta, i to całkiem na nowo uzyskana. Jeśli są tu jakieś ogrody, to tylko prywatne, wewnątrz wielkich posiadłości, na pałacowych patio, do których zwykli ludzie nie mają dostępu. Dawni bogaci mieszkańcy budowali dla siebie siedliska o wyraźnie obronnym charakterze. Gdy jakiś intruz chciał do nich wtargnąć, syptały się na niego kamienie ▶

▶ albo łała gorąca smoła. W mniej poważnych potyczkach spuszczano na głowy nieczystości. A ponieważ miasto nie miało kanalizacji, by nie czynić niewinnym większej szkody, każdego ranka przed wylaniem nocnika z wieży zwyczajowo wołało ostrzegawczo: „Avanti!”. To było hasło typowe właśnie dla Florencji, co tłumaczy się na nasze: do przodu, no dalej itd.

Medyceusze zwyciężali w wielu konkurencjach

Najstojniejszym i największym zabytkiem Florencji jest katedra Santa Maria del Fiore, którą zaprojektował i zbudował rzeźbiarz i architekt Filippo Brunelleschi. Wcześniej studio wał konstrukcje starożytne w Rzymie, ale by przenieść pewne metody i doświadczenia na grunt florencki, skrzętnie ukrywał swoje prace projektowe. Makiety przedstawiane komisjom konkursowym były przez ich twórcę ściśle strzeżone, wykonane z warzyw, np. marchewek, a po akceptacji zjadane przez autora.

W 2024 r. przybyło do Florencji 14 mln odwiedzających i miasto ten napór wytrzymało.

Projektant zastosował tutaj niezwyczajne jak na ówczesne czasy rozwiązania techniczne: zdecydował się na wykonanie kopuły o dwóch powłokach oraz zastąpienie kamienia w górnych partiach lżejszą cegłą. Obiekt jest monumentalny, a na niewielkim placu przed katedrą stoją jeszcze ogromne baptysterium oraz dzwonnica. Perspektywa patrzącego z bliska stwarza wrażenie, że dzwonnica przewyższa kopułę katedry, ale to typowe złudzenie optyczne. Dzwonnica ma ponad 80 m, a kopuła katedry z latarnią na szczycie – ponad 100 m i jest nie tylko najwyższą budowlą Florencji, ale przez wiele lat była najwyższą budowlą sakralną na świecie. Do dziś zachowała jedno z pierwszych miejsc w rankingu (jest czwartą największą w Europie – po Rzymie, Mediolanie i Londynie). Ogrom budowli to efekt ambicji władz Florencji, słynnego rodu

Medyceuszy, którzy pragnęli zwyciężać także w konkurencji budowlanej.

Brunelleschiego można natomiast nazwać prekursorem BHP – ograniczył bowiem robotnikom picie wina, a dostawy trunku były na jego rozkaz specjalnie rozwodnione. Ponadto budowniczcy pracujący na tak wysokiej budowlі mieli pasy bezpieczeństwa, więc choć inwestycja trwała długie lata, tylko jeden z nich spadł z rusztowania i się zabił.

Konkurowali ze sobą także florency rzeźbiarze i architekci. Oprócz Brunelleschiego w historii zapisał się Lorenzo Ghiberti, który m.in. wygrał konkurs na projekt i wykonanie drzwi z brązu do baptysterium przy katedrze Santa Maria del Fiore. Utrzymanie powstałych tu cudów architektury renesansu wymaga ciągłych starań, takich jak czyszczenie marmurowych okładzin ceglanych ścian, nie wspominając o usuwaniu skutków katastrof, których ostatnio natura nie skąpi. W latach 60. XX w. powódź wypłukała wielkie drzwi do baptysterium. Spłynęły one z wodą do rzeki Arno. Na szczęście brązowe,

jest... miara łokcia – Florencja była w dawnych latach centrum produkcji wysokiej jakości tkanin. Sklep bławatny miał więc na fasadzie miarkę, by każdy mógł sprawdzić, czy go nie oszukano. Dziś lwia część handlu zajmuje się obsługą turystów – kulinarną i pamiątkarską, a ulice są wyraźnie naznaczone cenowo. Na najdroższej ulicy Florencji, Via Tornabuoni, nie ma popularnych sklepików, ale wyłącznie markowe magazyny Gucci, Dolce&Gabbana i inne butiki modowe.

Nie rozsiadać się przed arcydziełami

Turysta, poza najstojniejszymi świątyniami Florencji, mającymi charakterystyczną kratkowaną elewację wyłożoną marmurem, powinien odwiedzić także zabytkowe muzeum malarstwa, należące niegdyś do słynnego rodu Medyceuszy, czyli Galerię Uffizi. Stanie w kolejce, czasem nawet przez trzy godziny, jest nieodłączną częścią zwiedzania.

Już na początku chronologicznej ekspozycji malarstwa, w epoce średniowiecza, powoli orientujemy się, które sale są bardziej, a które mniej odwiedzane. I nie są to sale z zabytkami średniowiecza czy surowego gotyku – wyczekiwany jest raczej renesans. Sala z obrazami XIV-wiecznego malarza Giotto wymagała dokonania w galerii pewnych zabiegów. Prace mistrza o charakterze religijnym o wymiarach 4,5 x 3 m wymagały stworzenia wielkiego otworu w ścianie, tak aby nie niszczyć solidnych, drewnianych drzwi.

Maksymalnie obłożona przez zwiedzających jest także antyczna Wenus Medycejska z I w. p.n.e., która pierwotnie spoczywała w Uffizi, ale Napoleon Bonaparte w ramach zdobycznego trofeum przewiózł ją do Luwru. Po klęsce cesarza Francuzów, w 1815 r., specjalna ekipa odtransportowała ją do Florencji. Napoleon w ramach rekompensaty za zrabowany starożytny posąg zamówił dla Florencji u współczesnego mu artysty Antonia Canovy inną nagą postać kobiecą. W rezultacie w mieście są więc teraz dwie podobne – ta druga w Palazzo Pitti.

Wejście do sali z dziełami Leonarda da Vinci uniemożliwia potworny tłum. Ciżba ludzka nie ustępuje i nie chce się usunąć sprzed niedokończonego obrazu mistrza „Pokłon Trzech Króli”, wykonywanego dla jakiegoś miejscowego zakonu, porzuconego, gdy Leonardo otrzymał bardziej lukratywną propozycję z Rzymu, a może nawet Watykanu. Nie lepiej jest przed dwoma obrazami jednego

piętra. Tylko sprawnie przesuwając się przed kolejnymi artefaktami.

Stanąć obok mistrzów

Florencja jest jednak miastem tak wypełnionym sztuką, że nie trzeba wchodzić do żadnego muzeum, by mieć z nią kontakt. Wystarczy przejść na Piazza della Signoria, gdzie znajduje się fontanna Neptuna i wiele

który często pojawiał się na fotografiach turystów, nawet wycieczek zakonnic odwiedzających Florencję, stał się teraz popularną pamiątką, którą można kupić w formie magnesów na lodówkę.

Wielu współczesnych artystów marzy, by stanąć ze swoją pracą obok słynnych florenckich mistrzów. Rada miasta zgadza się więc od czasu do czasu, choć chyba nie charytatywnie, na takie kilkumiesięczne prezentacje. I tak Brytyjczyk Thomas J. Price, w ramach dyskursu z dziełami przeszłości, ustawił na dziedzińcu Museo Novecento 3,6-metrową wielkoformatową rzeźbę figuralną. To całkowicie realistyczny wizerunek kobiety z telefonem komórkowym w ręce. Czy w ten sposób zachęci przybyszów do autentycznego kontaktu ze sztuką? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jednak liczba osób, które każdego dnia przy tej złotej rzeźbie robią sobie właśnie komórką zdjęcia, jest imponująca.

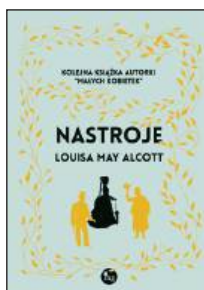
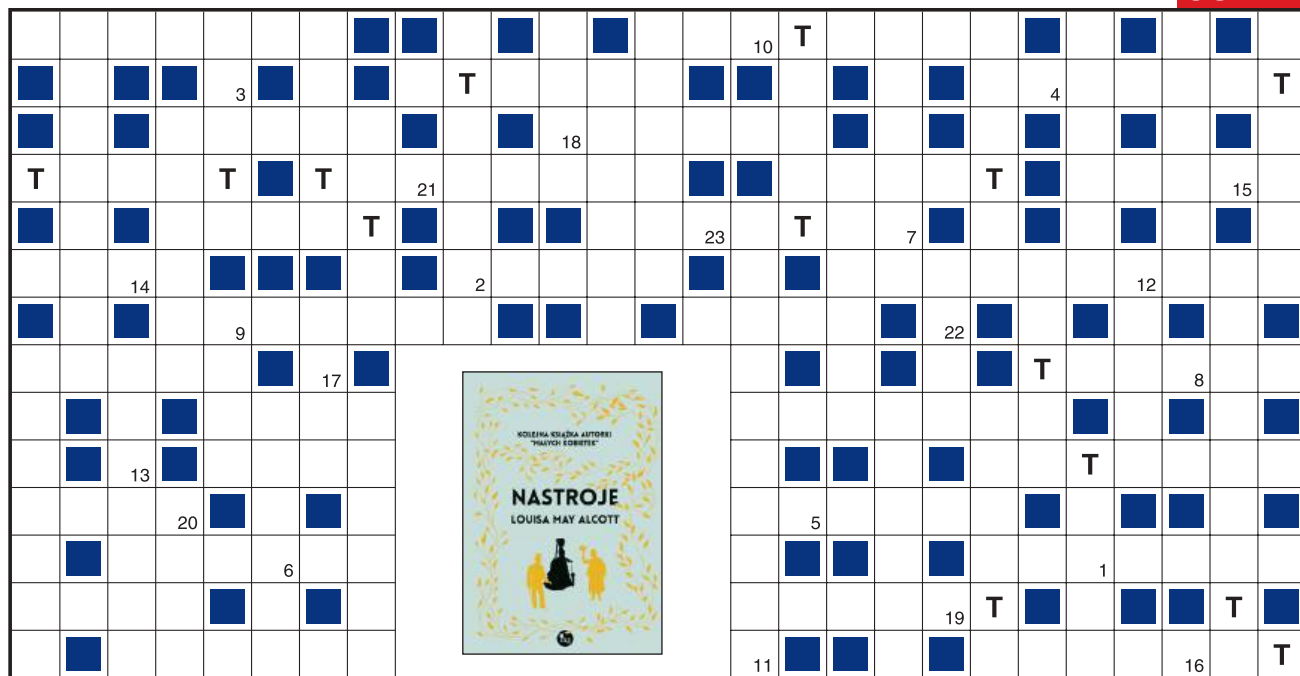
Zarządzający muzeami stali się wrogami ławeczek, krzesel, a nawet wind.

z konkurentów malarskich da Vinci – Botticellego. Jego „Narodziny Wenus” i „Triumf Wiosny” zostały pokryte antyodblaskowym antywłamaniowym szkłem. To ochrona przed ekoaktywistami i terrorystami.

Zarządzający muzeami, zarówno Galerię Uffizi, jak i Palazzo Pitti, stali się także wrogami ławeczek, krzesel, a nawet wind. Tłum ma się nie rozsiadać przed arcydziełami ani nie skracać sobie czasu dojazdu na

kopii słynnych posągów, np. Dawida, genialnego dzieła Michała Anioła. Ta wielka marmurowa rzeźba, symbolizująca wolność zdobytą przez mieszkańców i gotowość do obrony Florencji, stała tu przez 369 lat, ale dziś zastąpiła ją kopia. Oryginalny posąg Dawida w 1873 r. został przeniesiony do specjalnej niszy, zwanej Trybuną Dawida, w Gallerii dell'Accademia, by ochronić go przed gołębiami. A męski organ biblijnego bohatera,

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 tworzą końcowe hasło.

- za nic ma swoje korzyści i wygląd
- adwersarz prokuratora
- obszar wodny
- na planie jego rolę kochanie
- imię kajakarki Koniecznej z domu Pastuszki
- ...z Canterbury, ojciec scholastyki
- umartwianie się, wyrzeczenie wygod
- gdy urządzenie wysiadło
- wystylizuje męską fryzurę i zarost
- rosyjska monarchia
- rzucone ze statku przy nabrzeżu
- silnik w syrenie i trabancie

- płyta sklejona z warstw drewna
- osobliwość, sytuacja budząca zdumienie
- wyborca w USA głosuje, on wybiera prezydenta
- smukła antylopa
- niegdyś duża, gruba kromka
- penetruje jaskinie
- aromatyczne kłącze na piwo i przyprawę
- podstępnie uknuta
- pamięci, tortur lub skarbowa
- imię „brazylijskiego Trumpa”
- glaukoma
- płonie ognisko, a one szumią
- romańska w Kruszwicy, Tumie, Opatowie
- milion trylionów
- Jack, autor „Białego Kłosa”

- Robert, stworzył postać Jasona Bourne’a
- biblijny nędzarz
- święta z Syrakuz
- ...ciszy – dla upamiętnienia
- chaber bławatek
- państwowa ze sternikiem
- na podręczne zapiski
- „Koncert c-moll na skrzypce i...” Bacha
- kościelna uroczystość z kiermaszem
- składnik benzyny, wzorzec odporności na spalanie detonacyjne
- dawniej z niego żołnierzyki
- Alexander, angielski poeta, teoretyk klasycyzmu
- przerywająca film lub na bilbordzie
- nowo wcieleni do wojska
- po sąsiedztwie ma Trzęsacz i Niechorze
- rudy grzyb z piosenki
- ssak broniący się odorem

- o parze małżeńskiej
- kwota w grze hazardowej
- pocisk w kołczanie
- Joseph Wilson, angielski wynalazca żarówki
- zjazd duchowieństwa
- kula z podparciem na łokieć
- z rubrykami do wypełnienia
- zastępczy, rzeka lub tabu
- wznoszony za zdrowie, na cześć
- przemieszczanie np. beczki
- 12 sztuk czegoś
- o gburze siedzącym w biurze
- i czarownica, i wyzwiszko
- kraina zwana Dzikimi Polami
- czeka na właściciela w lombardzie
- inna nazwa sylaby
- i bunt narodu, i nagłe zwiększenie tempa
- małec przy klaczy

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1221”. Do rozlosowania książki „Nastroje” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 maja 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1218” z nr. 17: *Wszystko minie, sława nie zginie.* Nagrody otrzymują: Roma Buczyk z Warszawy, Wacław Czopp z Bytomia, Anna Kotłowska z Poznania.

Wszystko już było

Narzekali starsi pracownicy MSZ, że nie warto zbyt długo w nim pracować, bo wszystko już było i wszystko się powtarza.

Oto premier Tusk chciał błysnąć nową ideą i ogłosił, że Polska w świecie „jest szanowana i słuchana. Bez Polski nie da się ułożyć nic znaczącego w Europie. A w relacjach międzynarodowych dysponujemy kompetencjami na najwyższym światowym poziomie”.

Co w tym nowego? W czasach Edwarda Gierka Polska funkcjonowała w świecie dyplomacji jako państwo wyjątkowe, wprawdzie wschodnie, ale otwarte na Zachód. I ratowała odprężenie, zapraszając po inwazji na Afganistan Leonida Breżniewa i Valéry’ego Giscarda d’Estaing, by w Wilanowie o pokoju rozmawiali. Wyszło, co wyszło. Dziesiąta potęga gospodarcza świata musiała przełknąć gorzką pigułkę.

Premier Tusk poszedł zresztą dalej. Zapowiedział, że do dotychczasowych osiągnięć „dokłada kolejny element – dyplomację ekonomiczną”. I że „państwo będzie patronem ekspansji polskiego biznesu, naszego eksportu”.

Panie premierze, byli już przed panem ludzie, którzy takie rzeczy zapowiadali. W roku 1988 ministrem spraw zagranicznych został Tadeusz Olechowski, swego czasu minister handlu zagranicznego, i wówczas mówiono, że następuje „ekonomizacja polskiej polityki zagranicznej”. To znaczy, że polskie ambasady mają promować sprawy gospodarcze, polski eksport itd. A i wtedy już narzekano, że to odgrzewane hasła. I przypominano, że w roku 1968 szefem MSZ został Stefan Jędrzychowski, absolwent, jeszcze przedwojenny, ekonomii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. On też miał ambitny plan „ekonomizowania” polskiej dyplomacji.

Z tych zapowiedzi jedna tylko rzecz brzmi zastanawiająco – otóż hasłem „ekonomizacji” towarzyszyła zmiana na stanowisku szefa MSZ. Czyżby więc premier, w ramach rekonstrukcji rządu, zamierzał wprowadzić nowego ministra spraw zagranicznych?

Opozycja też nie błyszczy nowatorstwem, też odgrzewa. Kto słuchał, jak polemizowała z Sikorskim w Sejmie, ten miał na dłoni całą paletę pisowskich obsesji. Jak choćby tę, stale powtarzaną, że w MSZ pracują absolwenci MGIMO i że to groźne dla Polski. Bo, jak wiadomo, uczyli się w Moskwie i nasiąkli. Nie sposób z tym polemizować, to jest wiara, ciężka choroba, racjonalności w tym nie ma. We wszystkich dawnych krajach tzw. demokracji ludowej pracują absolwenci MGIMO i są cenieni ze względu na wiedzę, którą posiadli, no i znajomość Rosji. A nasi pisowcy pewnie najchętniej do Moskwy wysłaliby człowieka nieznającego rosyjskiego, który siedziałby zamknięty w ambasadzie, z krótkimi przerwami na msze za ojczyznę i składanie kwiatów pod pomnikami pomordowanych.

Ku otrzeźwieniu przypomnijmy więc, kogo Kreml wysłał do prostowania stosunków USA-Rosja. Była to delegacja w składzie: minister Siergiej Ławrow, Jurij Uszakow, były ambasador Rosji w Ameryce, no i Kirill Dmitrijew, który stoi na czele funduszu rosyjskich rezerw walutowych, absolwent Uniwersytetów Stanforda (licencjat z ekonomii) i Harvarda. Potem przez wiele lat pracował w amerykańskich bankach. I proszę, nikt w Rosji nie przestraszył się, że „nasiąkł” Ameryką, że FBI mogła go zwerbować czy coś w tym rodzaju. Przeciwnie, studia i znajomość USA uznano za zaletę.

Chyba słusznie, prawda?

Attaché

Raniero Mancinelli skończył szycie białych sutann dla przyszłego papieża w swoim warsztacie krawieckim w Rzymie. 86-letni Mancinelli osobiście wykonał ręcznie sutanny dla trzech papieży. 6 maja 2025.





PENETRACJE

press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Polityka może być cyniczna, przewidywalna i nudna. Ale dziennikarze, zwłaszcza ci z mediów publicznych, powinni jednak trzymać fason. Albo chociaż udawać, że go trzymają. Tymczasem debata w Końskich pokazała, że znów jesteśmy na usługach polityków. Gdyby ktoś z zagranicy chciał zrozumieć Polskę w 2025 r., niech obejrzy tę debatę. Wszystko tam jest: festyn zamiast argumentów, PR zamiast misji publicznej i komunikaty pisane po fakcie, gdy mleko już dawno rozlało się po Twitterze. TVP tłumaczyła się potem, że musiała transmitować debatę, „bo oglądało ją 2 mln widzów”. Czyli nie dlatego, że to misja, ale z powodu słupków. A pluralizm? Wystarczy, że ktoś zadzwonił i powiedział: „Wybieramy tylko dwóch, reszta niech sobie zrobi Tik Toka”.

VIVA!

JAN ENGLERT,
DYREKTOR ARTYSTYCZNY TEATRU NARODOWEGO

Uważam, że kobieta jest ciekawszym tworem natury niż mężczyzna, chociażby dlatego, że od niej zależy kontynuacja gatunku. Mężczyźni są prości jak skrzynki na piwo, składają się wyłącznie z linii prostych, a nie znam ani jednej kobiety, która byłaby linią prostą. Żaden mężczyzna nie dostrzega nawet połowy szczegółów, które dostrzegają kobiety. Tego się nie da wyrównać w biologii, i całe szczęście, bo byłaby straszna nuda.

STYL

GRAŻYNA BUŁKA,
AKTORKA MONODRAMU „MIANUJOM MNIE HANKA”

Historia Śląska nie jest czarno-biała. Zrozumienie, że myśmy nigdy nie byli pod zaborami, tylko w Prusach, dla wielu jest objawieniem. Babcia od strony mamy urodziła się na terenie Niemiec, w Ratiborhammer – dzisiejszej Kuźni Raciborskiej. Więc była Niemką. Mama przyszła na świat w polskich Świętochłowicach. Gdy jeździłam z nią tramwajem ze Świętochłowic do Bytomia, pokazywała mi w bytomskiej dzielnicy Łagiewniki domek na prawo od torów. Mówiła: „Patrz, dziółcha, kiedyś pół tego domu było w Niemczech, a pół w Polsce. Mama miała dwóch braci. Oba powołano do Wehrmachtu. Wujek Jorg służył do 1945 r. i podczas walki o Berlin oberwał odłamkiem, urwało mu ręce i nogi. Młodszy brat, wujek Gerard, kiedy z Wehrmachtem trafił do Egiptu, uciekł do armii Andersa. Walczył w niej do końca. Jak tu mówić o jednoznaczności? Osiemdziesiąt procent widzów przychodzących na „Hankę” ma podobną historię rodzinną.

ANGORA

MAJA POPIELARSKA,
PREZENTERKA POGODY W TVN

Byłam na świetnej konferencji w Anglii. Przekaz ogrodników, którzy tam występowali, był taki: ogrodowi daj święty spokój. Nie zawieszam narzędzi na kołku i nie leżę na leżaku, bo niektóre zabiegi są warte przeprowadzania, jak np. wycinanie granic rabat. Ale od pewnego czasu więcej się zachwycam, a mniej pracuję. Ogród naprawdę doskonale sobie poradzi bez naszej intensywnej pielęgnacji. Trawnik wymaga wielu godzin pracy. Potrzebuje wody, nawozów, koszenia, wałowania, wertykulacji itd. Ja tego nie robię i mój trawnik wygląda całkiem dobrze. Owszem, są górki, dołki, nie jest równiutko, ale jest uroczy i przede wszystkim odporny na tę suszę, którą teraz mamy. I pożyteczny dla owadów!

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: CENA, WZÓR, GRAD, LIST, SZTAB, UKŁON, BURZA, MOTYW, TRATA, BIOLOG, CZEKAN



Aby język giętki...

FRANCIS FUKUYAMA O SILVIO BERLUSCONIM

Wynalazł współczesny model oligarchii, w którym bogaty człowiek kupuje sobie władzę polityczną poprzez kontrolę nad mediami i używa tej władzy, by chronić własne interesy.

PROF. JAROSŁAW FLIS O WALCE PIŚ Z PO

Po 2019 r. to jest walka urodzonych de-beściaków z debeściakami neofitami. Jedni i drudzy uważają, że są najlepsi.

JERZY BACZYŃSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Był prezydentem bez właściwości, ale też i bez znaczenia, bo przez niemal całą dekadę naczelnikiem państwa pozostawał Kaczyński.

PIOTR GADZINOWSKI O WYBORACH

O wyborze prezydenta zdecydować mogą głosy kilku procent ksenofobicznych nieuków i politycznych idiotów, toteż dwaj najbardziej popularni kandydaci zabiegają właśnie o nich.

WOJCIECH MITTELSTAEDT

O RADOSŁAWIE PIESIEWICZU

Trzyma się stanowiska sternika polskiego olimpizmu bardziej zajadłe niż foksterier nogawki listonosza.

RADOSŁAW PIWOWARSKI O KOBIETACH

Miłość kobiety jest tajemnicza. Nigdy nie wiadomo, co ona widzi w brzydal, starcu, że jest gotowa poświęcić swoje życie, godność i młodość dla jakiegoś tyśielca czy narkomana.

ANETA KRĘGLICKA O CELEBRYTACH

Dziś talent i niepowtarzalną osobowość często zastępują beczelność i kompletny brak samokrytyki.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszna

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Bez tytułu



Bez tytułu

Twórczość Krzysztofa Piętki jest ściśle związana z miejscem, w którym mieszka i tworzy, a także z historią jego rodziny i najbliższej okolicy. Psychodeliczne malarstwo artysty, uproszczone formy i intensywne kolory są następstwem jego skomplikowanej relacji z miejscem wychowania. To Babice pod Oświęcimiem, czyli teren nazistowskiego obozu Auschwitz-Birkenau. Mieszkańcy okolic zostali wysiedleni, a ich domy i ziemie przejęli hitlerowcy na potrzeby obozu koncentracyjnego. Powrót po II wojnie światowej do własnych gospodarstw był z jednej strony naturalny, z drugiej –znaczony piętnem tragedii. Babcia Krzysztofa Piętki w czasie wojny była dzieckiem i miała niewielką

świadomość tego, co się dzieje tuż obok, jednak czuła feter palonych ciał. Mocno utrwalone w pamięci wrażenie przekazała wnukowi. Krzysztof Piętka w dzieciństwie nie rozumiał, że mieszka w miejscu naznaczonym historią Zagłady. Jego obrazy kryją w sobie pamięć przeszłości, a jednocześnie są wyrazem czasów współczesnych i nieuchronnej dynamiki życia.

Galeria Bielska BWA
Bielsko-Biała
ul. 3 Maja 11
do 22 czerwca 2025



Bez tytułu



Brama śmierci



MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

Republika Korei – Gość Honorowy

targiksiazkiwarszawa.pl



Światy Łączone Słowami
Republika Korei Gość Honorowy 2025

15-18 maja 2025
PKiN, plac Defilad
i Muzeum Sztuki
Nowoczesnej

Organizatorzy



PROJEKT.KSIĄŻKA

Gość Honorowy



Embassy of
the Republic of Korea
in Poland



한국문화원
Korean Cultural Center

Patronat honorowy



MARSZAŁEK SENATU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Małgorzata Kidawa-Błońska



Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Minister
Spraw Zagranicznych



patronat honorowy
Prezydenta miasta
stołecznego
Warszawy

Patronat honorowy



Wydarzenie towarzyszące



KONKURS
ACADEMIA 2025

za'ks
sprzyjamy wyborze

granice.pl

lubimy czytać



Patronat medialny

TVP info

TVP3

TVP3
WARSZAWA

TVP
KULTURA

TVP
abc

Rynek-Książki.pl

POLSKIE
RADIO

onet

GRAMY W CAŁEJ POLSCE PRZEZ CAŁY ROK!

• TEATR • CAPITOL

KOMEDIA ODLOTOWA, CZYLI LUMBAGO

REŻYSER
OLAF LUBASZENKO

AUTOR
JOHN GRAHAM

PRODUCJA
ELŻBIETA WOŹNIAK

• KUP

BILET
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

GWIAZDORSKIE OBSADY • PIKANTNE FARSY • NAJLEPSZE KOMEDIE

TWÓJ EVENT
W SPEKTAKULARNYM STYLU

T • E • A • T • R
CAPITOL
C • L • U • B

ZAPRASZA DO WSPÓŁPRACY!

*sztuka
eventu*

TO NASZA SPECJALNOŚĆ

KONTAKT: EVENTY@TEATRCAPITOL.PL

SPRAWDŹ NASZĄ NOWĄ PRZESTRZEŃ EVENTOWĄ

FOKSA11
BY TEATR CAPITOL

FOT. NATALENS STUDIO

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 371ddff241